

MARYA KONOPNICKA

WYBÓR PISM

JUBILEUSZOWE WYDANIE LUDOWE

ZE SŁOWEM WSTĘPNEM LUCYANA RYDLA
Z RYSUNKAMI ST. WYSPIAŃSKIEGO I OZDOBĄ
TYTUŁOWĄ WINCENTEGO WODZINOWSKIEGO

KRAKÓW 1902
NAKŁADEM „KOMITETU JUBILEUSZU MARYI KONOPNICKIEJ“.

Czcionkami drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego, pod zarządem
Józefa Filipowskiego.

LUDOWI POLSKIEMU

W 25-LETNIĄ ROCZNICĘ
DZIAŁALNOŚCI LITERACKIEJ

MARYI KONOPNICKIEJ

DO CZYTELNIKÓW.

Oto macie, Czytelnicy Mili, książkę, którą Wam daje Marya Konopnicka w dwudziestopięciolecie swojej pracy. Jak dobry gospodarz do siewu z całego plonu wybiera najgrubsze i najdorodniejsze ziarno, tak ona ze wszystkich pism swoich wybrała sama, co było w nich najlepszego, i oddaje na pożytek Wam, Narodowi swojemu, jako posiew przyszłości. Czytajcie, bo to książka i piękna i dobra

Tysiące książek napisano, ale mało jest tak pięknych, jak ta. Na nic największe nauki, na nic najdłuższe mozoły: nie napisze prawdziwie pięknej książki, kto z Bożej łaski nie otrzymał pisarskiego daru. Próżna praca uczyć wróbla słowiczego śpiewania, słowika nikt nie uczył, a śpiewa pięknie, bo mu Bóg dał głos. Podobnie jak słowikom dar śpiewu, tak ludziom niektórym wybranym daje Bóg talent do pióra. Taki człowiek ma w duszy moc osobliwą.

że widzi, czuje piękność dokoła siebie na ziemi, na wodzie, na niebiosach i we wszelakiem stworzeniu i w ludziach, bliźnich swoich.

Wprawdzie każdy, ktokolwiek patrzy na kwitnące sady, czy na łany zboża, czy na zachodzące słońce — każdy czuje, że to wszystko jest piękne. Ale taki człowiek wybrany czuje tę piękność świata stokroć mocniej i wyraźniej, niż inni — a nie tylko czuje, ale umie słowami wypowiedzieć. A kiedy zacznie pisać, to mu się słowa składają tak jakoś, jakby malarzowi farby: czytasz potem i staje ci cały świat w oczach, niby malowany. I nie tylko malowanie, jest jeszcze coś więcej w tem, co pisze poeta: słowa składają się w wiersze, a wiersze splatają się pomiędzy sobą i płyną, jakby jakaś dziwna muzyka.

Kiedy będziecie czytali tę książkę Maryi Konopnickiej, uważcie, że tam cały świat odmalowany słowami, staje człowiekowi przed oczyma jak żywy; przysłuchujcie się tym wierszom, jak w nich coś gra i śpiewa i dzwoni. Prawdziwie, mało jest książek tak pięknych, jak ta, bo też mało kto ma taki dar pisarski, jak Marya Konopnicka.

Ale ta książka jest nie tylko bardzo piękna — to książka dobra, bo sercem pisana. Można mieć talent do pióra, a nie mieć serca, można czuć i wi-

dzieć piękność całego świata, a nie kochać nikogo na świecie, prócz siebie samego. Taki poeta bez serca, choć z talentem, napisze książkę piękną, ale nigdy nie napisze dobrej książki. Podobnie w polu stoją maki czerwone, uciecha dla oczu, choć niema w nich żadnego dobra ni pożytku.

Kto chce pisać dobre książki, ten musi myśleć o drugich więcej, niż o sobie, musi mieć uszy otwarte na ludzki płacz i boleść ludzką, musi mieć serce gorące, któreby wszystkich kochało, wszystkich — bliskich i dalekich, wielkich i małych. Niema na ziemi ani nawet w niebie nic świętszego, nad litość; ona sprawia, że człowiek może się stać podobnym do anioła, kiedy zapłacze nad nędzą, krzywdą i żałością swoich bliźnich.

Otwórzcie tę książkę, a na każdej karcie znajdziecie taką litość anielską. Czytajcie o tym sierotce, zaniedbanym moralnie, co »przed sądem« staje, bo go nie miał kto nauczyć chrześcijańskiego życia; czytajcie o tym biednym Jasiu. co »nie doczekał« wiosny i umarł z wycieńczenia. lub o tej matce polskiej. którą z małemi dziećmi »do granicy« gnają bagnety pruskich żandarmów. I tak od początku do końca przez całą prawie książkę nic. jeno litość i żal nad ludzką nędzą, krzywdą i cierpieniem. Wszak sama o sobie powiada poetka:

Nie wam, słowiki, wtórzyć przychodzę,
Nie z tobą, różo, kwitnąć przy drodze,
. . . .
Lecz z tobą płakać, człowieku!

Ze wszystkich krzywd i bied osobliwie chłopska bieda i chłopska krzywda leżą jej na sercu. Najczęściej skarżą się jej pieśni na niedolę, na ciemnotę, na poniewierkę i nędzę ludu wiejskiego. Posłuchajcie, jak w imieniu wyższych, bardziej oświeconych stanów Narodu zwraca się ona do włościan; jak nawołuje do wzajemnej zgody, przebaczenia dawnych win, do zapomnienia wzajemnych uraz:

Gdzie my od was odeszli?... gdzieście wy zostali?...
Czemu nie razem w górę poszła nasza droga?
Czemu my dzisiaj — wielcy? a wy czemu — mali?
Kto z nas za to odpowie przed sądem u Boga?
O bracia! jeśli sobię co przebaczyć mamy,
Zróbmy to zaraz, dzisiaj; dość żalów, dość kłótni...
Otwórzcie nam ramiona! to my — was szukamy,
Bośmy może winniejsi... ach i bardziej smutni!

Gorejąca ogromną, żarliwą miłością polskiego ludu i polskiej ziemi, nawołuje ona od ćwierć wieku do tej miłości wszystkich, a w słowach jej taka jest moc przedziwna, że poruszyć mogłaby kamienie:

Temu tylko pług a socha,
Kto tę czarną ziemię kocha.

. . . .

Kto rodzinnych swoich pól
Zna wymowę — łzy i ból.

. . . .

Kto ukochał lud w siermiędze,
Kto zna twardej doli nędzę,
Kto wyciągnął, jako brat,
Dwoje ramion do tych chat!

I prawdziwie mało jest książek tak dobrych, jako ta, bo też mało kto ma takie gorące, szlachetne serce, jak Marya Konopnicka.

Oto dwadzieścia pięć lat mija, odkąd ona swemi pieśniami przed całym światem za Wami oręduje na Waszą niedolę oczy ludziom otwiera, na wasze smutki się żali. A Wy może nawet nie wiedzieliście o niej i książek jej nie czytali. Czas już, abyście i Wy poznali te pieśni smutne i śliczne i tej, która je pisała, miłością za miłość odpłacili. Dziś, gdy nazwisko Maryi Konopnickiej w sławie i wdzięczności całego Narodu brzmi na cztery strony świata, jak daleko, jak szeroko polską mowę słychać, dziś niechaj do chat Waszych trafi ta książka, przez nią samą dla was wybrana, ta piękna i dobra książka.

19/X 1902. *Lucyan Rydel.*

I.

POEZYE

Na progu.

Jak braciom, co po długich niewidzenia latach
Padli sobie w objęcia, od łez rwie się mowa,
Tak nam, gdy stajem w waszych poddaszach i chatach,
Niełatwo przed wzruszeniem serca, przyjść do słowa.
   Gdzie my od was odbiegli?... gdzieście wy zostali?..
   Czemu nie razem, w górę, poszła nasza droga?
   Czemu my dzisiaj — wielcy? — a wy, czemu — mali?
   Kto z nas za to odpowie przed sądem u Boga?
O bracia! jeśli sobie przebaczyć co mamy,
Zróbmy to zaraz, dzisiaj! dość żalów, dość kłótni...
Otwórzcie nam ramiona! to my — was szukamy,
Bośmy może winniejsi... ach! i bardziej smutni!



DZIAŁ I.

PIEŚNI I PIOSENKI.

Przygrywka.

Wyjdę z chaty pod figurę,
Będę Boga błagać, prosić,
By mnie zmienił w czarną chmurę
I rozkazał wichrom nosić...
Jak bliźnięcy my tułacze
Polecimy, het!... na wolę...
Cóż mi dole?... cóż niedole?...
Duch mój rwie się, duch mój płacze!
Oj ty wietrze, ptaku mglisty,
Przez błękitną leć głębinę...
Niechaj w cichych szumach płynę,
Jak mdlejąca pieśń lutnisty.
Oj, nie do was, wy stolice,
W blaskach złota i w purpurze,
Bo płonęłabym, jak burze,
Ciskające błyskawice.

Ale do was, nędzne chaty,
Pola smętne i jałowe;
Ale do was, leśne kwiaty,
Wysrebrzone w rosy płowe...
Ale do was, bory ciemne,
Co poicie mnie muzyką,
Jak ja, smętną, jak ja, dziką,
Zdradzającą łzy tajemne!
Ale do was, wy mogiły,
Krwią pojonej ziemi kwiaty...
Tam zaczerpnie tchu i siły
Duch mój, jeniec ten skrzydlaty!

Na fujarce.

A czemuż wy, chłodne rosy,
Padacie,
Gdym ja nagi, gdym ja bosy,
Głód w chacie?
Czy nie dosyć, że człek płacze
Na ziemi,
Co ta nocka sypie łzami
Srebrnemi?

* * *

Oj, żebym ja poszedł inò
Przez pole,
I policzył łzy, co płyną
Na rolę...
Strachby było z tego siewu
Żąć żniwo,
Boby snopy były krwawe
Na dziwo!

* * *

Przyjdzie słonko na niebiosy
Wschodzące
I wypije bujne rosy
Na łące...
Ale żeby wyschło naszych
Łez morze,
Chyba cały świat zapalisz,
Mój Boże!

II.

Rozlegnij że się
Głosie po lesie,
Po zielonej, szumiącej dąbrowie!
Otrząśnij z rosy
Trawy i kłosy
I te głogi, co kwitną w parowie.

Przez pole, przez wieś,
Rozgłosem się nieś,
Aż do drogi, co idzie w kraj świata...
Niech się zasłucha
Moja dziewucha,
Wodna trzcina — i łąka — i chata...
Hej! głos dokoła!
Cości mnie woła,
Cości z piersi zabiera mi duszę...
Żebym jeno chciał,
Pół świata-bym miał,
Tylko tyle, że konie paść muszę...
Jasność miesiąca
W strudze odtrąca
Płatki srebrne i złote i sine...
Żebym jeno chciał,
To złoto-bym miał!
Tylko sięgnąć w tę modrą głębinę...
I żal i miło,
Jakby się śniło...
Po gałęziach coś szepce, coś gada...
W sercu kołacze,
Śmieje się, płacze,
I chce porwać — i samo przepada!
Hej! dziwnaż to noc!
Jakiś dech i moc

Idzie na mnie od nieba, od ziemi...
Żebym jeno chciał,
W górę-bym się rwał,
Jak skowronek skrzydłami szaremi!

III.

Oj, matusiu, lny nam kwitną,
Jako niebo tak błękitno!
Pielcież zagon wedle krzyża,
Bo się na mnie czas przybliża...
Hej!..

A łzami go polewajcie,
A na słonku suszyć dajcie...
Niech go ciepły wiatr przewiewa,
A skowronek niech ośpiewa...
Hej!..

A rwijcież go w nockę jasną,
Nim za borem zorze zgasną,
A rwijcież go po niewoli,
Z naszej czarnej, chłopskiej roli...
Hej!.

A wiążcież go powrósłami,
Jako dziewczę rączętami...

— Próżno, darmo, bój się Boga!
Ja iść muszę, kędy droga...
Hej!..

Uprządźcież mi cienkie płótno,
Wybielcież je na wygonie...
— Mocny Boże! toć tam smutno,
Toć tam ciężko w cudzej stronie!
Hej!..

Uszyjcież mi koszulinę,
W południenko w progu chaty;
Nie żałujcie zgrzebnej szmaty!
Albo wrócę, albo zginę...
Hej!..

Jak dostanę w piersi kulę,
Jeśli taki wyrok boski,
Niech na sercu mam koszulę
Z lnu naszego, z naszej wioski...
Hej!..

IV.

Jąkże cię mam brać, dziewczyno,
Jakże cię mam brać,
Kiedy mi cię z białej chaty
Nie chcą ojce dać?...

Anim ja nie ptak skrzydlaty,
Anim ja nie ptak,
Żebym z tobą leciał w górę
Przez ten modry szlak!
Anim ja nie duch, najmilsza,
Anim ja nie duch,
Żebym ciebie zdmuchnął z ziemi,
Jako z kwiecia puch!
Anim ja nie mgła z nad łąki,
Anim ja nie mgła,
Żebym ciebie skrył tumanem
Przed jasnością dnia!
Anim ja nie grób, dziewczyno,
Anim ja nie grób,
Żebym z tobą po niewoli
Dostał wieczny ślub!

* * *

Oj padają łzy z wierzbiny,
Oj padają łzy!...
A kiedyż ty, słonko moje,
Będziesz świecić mi?...

V.

A czy też urok jaki,
Czy mi tak na śnie stanie?
Że mnie ktoś nocką woła:
— »A wstawajże, hułanie!«...
Miesięcznaż bo noc!...
Ja konia duchem z łąki...
Stronami ognie świecą...
A za mną czarne wronki
Od boru, kracząc, lecą...
Miesięcznaż bo noc!...
Trąbkę gdzieś słychać w dali...
Psy we wsi czegoś wyją...
A we mnie serce wali,
I wdziewam ferezyją...
Miesięcznaż bo noc!...
A tu ci jak gromada
I tatuś przede progiem...
Ja czapkę ciskam w górę:
— Ostańcież z Panem Bogiem!..
Miesięcznaż bo noc!...
W lot furczą chorągiewki;
Przede mną konik skacze...

U krzyża na rozstaju
Zosieńka czegoś płacze.,.
        Miesięcznaż bo noc!...
Oj płacze, lamentuje,
Cości przez dwie niedziele...
A w trzecią idzie prosić
Sąsiady na wesele!
        Miesięcznaż bo noc!..
Z pod lasu tuman wstaje...
Rży siwy, coś się lęka...
— A cóż ja temu winien,
Że mi się śni wojenka?...
        Miesięcznaż bo noc!...

VI.

A czegóż rżysz po rosie,
Koniku ty mój siwy?
Nie będę ja ci w jedwab
Zaplatał długiej grzywy...
        Hej! długiej grzywy!
Nie będę ja cię wodził
Na uździe z karmazynu...
W parciankach będziesz chodził,
U pługa, chłopski synu,
        Hej! chłopski synu!...

Nie będziesz ty się pysznił
Pod siodłem, pod czerwonem;
Łeb jeno zwiesisz smutnie
Nad czarnym tym wygonem...
Hej nad wygonem!.,.
Zębatą ciągnąc bronę,
Spotniejesz białą rosą...
Ani cię wiatry one
W kraj świata nie poniosą...
Hej nie poniosą!
Ani ja nie dam ciebie
W złociste kuć podkowy,
Cobyś tak stąpał z góry,
Jakoby nasz karbowy,..
Hej! jak karbowy!...
Nie będą drobną sieczką
Karmiły ciebie panny...
Nie padniesz w krwawem polu,
Świszczącą kulką ranny...
Hej! kulką ranny!...
Na piasku, na ugorze
Gospodarz cię zostawi...
A rosa oczy wyżre,
A słońce kości strawi,
Hej! kości strawi!...

Nie będą tobie grały
Muzyki, ni trębacze...
Jeno cię wiatr pogrzebie,
A deszczyk cię zapłacze...
Hej! deszcz zapłacze!

VII.

— A kto ciebie, ty wierzbino, wychował?
A kto twoje fujareczki czarował?
— Wychowałci mnie mój rodzic,
Ciemny las,
Kędy stoję w chłodnej rosie,
Aż po pas.
Wykarmiła mnie ta ziemia, jak matka;
Płakiwała ze mną brzoza, sąsiadka...
Czarna rola podawała
Chleb i sól...
Wykołysał wiatr szumiący
Z łąk i pól.
Latał ci on miesięcznemi nockami,
Nad sennemi wioski naszej chatami...
W srebrnej strudze maczał skrzydła,
Jako ptak...
I roztulał dzikie głogi,
Polny mak.

Z starych mogił zbierał skargi i żale...
I otrząsał po kalinach korale...
I uderzał grzmiącą piersią
W czarny bór,
Aż się ozwał siwych dębów
Głośny chór!
Tęskność, smutek, łzy sieroce, jak biały
Tuman z łąki, za nim w ślady leciały...
Wiatr gałązki moje gibkie
Całował...
Na fujarki je urzekał,
Czarował!...

VIII.

Albo mi ptaszkowie
Swoje skrzydła dajcie,
Albo mi przed chatą
Nocką nie śpiewajcie!...
Ani ja w tęsknicy
Wytrwać sercem mogę...
Ani z wami lecieć
W oną ciemną drogę!
Oj nie tak się trzyma
Własny cień człowieka,

Jako smutek tego,
Co przed nim uciekał..
Chodziłem za pługiem,
Chodziłem za broną...
A wszędy poniosłem
Duszę zasmuconą!
Żebym takie miejsce
Wiedział na tej ziemi,
Gdzie tęskność nie trafi
Ze łzami swojemi:
Tobym tam przez lato
Chociaż pasał konie,
I wesołe pieśni
Śpiewał na wygonie!...
Hej!...

IX.

Wsiałem ci ja w czarną rolę
Na wiosnę
Dwie głowiny chłopiąt moich
Żałosne,
Co daremnie poglądały
Oczyma,
Czy w komorze kęsa chleba
Gdzie niema?...

* * *

A i cóż mam z tego siewu
Za plony?
Jeno krzyżyk na cmentarzu
Zielony...
Jeno gorzkie te piołuny
Na grobie...
I tarniny czarnej krzaki
W żałobie!
Oj ty ziemio, ziemio stara,
Rodzico!
Darmo ty się karmisz naszą
Krwawicą...
Darmo kośćmi naszych dziatek
Nieboże,
Kiedy chleb twój nas wyżywić
Nie może!

X.

Świecą gwiazdy, świecą,
Na wysokiem niebie...
Jeno nie myśl, chłopie,
Że to i dla ciebie!...
Ta jasna z tysiąca,
Co wschodzi od boru,

Jako skrawek słońca —
To pana ze dworu.
A niżej ta druga
Ze złota szczerego,
Co nad stawem mruga, —
Proboszcza naszego.
A trzecia, co w pobok
Rzuca snop ognisty,
Jako srebrną kądziel, —
Gwiazda organisty.
Wszystkie przed oczyma
Palą się, jak zorze...
Tylko twojej niema,
Chłopie ty nieboże!
Powiadają ludzie,
Że z dawnej dawności,
Pan Bóg wszystkie gwiazdy
Zapalił w równości.
Ni chłopa, ni pana
Nie było na niebie...
Każdy człek swą własną
Gwiazdę miał dla siebie.
Ale jak się zaczął
Kurczyć lud ubogi,
Poszły gwiazdy z nieba
Na rozstajne drogi...

A te pańskie świecą,
Jako talar biały...
A te chłopskie w rolę,
Jak łzy, pospadały!

XI.

Oj zaszumiały brzozy płaczące
W dąbrowie...
Bywajcie zdrowi, siwe gołąbki,
Ojcowie!
Pójdę ja z kosą dalekim krajem,
Dunajem.,.
Może mnie wezmą kędy do żniwa,
Za najem!
Pójdę ja, pójdę, sierocą drogą
Po świecie...
A kędyż wy mnie, czarne jaskółki,
Najdziecie!
Albo na polu w krwawej robocie
I w pyle...
Albo przy onej rozstajnej drodze,
W mogile!
Jedna duszyczka z chaty bielonej
Ubędzie...

Jeno ci o niej wichry nieść będą
Orędzie...
Jeno żórawie, co ciągną górą,
Od rzeki,
Na bystrych piórach głos mój poniosą
Daleki...
Jeno ta woda, co idzie modra
W kraj świata,
Braciom słóweczko tęskliwe poda
Od brata!...
Pójdę ja, pójdę, w cudną krainę,
Tułaczą...
Ani mnie kiedy te gwiazdy sine
Obaczą!
A nie pytajcie, jakie tam rosy
Perłowe?
Boby o ścianę tatuś swą siwą
Tłukł głowę!
A nie pytajcie, jakie tam sznury
Koralu?
Boby matusi pękło serdeńko
Od żalu!
Ani pytajcie, jakie tam pieśni,
A dzwony?...
Boby mnie głośno las ten zapłakał
Zielony!

XII.

Zaświadczże mi, nocko jasna,
Gwiazdy swojemi, swojemi!
Żem ja się nie skarżył w smutku
Ludziom na ziemi!

* * *

Ni sąsiadom, ni wójtowi,
Ni panu w dworze, oj w dworze!
Jeno wiatrom, co kołyszą
Wody w jeziorze!

* * *

Jeno temu zadumaniu,
Co z rosą płynie, oj płynie!
Jeno onej gwiaździe bożej,
W cichej godzinie!

* * *

Jeno onym dziwnym szumom
Z czarnego boru, oj boru!
Jeno sinym tym tumanom,
We mgłach wieczoru!

* * *

Anim w dzień wyrzekał kiedy,
Przed chaty progiem, oj progiem!
Jenom z tobą, nocko płakał
W cieniu, przed Bogiem!

Piosenki i pieśni.

I.

Sine lasy we mgłach drzemią,
Gaśnie jasny dzień...
Ach i tobie, moja ziemio,
Idzie mrok i cień!

Krótka była twoja zorza
Najpiękniejsza z zórz,
Co od morza szła do morza
Złotem polem zbóż...

Krótki był twój ranek biały
I różany wschód,
Co twej sławie grał hejnały
U słonecznych wrót.

Nie dobiegło słonko tobie
Do południa wzwyż,
I zagasło gdzieś na grobie
W piorunowy krzyż!

II.

Poszłabym ja na kraj świata,
Jak ten wiatr, co w polu lata,
Jak ten wiatr, co chmury pędzi,
Białe chmury, puch łabędzi,
W ciemną mroczną dal...
Tylko mi cię żal,
Ty ziemio,
Gdzie kurhany ciche drzemią,
Gdzie się w stepach bielą kości,
Gdzie kwiat mdleje od żałości,
Tylko mi cię żal!

. . . .

Poszłabym ja w świat daleki,
Jako idą bystre rzeki,
Jako idą bystre wody,
Do Dunaju, do swobody,
Do szumiących fal...
Tylko mi cię żal,
Ty chato,
Pod tą lipą rosochatą,
Pod tym sadem pełnym rosy,
Pod błyskami jasnej kosy —
Tylko mi cię żal!

. . . .

Poszłabym ja w Ukrainę,
Za to morze, za to sine,
Poszłabym ja na stracenie,
W bezmiesięcznej nocy cienie,
W niepowrotną dal . . .
Tylko mi cię żal,
Sokole,
Co nad nasze latasz pole,
Ponad pole, ponad niwę,
Latasz, gubisz piórka siwe —
Tylko mi cię żal!

III.

Jeśli nasza dobra dola
Pod ziemią leży,
Przeorajmy wszystkie pola
Na zagon świeży!

Nie szukali my od wieka
Srebra ni złota,
Lecz za dolą to człowieka
Chwyta tęsknota . . .

Po pradziadach — my dziedzice —
Objęli długi . . .
Przecież stać nas na płużyce,
Stać nas na pługi.

A więc idźmy, w imię boże
Na czarną rolę —
A kto orze — ten wyorze
Swą dobrą dolę . . .

IV.

O, jakby się twoje łono,
Ziemio zakwieciło,
Gdyby na twe siwe piaski
Źródełko wybiło!

O, jakby się smutne życie
Wiosną umaiło,
Gdyby w zimnej, pustej piersi
Serce ci zabiło . . .

Do źródełka by latały
Ptaszki śpiewające,
A do serca bijącego
Słówka ciche, drżące . . .

U źródełka by stanęła
Wierzba złotowłosa,
A u serca bijącego
Sieroteńka bosa.

U źródełka by rozkwitły
Świeżych traw kobierce,
A u serca bijącego
Drugie żywe serce!

V.

Co mi po tem, co mi po tem,
Na tej smętnej ziemi,
Że tak słońce sypie złotem
Rankami cichemi.

Choćbym wszystkie te promienie
Zgarnęła, zebrała —
Nie odwrócę, nie odmienię,
Cobym zmienić chciała.

Próżno wieje wietrzyk świeży,
Próżno świt się pali . . .
Na mogile kamień leży,
A któż go odwali?

Lata sokół, w skrzydła bije,
Po polu, po lesie . . .
Może kamień sam ożyje,
Może się podniesie . . .

VI.

Tam, w moim kraju, w dalekiej stronie,
Sto gwiazd zgaszonych stoi w koronie,
Sto gwiazd zgaszonych, nad polem stoi,
Jak stu rycerzy w żelaznej zbroi

Tam, w moim kraju, w dalekiej stronie,
Sto serc gorących tęsknotą płonie.
Sto serc gorących w piersi uderza,
Jak duch w żelazne blachy pancerza.

Tam, w moim kraju, w dalekiej stronie.
Sto wichrów tętni przez puste błonie,
Sto wichrów tętni przez szlak stepowy,
Jak stu rumaków w złote podkowy.

A jak przeminie sto dni, sto nocy,
Wstaną rycerze w serc żywych mocy,
Wstaną rycerze, dosiędą konie,
Zapalą gwiazdy w złotej koronie.
. . . .

VII.

A pod jaką ty zorzeńkę
Idziesz dolo nasza?
Czy pod chmurną, pod wichrową,
Co burzą przestrasza,

Co nad ziemi smętnym mrokiem
Wschodzi bez promieni
I zagasłem patrzy okiem
I świat krwią czerwieni?

Czy ty idziesz, dolo nasza,
Pod tę jasną zorzę,
Co nam wróży dzionek błogi
I słoneczko boże...
Co nam pola porozkwieca
W smutku zasiewane,
I wyzłoci czarnym chatom
Strzechy ich słomiane?...

VIII.

We mgłach biją górskie dzwony,
Z niewidzialnych wież,
Idą głosy w las zielony,
Idą wzdłuż i wszerz.

Kto się zbudzi, kto się prześni
Z głębokiego snu,
Niech im poda wtór do pieśni,
Niechaj stanie tu...

Przeleciały, przehuczały
Na daleki kraj...
Wyleć ptaku, wyleć biały,
Wolę skrzydłom daj!

Skrzydłom wolę daj sokole.
Na szeroki świat,
A ja z tobą w czyste pole,
Ze mną konik — brat!

IX.

Pójdę ja w lasy, pójdę ja w góry,
Rozwinę skrzydła srebrnemi pióry,
Rozwinę skrzydła, przez te mgły sine,
Z zachodnim wiatrem chmurą popłynę...

Nie było dla mnie doli na ziemi,
Nie było gniazda między swojemi,
Nie było gniazda, cichego proga,
Ni chaty pełnej słonka i Boga...

Dom mój — płonąca nad głową strzecha,
Samotna cisza — moja pociecha,
Samotna cisza, lira grająca,
Na złotych strunach nowiu miesiąca...

Górne się szumy po lesie niosą,
Noc idzie chłodna, sypiąca rosą,
Noc idzie chłodna w srebrnej koszuli,
Trawy a zioła po polach tuli...

Byłoż mi wzrosnąć na tym ugorze,
Jako to kwiecie polne a boże,
Byłoż mi rankiem wstawać do słońca,
Jako ta niwa złotem szumiąca...

Moja rodzina — wicher, co lata,
Moje dziedzictwo — piosnka skrzydlata,
A moja ścieżka — tułacze wrota,
A moje życie — wieczna tęsknota...

X.

Przez te łąki, przez te pola
Szła tu dola i niedola,
I z długiego kraju szaty
Zasiewały polne kwiaty.

Czarne ziarna szły do ziemi
Łez kroplami rzęsistemi,
Jasne z wiatrem ulatały
Jak ten motyl, jak ten biały.

A gdy przyszły wiosny gody,
Ziemia siew oddała wiernie:
— Gęste na niej ostre ciernie,
Rzadkie kwiaty i jagody...

XI.

Hej, tam nad rzeką stoją tumany!
Jakżeś daleko, kraju kochany,
Jakżeś daleko, smętna i mglista,
Piastowa chato, ziemio ojczysta!

Sto lat do ciebie w głodzie i chłodzie
Idziem po lądzie, płyniem po wodzie,
Sto lat do ciebie, wędrowne ptaki,
Lecim przez chmurne, wichrowe szlaki...

XII.

A jak poszedł król na wojnę,
Grały jemu surmy zbrojne,
Grały jemu surmy złote,
Na zwycięstwo, na ochotę...

A jak poszedł Stach na boje,
Zaszumiały jasne zdroje,
Zaszumiało kłosów pole,
Na tęsknotę, na niedolę...

A na wojnie świszczą kule,
Lud się wali jako snopy,
A najdzielniej biją króle,
A najgęściej giną chłopy.

Szumią orły chorągwiane,
Skrzypi kędyś krzyż wioskowy,
Stach śmiertelną dostał ranę,
Król na zamek wracał zdrowy.

A jak wjeżdżał w jasne wrota,
Wyszła przeciw zorza złota,
I zagrały wszystkie dzwony,
Na słoneczne świata strony.

A jak chłopu dół kopali,
Zaszumiały drzewa w dali,
Dzwoniły mu przez dąbrowę
Te dzwoneczki, te liliowe...

XIII.

Ty mi, nocy, śpiewaj już
Pieśń wieczorną sennych róż,
Niech to serce pije ciszę
Z twych gasnących, złotych zórz...

Z czoła mego zdmuchnij dzień,
Daj mi zapaść w mrok i w cień,
Smętne było życie moje,
Pełne burz i skwarnych tchnień...

Jedne kwiaty zwiędły mi,
Drugie porwał wicher zły,
A te trzecie, te ostatnie,
Poją moje gorzkie łzy.

Już mam dosyć, już mam dość
Tej gościny — smętny gość —
Daj już polnym ziołom lichym
Na mogile mojej rość.

A ta piosnka tęskniąca,
Niech z nich rosy otrąca,
Niechaj cichą skargą leci
Do białego miesiąca...

XIV.

Poleciały pieśni moje,
Jako ptasząt roje,
Zahukały, zapukały
W okieneczko twoje...

Oj żałosna ta gościna,
Żałosna godzina!
Na mogile wierzba stoi,
Wiater ją przygina...

Poleciały pieśni moje,
Jako ptasząt roje —
Jedne padły u mogiły,
Gorzką rosę piły...
Drugie poszły między ludzi,
Piórka pokrwawiły...

Po rosie.

I.

A kiedy mi przyjdzie zagrać
W polu dziewczynie
— Da dana!
W polu dziewczynie,
Wykręcę ja fujareczkę
W tej wodnej trzcinie.
— Da dana!
W tej wodnej trzcinie.
Bo ta trzcina się ugina
Za wiatru wianiem,

Nieinaksza i dziewczyna
Z swojem kochaniem...
Wprawiłaby jasne słonko
W szybkę u chaty,
Wyglądałaby, czy jedzie
Do niej bogaty!

A kiedy mi przyjdzie zagrać
Na cudzym progu
— Da dana!
Na cudzym progu,
Wykręcę ja fujareczkę
W tym ostrym głogu,
— Da dana!
W tym ostrym głogu!
Będziesz śpiewać mi przy sercu
Gorzkiemi łzami,
Aż poleci głos żałosny
Temi łanami...
Chodzi krzywda popod lasem,
Po jarach chodzi,
Nikt nie zgadnie, co za czasem
Złe ziarno zrodzi...

A kiedy mi przyjdzie zagrać
W tym pańskim dworze,
— Da dana!

W tym pańskim dworze,
Wykręcę ja fujareczkę
W najgęstszym borze —
— Da dana!
W najgęstszym borze!
Pamiętają stare drzewa
Tę czarną dolę,
Co tu przeszła przez te chaty
I przez to pole...
Rozśpiewająż się w piosenki,
W jęki i płacze,
Aż zciemnieją złote miody,
Białe kołacze...

A kiedy mi przyjdzie zagrać
Tej nocce śpiącej —
— Da dana!
Tej nocce śpiącej,
Wykręcę ja fujareczkę
Z wierzby płaczącej —
— Da dana!
Z wierzby płaczącej.
Oj polecąż z niej piosenki,
Jako ptaszkowie,
Oj rozniosą ciche szumy
W onej dąbrowie...

Ni ja roli, ni ja chaty,
Nędzny koniucha,
Nocka tylko patrzy na mnie —
I pieśni słucha...

II.

A kiedyż się doczekamy
Tej wiosenki, tego lata,
Że pod strzechą, pod zmurszałą
Wybieleje nasza chata?...

A kiedyż my doczekamy
Tego ranka, tego dzionka,
Że przez szybkę, przez okienko,
Zajrzy w izbę więcej słonka?...

A kiedyż my doczekamy
Takiej zorzy, takiej doli,
Że nam wzejdą złote kłosy
Na tej naszej czarnej roli?...

Lata wicher po pustkowiu,
Ze śnieżycą wicher lata,
Na miesięcznym mroźnym nowiu
Wybieleje nasza chata.

— Chodzi niebem dzionek biały,
Białe słonko niebem chodzi,
Łzami rola zasiewana
Złote kłosy wiosną zrodzi...

Z łąk i pól.

I.

Mgła przejrzyste tkanki przędzie,
Sny z nich zwija, sny tumany...
Idzie wieczór zadumany...
Co to będzie?... co to będzie?...
Ojciec z pola wraca smutno:
Nie zrodziły nam się żyta!
Matka z łąki zbiera płótno,
A mnie tęskność jakaś chwyta!..

* * *

Płyną chmurki, jak łabędzie
Po głębokim, modrym stawie..
Kruczą kędyś w nich żórawie...
Co to będzie?.. co to będzie?..
We dnie smutek płoszy praca,
Słonko z oczu rosę pije...
Ale nocką serce bije
I tęsknica znów powraca.

* * *

Z kołowrotkiem matka siędzie,
Ojciec zdrzemnie przy kominie...
Pieśń od boru z wiatrem płynie...
Co to będzie? co to będzie?
Czegoś pragnę, czemś się trwożę...
Coś drży we mnie, coś się pali...
Za dziesiąte szłabym morze,
Żeby tylko matuś dali!..

II.

Hej! mruga na mnie, mruga,
Szumiąca, chłodna struga...
Hej! szepce coś do ucha,
Aż serce samo słucha...
Z nad łąki wstają mgły.

W chałupie żona stęka,
Aż jęczy cała chata...
Za poły jakaś ręka
Wyciąga mnie ze świata...
— Czas, chłopie, spocząć ci!

Jak też ten miesiąc świeci...
Ach ratuj Matko boża!..
W barłogu głodne dzieci,
W stodole niema zboża...
Dał Pan Bóg ciężkie dni!

A cóż ja im pomogę...
Hej, w drogę! w srebrną drogę!
Na spodzie piasek złoty
Opłucze krwawe poty,
Obmyje krwawe łzy!

Na strudze młynek huczy,
Pod lasem cień się włóczy...
Oj! słonko nie dobudzi
Świtaniem wszystkich ludzi...
Kto usnął, niechaj śpi!

Za górką bledną zorze...
Przybliża się godzina...
Ha!.. w Imię Ojca... Syna...
Co za szum!.. mocny Boże,
Bądź miłościw mi!..

III.

— Idzie cichy wiatr przez pole,
Kołysze się falą żyto...
Hej cyganko! hej wróżbito!
Wywróżże mi moją dolę.
A wróż mi ją z gwiazdy onej,
Co nad chatą naszą świeci...
Z tego szumu, co tam leci
Od dąbrowy, od zielonej.

A wróż mi ją z prawej ręki,
Z prawej ręki żywicielki...
Ze źródełka u grobelki,
Co zaklęte gra piosenki!..
A wróż mi ją dobrem słowem,
Z onej tęczy, z onej wstęgi,
A wróż mi ją pismem owem,
Co to stare piszą księgi!

* * *

— Doli twojej niema w księdze,
Ni na wodzie, ni na niebie,
Jeno w czarnym twoim chlebie,
Jeno w siwej twej siermiędze.
Ani z gwiazd złotego snopa,
Ani z szumu u grobelki,
Tylko z ręki żywicielki,
Wróżyć mogę dolę chłopa.

* * *

Oj będziesz ty będziesz panem,
Ni to królem, ni hetmanem...
Twoje państwo, jak świat długi,
Zaorany twymi pługi.
Będziesz chodził ty w czerwieni
Potu swego krwawej rosy...

W złocie, w srebrze tych promieni,
Co padają od twej kosy...
Wykopiesz ty skarb bogaty,
Gdzie ta rola zaorana,
I talary i dukaty
Nie dla ciebie, lecz — dla pana.
Umiłuje cię królowa,
Co się odrzec ciebie nie da,
I wiary tobie dochowa
Aż do śmierci... krwawa bieda!
Nocką uśpi, nocką zbudzi,
Strzec zasiędzie twego proga;
Ani tobie z nią do ludzi,
Ani tobie z nią do Boga...
Jak się wiosną ruszą kwiatki
I roztają rzeki z lodu,
Uśpi ona twoje dziatki,
Pieśnią płaczu, pieśnią głodu...
A i ciebie droga czeka:
Nie szeroka, nie wysoka,
Ale w ziemię, het! głęboka,
Ale w górę! het!.. daleka.
A będą cię prowadziły
Oną drogą woły siwe
I te dzwony żałośliwe,
Na pokoje — do mogiły!

IV.

Przeorały raz i drugi
Ziemię naszą ciężkie pługi;
A po każdym skiba czarna
Czeka siewu, czeka ziarna.
Hej, siewacze, błogi czas!
Czemuż dotąd niema was?
Burze wstrząsły ziemi łonem,
Wiatr przeleciał nad zagonem,
Spadły z nieba żyzne deszcze,
A was dotąd niema jeszcze!
Hej! siewacze, na wasz trud
Czeka ziemia, czeka lud!
Kości ojców, ich mogiły,
Pola nasze użyźniły,
Słonko wschodzi nam powoli,
Białe rosy drżą na roli...
Hej, siewacze, błogi czas!
Stara ziemia czeka was!

V.

Czemuś ty mi, życie,
Nie dało do ręki
Srebrzystego sierpa,
A w usta piosenki?..
Czemuż ja nie wstałam
Z zorzami rannemi,

By żąć nasze żyto
Na czarnej tej ziemi?
Czemuż z mego czoła
Pot nie spłynął rosą?
Czemu ja dziś nie z tych,
Co te snopy niosą?
Gdy słonko zapadnie,
Żniwiarka schylona
Ostatnią garść zwiąże,
Wyciągnie ramiona
I razem z tym sierpem
Porzuci na ziemię
Prostego żywota
Trud cały i brzemię.
A kiedyż ja rzucę
To krwawych łez pole,
Gdzie stanąć mi przyszło
Na dolę, niedolę?..
Nie żęłam ja żyta,
Nie żęłam pszenicy,
A niosę snop ciężki
Wieczystej tęsknicy!
O zmroku go dźwigam
I dźwigam o świcie...
A kiedyż ty duchom
Dasz spocząć, o życie?

VI.

»Kołysz mi się, kołysz,
Kołysko lipowa!..«
Niechaj cię, Jasieńku,
Pan Jezus zachowa!
Zachowa cię roczek,
Zachowa cię drugi...
A potem cię wezmą
Do dworskiej posługi.

* * *

»Kołysz mi się, kołysz,
Kołysko pleciona«,
Póki nie wysnuję
Niteczki z wrzeciona...
Wysnuję ją długą,
Jak te pańskie pola,
A taką ci szarą,
Jako chłopska dola!

* * *

»Kołysz mi się, kołysz,
Kołyseczko z łyka...«
Na gościńcu tuman,
Z wiatrem gra muzyka...

Oj grają ci, grają
Złociste trębacze...
Jasieńko się żegna,
Matka w progu płacze!

* * *

»Kołysz mi się, kołysz,
Kołyseczko biała...«
A ja sobie pójdę,
Gdzie ja będę chciała...
Nie pójdę daleko
Od dzieciątka mego,
Jeno na on cmentarz,
Do dołu czarnego!

VII.

Temu tylko pług, a socha,
Kto tę czarną ziemię kocha,
Kto ten zagon zna do głębi,
Kogo rosa ta nie ziębi.
Kto rodzinnych swoich pól
Zna wymowę — łzy i ból!
Temu tylko ostra brona,
Na kurhanach wyszczerbiona,
Kto ukochał lud w siermiędze,
Kto zna twardej doli nędze,

Kto wyciągnął, jako brat,
Dwoje ramion do tych chat!
Temu tylko kosa krzywa,
Kto w przyszłości wierzy żniwa...
Kto po nocach cichych słucha
Przyjścia zorzy, tchnienia ducha,
Komu lemiesz, to dziś — miecz...
A wy, zimni, z pól tych precz!

VIII.

— A czy po tobie wichry nie chodzą,
Ścieżyno,
Nie biją burze, deszczów potoki
Nie płyną;
Czy słonko swoich jasnych promieni
Nie ściele,
Że się po tobie tak bujnie rzuca
Złe ziele?...

* * *

— Oj chodzą po mnie wichry, szumiące
Skrzydłami...
Oj biją burze i deszcze płyną
Strugami...
I słonko rzuca pęki promieni
Zdaleka,

Tylko brak śladu stopy dobrego
Człowieka!

* * *

— A czy ty wiedziesz między odmieńce
A wrogi,
Żeś tak, ścieżyno, w tarnie porosła
I w głogi?...
A czy ty wiedziesz do cudzej, obcej
Gdzieś ziemi,
Żeś tak porosła cierniem i chwasty
Dzikiemi?...

* * *

— Ani ja wiodę w obcą i cudzą
Krainę,
Ni między wrogi, za szumne morze,
Za sine;
Ani ja wiodę między odmieńce
Do boru,
Jeno do onej zapadłej chaty
Ze dworu!

IX.

Przyjdzie zorzeńka do mojej chaty,
Znikomy sen odgania:
»Wstań, wstań do kosy! już wschód się mieni
Od łuny, od świtania!«

Na grzbiet, siermięgo! nie oschłaś z potu
Przez krótką noc czerwcową...
Do ręki koso, ty bojownico,
Na łąkę, za dąbrową!

* * *

Przyjdzie południe do mojej chaty,
U twardej siędzie ławy...
I patrzy — jasne — na moją dziatwę,
Bladą od lichej strawy.
I rozłamuje czarny kęs chleba
Drżącemi, ot, rękami...
A co poniesie do ust kruszynę,
To się zaleje łzami!

* * *

A przyjdzie nocka do mojej chaty,
Podeprze główkę ręką,
I w dumach, dumkach, siedząc na progu,
Rozlega się piosenką...
A serce w piersiach ptakiem się zrywa
I drży ta chata licha,
Gdy pieśń tęskliwą o chłopskiej doli
Śpiewa ta nocka cicha!

X.

Chodziły tu Niemce,
Chodziły odmieńce,
»Sprzedaj chłopie rolę,
Będziesz miał czerwieńce!

Zapłacimy chatę,
Zapłacimy pole...
Będziesz miał talarów
Na caluśkim stole«.

A mój Niemcze miły,
Idźże, kędy raczysz!
Ale mojej roli
Równo nie obaczysz.

Schowaj se czerwieńce
I białe talary;
Kto przedaje ziemię,
Nie naszej ten wiary!

Bogatyś ty, Niemcze,
I trzos twój chędogi,
Ale na tę ziemię
Jeszcześ za ubogi!

Pójdą twe talary
Za rolę, za płoty;
A kto mi zapłaci
Ten miesiączek złoty?

A kto mi zapłaci
Za tę jasność bożą,

Co w moje okienko
Idzie z każdą zorzą?
Za ten dach słomiany,
Co mi głowy strzeże?
Za ten dzwon, co dzwoni
Rankiem na pacierze?
Za te lasów szumy,
Za te polne kwiaty,
Za ten krzyż pochyły,
Co mi strzeże chaty?
A kto mi zapłaci
Za te jasne rosy,
Co się srebrem sypią
Na łąki, na wrzosy?
Za wiosenny klekot
Naszego bociana?
Za tę pieśń zpod lasu:
— Oj dana!... oj dana!...
A kto mi zapłaci
Za tę modrą wodę?
Za ciepło słoneczne,
Za cichą pogodę?
Za ten piasek biały,
Gdzie się trzpioczą dzieci?
Za tego skowronka,
Co nad głową leci?

Za ten wiatr, co wieje,
Za fujarki granie?
Za tego świerszczyka,
Co tam świerka w ścianie?
Za palmę, co pęka
W kwietniową niedzielę?
Za gruszę tę polną,
Co długi cień ściele?
A kto mi zapłaci
Za słodkość tę miodu,
Co pszczoły ją niosą
Do ula z ogrodu?
Za cmentarz rozkwitły
W głóg dziki, jak sady,
Gdzie leżą w mogiłkach
Ojcowie i dziady?
A toćże i mnie tam
Gospody potrzeba,
Gdy Pan Bóg zawoła:
— »Chodź, chłopie, do Nieba!«
A toćby mi dzieci
Po nocach tęskniły,
Nie wiedząc, gdzie szukać
Ojcowej mogiły!

* * *

Nie sprzedam ci roli!
Weź, Niemcze, talary...
Kto ziemię sprzedaje,
Nie naszej ten wiary.

XI.

Trzy ścieżki idą z chaty
Na dolę i niedolę...
Ta jedna idzie przed się,
Gdzie orzą pańskie pole...
Ta druga idzie w lewo,
Gdzie biała karczma stoi...
A trzecia na ten cmentarz,
Gdzie leżą wszyscy swoi...

* * *

Od znojnej pracy potu
Na jednej stoi rosa;
Na drugiej — z ojca, z matki
Śmieje się dziatwa bosa;
Na trzeciej konik polny
W poranki strzyże parne
I brzoza biała płacze,
I krzyże stoją czarne...

* * *

Po dróżkach onych chodzą
W siermięgach ludzie bladzi..
A któż im wskaże taką,
Co w ducha świat prowadzi?..

XII.

Zaszumiał las, zaszumiał las
Od płaczu moich pieśni...
Po szczytach drzew ruszył się śpiew,
Ptaszkowie łkają leśni...
Zakipiał zdrój, zakipiał zdrój
Od tęsknot moich żaru,
I sine mgły, i srebrne łzy,
Rozbryznął w cieniach jaru...
Zerwał się wiatr, zerwał się wiatr,
Echem mych skarg zbudzony,
I poniósł szum żałosnych dum
W dalekie cudze strony...
Uderzył dzwon, uderzył dzwon,
Jak serce me, na trwogę...
A sennych chat, gdzie lud, gdzie brat
Rozbudzić dziś nie mogę!

Obielił nam...

Obielił nam nasze chaty
Nowy dzionek złoty,
Widniej, widniej teraz ludziom,
Co w niej do roboty:

Do roboty — grodzić płoty,
Okopywać rowy,
Strzedz na siłę, co nam miłe,
Na ten roczek nowy!

Do roboty — lepić ściany,
Gdzie się która pada,
Boć ta chata stoi lata,
Jeszcze od pradziada!

Do roboty -- bić wyloty
Na słoneczną stronę,
Niech uderzy dzionek świeży,
W te ściany omszone!

Do roboty — przede wroty
Umieść czysto progi,
Wyrwać chwasty, cierń kolczasty,
Co nam rani nogi!

Do roboty — walić w młoty,
O kowadło życia!
W huku, w trzasku, w iskier blasku,
Krzesać serca bicia!

Do roboty trząść wymłoty,
Co plewa, co ziarno,
Mieć na chleby, z własnej gleby,
Mąkę choćby czarną!

Do roboty — na kłopoty
Mieć pociechę w sobie;
Zdarzy dola, co jej wola,
Ja com winien — robię!

Łzy i pieśni.

I.

Strumieniste jary,
Głębokie ruczaje...
Jak ci śpiewać, ziemio,
Kiedy tchu nie staje?...

Kiedy pierś ściśnięta
Powietrza nie chwyta?
Kiedy okrzyk bratni
Pieśni nie powita?...

* * *

Hej! czy mi kto Tatry
Zwalił na ramiona?
Czyli mnie przygniotła
Mogiła zielona?
Czy mnie Wisła srebrną
Ścisnęła obręczą?
Czy chmura związała
Mokrą od łez tęczą!

* * *

Ani Tatry sine
Z posad się ruszyły,
Ani mnie przygniotły
Zielone mogiły,
Ani modra Wisła
Rzuca się z wybrzeży,
Tylko dola nasza
Na sercu mi leży.

II.

Otrzyj czoło, wiosko licha,
Dosyć potu już!
Nocka idzie, nocka cicha,
W wianku białych róż na głowie,
W wianku białych róż.
Rzędem stoją jasne kosy,
Na nich ćmią się łzy...
Albo może z rąk tych rosy,
Albo oddech mgły w parowie,
Albo oddech mgły.
Hej! sukmaną wysarzaną
Otrzyj, chłopie, stal!
Nie świeć ludziom łzą przelaną,
Ty się Bogu żal w złej doli,
Ty się Bogu żal!
Dosyć się łez starło połą
Zgrzebnej szmaty tej...
I te wsiąkną... Hej! wesoło
Huknij pieśnią! hej, po roli
Huknij pieśnią... hej!...
A obsiądźcież wkrąg ognisko,
Płomień buchnie wnet!
Bóg daleko — nędza blisko,
A dola gdzieś het, za górą..
A dola gdzieś — het!

Kto mi druhem, kto mi kumem,
Niech mi poda wtór!
Serca — biciem, lasy — szumem,
I ten ciemny bór — wichurą,
I ten ciemny bór!

III.

Ścieżyna się wije przez orane pole...
— Oj, nieś mnie, mój koniu, na wolę, niewolę!
Oj, nieś mnie, ty siwy, gdzie mnie ponieść raczysz.
Za kluczem żurawi, kędy je obaczysz,
Za skrzydłem jaskółki, co leci zdaleka,
Za strugą w olszynie, co modra ucieka,
Za słonkiem, co idzie wykąpać się w morzu,
Za białym powojem, co pełznie w rozdrożu,
Za rosy zapachem, gdzie zmierzch pada siny;
Tylko mnie nie zanoś do cudzej krainy!

* * *

Ścieżyna się wije przez łąki i pola...
— A cóż ci to, koniu, była za niewola?
Czy ciebie spłoszyły płomieniste łuny?
Czy nocą po drogach bijące pioruny?
Czy cię poganiały jęki latające?
Czy ty masz zaklęte podkowy — miesiące?

Że ani do wioski, ani do rodziny,
Tylko mnie poniosłeś do cudzej krainy?...
Bogdaj ciebie, koniu! za mnie, za młodego,
Że ja nie obaczę ojca rodzonego!...
Bogdajżeś ty złamał w dróżce prawą nogę,
Że ja do mej chaty powrócić nie mogę!
Bogdaj ciebie chłodna noc ziębiła rosą,
Że ja już nie brzęknę na otawie kosą!
Bogdaj ciebie, koniu, wichry czarne biły,
Że ja w mojej ziemi nie znajdę mogiły!

IV.

Idzie lirnik, w lirę trąca,
Budzi senny blask miesiąca
Srebrzącego mgły...
Lirnik siwy, lirnik stary,
W świecie został nie do pary:
On — i pieśń — i łzy.
— »Wstańże, wstańże, druhu miły!
Pójdziem razem na mogiły,
Z lirą pełną dum...
Już powietrze się rozpieśnia,
Białem kwieciem drży czereśnia,
Lasem idzie szum...

Niechaj, kto chce, noc przemarni;
My dziś, stróże dwaj cmentarni,
Pójdziem trzymać straż...

Gdy w mogile duch zagada,
Dziad mu pieśnią odpowiada...
To ordynans nasz!

Sny i wróżby cichą nocą
Na powietrzu się trzepocą,
Jak więziony ptak...

Ja je schwycę, ja dosłyszę,
W lirze mojej ukołyszę,
Jak nadziei znak!

Słowik w olchach klaszcze, dzwoni...
Brzmi od stępów tabun koni —
Ukrainny duch!...

Komu noc — niech cicho zaśnie!
A mnie widno! a mnie jaśnie!
A mnie chwyta ruch!

Z rozwianemi idę włosy,
Oczy pełne gorzkiej rosy,
Piersi pełne łkań...

Po kurhanach okiem wodzę,
Dzwonię w lirę mą po drodze, —
Kto ją słyszysz — wstań!

Cicho! cicho! wioska drzemie!
Sen ogarnął całą ziemię,
    Długi, ciężki sen...

My się tylko, my zostali,
Oba srebrni, oba biali —
    Ja — i miesiąc ten.

Niech nam teraz do zarania
Pieśń słowicza tu podzwania
    W rozgorzały słuch...

Cały w przeszłość wzięty, stoję,
W tę miesięczną odzian zbroję,
    Na kurhanie — duch!

A z perłowem zórz świtaniem
Strząśniem rosy, z mogił wstaniem,
    Rozjaśnieni w cud...

I znów pójdziem po tej ziemi
Z duchy, w pieśni zaklętemi,
    Pójdziem między lud!«

* * *

Idzie lirnik, w lirę trąca,
Budzi senny blask miesiąca
    Srebrzącego mgły...

— »Wstańże, wstańże, druhu miły!
Pójdziem razem na mogiły
    Ja — i pieśń — i ty!«

Z wieczornych pieśni.

I.

Zmierzch przejrzysty, zmierzch liljowy
Obłękitnił świat...
Cisza bije mi do głowy
Pieśnią pól i chat...
Słyszę, słyszę gdzieś w przestrzeni,
Tajnych haseł ruch,
Łzy otrzyjcie, uciśnieni,
Oto idzie duch!...

* *
*

Zórz przeźrocze, sny prorocze,
Nowy wieszczą dzień...
Świt gdzieś w różach się trzepoce,
Choć go więzi cień...
Spocznij, spocznij, serce drżące,
Ból się skończy ten...
Oto w zmierzchach gaśnie słońce,
Idzie cichy sen!

* *
*

Nędze ziemi nad smutnemi
Krótko mają moc...
Oto skrzydły gwiaździstemi
Letnia spada noc...

Przez mgły kędyś, przez tumany,
Słychać wiejski dzwon...
Spocznij, duchu spracowany,
Przyjdzie, przyjdzie skon!

II.

Pójdę ja, pójdę drogą daleką,
Po górach wichrem, po nizinach rzeką,
Po chatach pieśnią, po polach ciszą,
Gdzie się na roli zboża kołyszą.
Pójdę ja, pójdę szumem po boru,
Jasnością we dnie, cieniem z wieczoru,
Po łąkach pójdę przędzą pajęczą,
W pogodę zorzą, po deszczu tęczą...
Pójdę ja, pójdę po miastach onych,
Co stoją w potu kroplach czerwonych,
I jako szare, znajome ptaszę,
Oblecę każde nędzne poddasze...
Po sercach pójdę snami cichemi,
Po myślach gwiazdą, co w dali mruga...
I tak po całej obejdę ziemi,
Jako szeroka i jako długa.
I łzy pozbieram, jak gorzką rosę,
I w obu dłoniach pełnych poniosę
Do tych dalekich świtu promieni,
Co się to od nich wschód rankiem mieni.

Może mnie dojrzy przyszłych dni słońce,
Nad mogiłami w dali wschodzące,
Może wypije łzy jasność cicha
Z rąk mych, jak rosę z kwiatów kielicha.

III.

A żebyś ty, jasne słonko,
Wiedziało,
Co na ziemi jeszcze cieniów
Zostało,
Nie padałobyś tak rychło
Za góry,
Za te lasy w płaszczu tkanym
Z purpury.

* * *

Krótki dzionek do wieczora
Od wschodu...
Nie rozstaje pierś zakrzepła
Narodu...
Nie nabiorą światłem myśli
Człowieka,
Kiedy słonko tak nam prędko
Ucieka!

* * *

Oj, żeby to już nad ludźmi
Smutnemi
Uderzyła jasność ducha
Po ziemi!
Żeby w światło się podniosły
Powieki!
I przyszłości dzień już nastał
Na wieki!

A kto ciebie będzie złotem,
Wiosko, odziewał?
I tęczowem wód rzeszotem
Blaski przelewał na strudze,
Blaski przelewał?...
Kto ci będzie słał pod nogi
Jasne kolory?
Gdy zapada dzionek błogi,
Za lasy, bory, het! cudze,
Za lasy, bory!

* * *

A kto w twoich krzywych kosach
Iskry rozżarzy?
Kto po łąkach i po wrzosach
Zbudzi kosarzy o świcie,
Zbudzi kosarzy?...

Przyjdzie tobie stać tak w cieniu
Tej czarnej roli...
I zagłuchnąć w krzywd milczeniu,
W długiej niedoli, jak życie,
W długiej niedoli!

* * *

Przyjdzie tobie nocką oną
Stać we łzach rosy,
Gdy nad łąką wysrebrzoną
Mgła strząsa włosy w ciemności,
Mgła strząsa włosy...
I nie będzie dnia dla ciebie
Przez lat tysiące..,
Aż na ziemi i na niebie
Zapłonie słońce przyszłości,
Zapłonie słońce!

Lipy kwitną.

Już lipa roztula
Słoneczny swój puch,
A dalej tam z ula,
Na pracę, na ruch!

A dalej tam z ula,
Na pole, na znój,
Piastowe my pszczoły,
Piastowy my rój!

Ta stara pasieka
Na plon czeka nasz,
My lecim od wieka
Z łąk kwietnych i z pasz.
My lecim od wieka,
I trud niesiem swój...
Piastowe my pszczoły,
Piastowy my rój!

I brzęczy i radzi
Złocisty nasz wiec,
Jak bożej czeladzi
Pracować, jak ledz,
Jak bożej czeladzi
W ten bratni iść strój...
Piastowe my pszczoły,
Piastowy my rój!

Nas budzi świt mglisty,
A spędza nas noc,
Gdy z lipy ojczystej
Żar bierzem i moc,

Moc życia, żar czynu,
Na mir i na bój...
Piastowe my pszczoły,
Piastowy my rój!

I w kropli my miodu
Niesiemy w nasz ul
Prastarą woń rodu,
Co wiedzie się z pól,
I słodycz my pieśni
Sączymy w serc zdrój...
Piastowe my pszczoły,
Piastowy my rój!

Leć mój roju, złoty roju,
Gdzie kwiat lipa ściele,
Przyczyńże mi białych miodów
Na moje wesele!
Przyczyńże mi białych miodów
Na te korowaje,
Co je matka krzyżem znaczy,
A od serca kraje.

Jak wybiorę plastry z ula,
Jak miody wysycę,
Wezmę sobie czarnobrewę,
Moją krasawicę!

Wezmę sobie czarnobrewę
Do mego futoru,
Będąż lipy nam szumiały
Każdego wieczoru.

Wyleciały złote roje
Na te kwietne błonie,
A u mojej krasawicy
W krzyż złożone dłonie...
Wyleciały złote roje
Na ten jug zielony,
A dla mojej krasawicy
Biją wszystkie dzwony.

Biją dzwony w samo niebo,
Idzie grabarz z wioski...
— Nie noścież mi, pszczoły, miodu,
Tylko żółte woski...
Tylko żółte woski noście,
Jak jej zimne lice,
Na tę swadźbę z czarną ziemią,
Na jasną gromnicę!

Biją dzwony, lecą rosy,
Wóz się czarny toczy...
Cicho świeci jej gromnica
Na umarłe oczy!

DZIAŁ II.

OBRAZKI.

Jaskółka.

Z za morza powraca!... ach leci tu, leci,
Jaskółka pod strzechę, pod naszą...
A cichoż ty, bosa gromadko! sza, dzieci!
Bo krzyki ptaszynę wystraszą...
Ach, spiesz się dziewczyno, nie splataj warkoczy,
Do strugi, za wioskę bież strzałą;
Nim ptaszka w niej skrzydła czarniawe umoczy,
Ty w wodzie twarzyczkę myj białą.
Jeżeli się uda ten wyścig z jaskółką
I staniesz ty pierwsza u wody,
To słońce przez lato całując twe czółko,
Smagłością nie przyćmi urody.
Hej, chłopcze tęskniący! śledź bystrem spojrzeniem,
Gdzie ptaszka gniazdeczko uściele,
Tam w późne dosiewki szlij swata z pierścieniem,
A w zapust wyprawiaj wesele!

Ty, młoda gosposiu, wybiegnij z wrzecionem,
Nim w locie się zwinie jaskółka,
Cieniuchną niteczkę paseczkiem srebrzonem
Nawijaj, nawijaj u kółka;
A kiedy jesienią zaświecisz łuczywo
I siędziesz prząść lniane włókienka,
To nitka, jak ptaszek, okręci się żywo,
I równa, i mocna, i cienka.
Dziadusiu, babusiu, siadajcie u proga
Pod przyzbą, na ławie dębowej,
Niech dla głów siwiutkich uprosi u Boga
Jaskółka ten roczek, ten nowy!
Ach, leci!... ach, leci! powraca z za morza
Do naszej wioskowej zagrody,
I czarnem skrzydełkiem pozdrawia rozdroża
I łąki, i pola, i wody.

* * *

— »Witajcie! tak do was tęskniłam z oddali!
Dziś wracam z piosenką radosną...
Cóż słychać nowego? czy zdrowi? czy cali?
Czy żyją staruszki, jak jabłoń zsiwiali?
A Kasie, Maciusie czy rosną?
Ach! cóżto?... te same, jak widzę, kłopoty
I bieda, jak była przed laty!
Na drogach kałuże, wyboje, wywroty,

Podwórka nie strzegą ni drzewa, ni płoty,
I dach się zapada garbaty!
Przez strzechę zmurszałą deszcz w chatę przecieka,
A ściany się krzywią i paczą.
Jak gdyby nie były siedzibą człowieka,
Co ziemię tę potem uprawia od wieka,
Lecz nędzną gospodą tułaczą.
Na twarzach znękanie i niechęć i troski,
Na ustach piosenka niedoli,
A dzieci wzrastają, jak płonne te kłoski,
Na dzikim ugorze zbujałe, wśród wioski,
Bez myśli, bez czynu, bez woli.
Stęskniona leciałam przez morza, z nadzieją
Wiosennych błękitów i słońca;
Lecz tutaj błękity nad wioską ciemnieją
I wichry lodowe czatują z zawieją,
Tu zima i zima bez końca!
Och! gdybym ja mogła rozegrzać was pieśnią,
Jak słonko tę rzeczkę pod lodem,
Myśl strząsłaby z siebie, co rdzą jest i pleśnią,
Duch zrzuciłby więzy, co lot jego cieśnią,
I ludby się zbudził narodem«.

* * *

— »O, spojrzyj! o, spojrzyj! to pierwsza jaskółka
Pod gzymsem w skrzydełka trzepoce...

I w okna zagląda i zwija się w kółka,
I o coś się pyta, szczebioce...
Toż wiosna już! wiosna!... za tydzień, za drugi
Mieć będę z fijołków bukiety...
Czy w polu już sieją?... czy orzą już pługi?«
— »Najdroższa, czytajmy gazety«.

* * *

— »O panie! o pani! słoneczko kwietniowe
Przyświeca tak jasno, tak ładnie...
Czyż żaden płomyczek na główki, na płowe
Wioskowych pacholąt nie padnie?
Czyż mi tak co wiosna trzepotać napróżno
U okien skrzydłami czarnemi?
I kiedyż wybiegną ptaszynę podróżną
Wieściami powitać dobremi?
I kiedyż gniazdeczko pisklętom uwinę
Pod strzechą szczęśliwą, wieśniaczą?
I kiedyż tu światłem ubogą dziecinę,
Jak chryzmem, na życie naznaczą?« —

* * *

— »Ach! widzisz, nie mogę dziś słuchać z uwagą:
Myśl moja ucieka z jaskółką,
I leci nad wioskę odartą i nagą...
Mój drogi! zajmijmy się szkółką!

Niech biedne te dzieci nie rosną tak dziko,
Wszak kraj do ich czynów ma prawa«...
— »Hm! chłopu nauka, co najmniej ryzyko...
Czytajmy, jeżeliś łaskawa!» —
— »O panie! o pani! za morzem, za sinem,
Plon myśli runieje, dojrzewa...
I słowo tam pada nie dźwiękiem, lecz czynem,
I wzorem nie radą zagrzewa.
Ach, rzućcie wy w wiosce ziarenka oświaty,
Dostatków maleńkie okruchy;
A wzniosą się czoła ku słońcu, jak kwiaty,
I zbudzą się myśli i duchy!« —

* * *

— »Najdroższy! chcę wiedzieć, dlaczego z pozoru
Praw równość głosicie człowieka,
A przestrzeń odwieczna od chaty do dworu
Tak zawsze boleśnie daleka?...
Dlaczego przed dzieckiem, panienką, paniczem
Zsiwiałą swą głowę odkrywa
Staruszek, piast wiejski, z dostojnem obliczem?
Kto bratnie rozerwał ogniwa?
Kto kraj śmiał zubożyć o siłę bez czynu?
O myśl tę zmąconą, niejasną?
Czyż nie tem, co marnie przepada wśród gminu,
Wymierzać nam niemoc swą własną?

Posłuchaj mnie, drogi! czyż tyle już trudu,
Czyż tyle mozołu potrzeba,
By światło nauki rozdmuchać dla ludu,
Łaknącym zdrowego dać chleba?«
— »Co?... może ja pierwszy mam zbijać wiatraki
Z poczciwym Kiszotem w zawody?
I brudnych pastuszków zmieniwszy na żaki,
Sam gęsi zaganiać od szkody?
A może wziąć książkę i siadłszy na trawie,
Nauczać z niej ludek jak klecha?
Stąd widzę sąsiadów, jak patrzą ciekawie,
Jak każdy się skrycie uśmiecha...
Być może, iż trudy się takie opłacą,
Gdzie wille, gdzie fermy, szalety,
Lecz chłopu naszemu? jak, po co i na co?...
Daj pokój!... Czytajmy gazety!«. —

* * *

— O słonko! świeć jaśniej, bo ziemia zakrzepła
Rozbudzić się ze snu nie może..,
O więcej daj światła! i więcej daj ciepła!
I rosy ożywczej, o Boże!...

Przed sądem.

Drobny, wychudły, z oczyma jasnemi,
W których łzy wielkie i srebrne wzbierały
I gasły w rzęsach spuszczonych ku ziemi:
Blady, jak nędza, a tak jeszcze mały,
Że mógł rozpłakać się i wołać: »matko!«
Gdyby miał matkę; i mógł stroić psoty,
I pocałunków żądać, i pieszczoty,
I spać na piersiach ojca; a tak drżący,
Jak ptak wyjęty z gniazda, i już mrący,
Wiejski sierota stał w sądzie przed kratką.

* * *

A dziwna była ta sala sądowa:
Wielka, i pusta, i ciemna, i chłodna,
I bezlitosna, i łez ludzkich głodna,
I nigdy dla nich niemająca słowa
Miłości bratniej, i taka surowa,
Tak spiskująca ławkami w półkole
Na ludzką nędzę i ludzką niedolę, —
Że Chrystus biały, co stał tam w pobliżu,
Zdawał się cierpieć i drżeć na swym krzyżu.

* * *

Przy winowajcy nie było nikogo...
I któżby bronił dziecięcia nędzarzy?
Chyba te wielkie dwie łzy, co po twarzy
Leciały jakąś pełną iskier drogą;
Chyba dzieciństwo, nędz pełne, sieroty,
I chyba tylko promyczek ten złoty,
Co mu przez okno upadał na głowę,
Jakby Bóg gładził włosy jego płowe.

* * *

Wszedł sędzia, spojrzał i rzekł: »Gdzie rodzice?«
»Nieznani« — odrzekł pan pisarz z powagą.
Chłopiec wzniósł zgasłe, błękitne źrenice,
I ściągnął świtkę na pierś swoją nagą,
Jak gdyby nagle od jednego słowa,
Zjęło go zimno i pustka grobowa...
Sędzia zadumał się, pochylił czoła
I spytał znowu: »Czy w wiosce jest szkoła?
— »Nie«. — Pisarz zwykle chmurny był w urzędzie,
Przytem — pytanie było jakoś dziwne...
Wahał się chwilę, czy właściwem będzie
Odpowiedź chłopca pisać w protokóle;
Więc wyprostował palce swoje sztywne
I bębnił zlekka po szarej bibule.

* * *

A sędzia patrzył na drżącą dziecinę:
Na ręce nagie, wychudłe i sine;
Na pierś zapadłą i nędzne łachmany;
Na blask tych oczu zmącony i szklany,
Gdzie przecież mogły odbić się niebiosy;
Na drobną główkę, gdzie myśl głucho śpiąca
Nie znała świata innego, prócz słońca,
I innych wrażeń ożywczych, prócz rosy.

* * *

I dziwnym cieniem zaszło mu oblicze,
I w piersi uczuł drżenie tajemnicze,
Jakby ta sala pusta była tronem,
Na którym przyszłość z czołem zachmurzonem
Zasiada, pełna klęsk i spustoszenia...
I jakiemś grzmiącem i ogromnem słowem
Oblicza plony na polu jałowem,
Przed sąd wzywając całe pokolenia...
I widział, jak szły gęste, ciemne tłumy
I tamowały ruch globu w błękicie...
I spostrzegł, pełny trwogi i zadumy,
Że były chmurą ogromną o świcie,
Przez którą przebić nie mogło się słońce,
I zmierzch nad ziemią trwał przez lat tysiące...

Widział, że tłum ten — to siła, stracona
Dla wielkich celów i dążeń ludzkości,
I czytał w groźnem spojrzeniu przyszłości,
Że chce rachunku z miliona...
I ujrzał nagle, że wydziedziczeni
Za społeczeństwa swego cierpią winy;
I przerażony — posłyszał w przestrzeni
Sądy — nad sprawą chłopczyny...

* * *

»Niechże was Chrystus — głos mówił — rozsądzi
Kto więcej winien: czy ten nieświadomy,
Co drogi nie zna i w ciemnościach błądzi?
Czy wy, co grube spisujecie tomy
Karnej ustawy, a nie dbacie o to,
By uczyć dziecię, które jest sierotą...
Niechże was Chrystus sądzi!«
Lecz krzyż czarny
Stał nieruchomy i cichy na stole,
Jako milczące wobec łez ołtarze...
A sędzia powstał, i szedł, gdzie pacholę
Blade czekało na wyrok surowy,
I dotknął ręką jego płowej głowy,
I rzekł: »Pójdź dziecię! ja cię uczyć każę!«

Jaś nie doczekał.

W ubogiej izbie zjawił się gość błogi:
Słoneczny promień wiosenny, majowy,
Wszedł przez okienko z szybami drobnemi
I jasnym snopem rzucał się po ziemi;
Jak złota strzała padł na stół sosnowy,
Na deski starej, spaczonej podłogi,
Na tapczan nędzny, zasłany barłogiem,
Na komin pusty, zimny, bez ogniska,
Na obraz, który jaskrawie wybłyska
Złocistą glorją w poddaszu nędzarza,
Tak, jakby mógł Ten, co biednych jest Bogiem
I miłosierdziem — i smutnych odwagą,
Gromadzić skarby u swego ołtarza,
I stać w purpury blaskach i kamieni,
Gdzie ludzie głodni, nędzni, opuszczeni,
Korząc się przed Nim, biją w pierś swą nagą!

* * *

Był to niedzielny poranek wiośniany;
W izbie wyrobnik siedział z zgasłą twarzą,
U pociemniałej i wilgotnej ściany,
Po której zamróz kroplami ociekał...
Aż z dum swych ciepłym zbudzony promieniem,
Posłyszał wróble, co na dachu gwarzą,

Spojrzał po izbie okiem swojem mgławem,
Potem na jasność tę ożywczą słońca,
I szepnął z cichem stłumionem westchnieniem:
»Jaś nie doczekał!«
I otarł grubej koszuli rękawem
Łzę, co po twarzy toczyła się drżąca,
I taka mętna, i ciężka, i wielka,
Jakby to wody nie była kropelka,
Lecz kamień, który, wyrzucony z duszy,
Padnie w głębiny i ziemię poruszy.

* * *

Zima ta ciężka była! śnieżne duchy
Pomiędzy ziemią latały a niebem,
Białemi skrzydły zakrywszy błękity,
A mroźne wichrów północnych podmuchy
Dreszczem wstrząsały ubogie te ściany,
Wśród których nędzarz tak rzadko jest syty
Twardym i czarnym niedoli swej chlebem,
Tak biedne nosi na grzbiecie łachmany,
Tak ciężko musi pracować na dzieci,
Wśród skrzących mrozów i wiecznej zamieci!
Zima ta ciężką była! na kominie
Nie co dnia ogień roznie cał się lichy,
Nie co dnia ciepłą gotowano strawę.

Ojciec przychodził wieczorem bez siły,
Nie mogąc dźwignąć siekiery, ni piły,
I padał spocząć jak martwy na ławę;
A Jaś tymczasem w nędznej koszulinie,
Coraz to bledszy, coraz bardziej cichy,
Nakształt mdlejącej lampy lub pochodni,
Zjadał kęs chleba — i siadał na ziemi,
Patrząc na ojca oczyma smutnemi,
Jak ci, co mówić nie śmią, że są głodni!

* * *

Wreszcie z tapczana nie podniósł się wcale
Ojca witając zdaleka uśmiechem...
Przeląkł się nędzarz, chwycił go w ramiona,
W piersiach mu grały i łkania i żale...
Noc całą dziecko zagrzewał oddechem,
Bo mu się zdało, że stygnie, że kona...
Modlił się, płakał, o ściany tłukł głowę,
A ściany skrzyły się, jak dyamentowe...
Bo zima na nie rzuciła płaszcz biały,
Łzy na nich marzły — i jak perły stały.

* * *

Rankiem wyrobnik zastawił swą piłę,
Porąbał stołek, rozpalił ognisko,
Przyzwał lekarza. — Lekarz człowiek młody,
Oświadczył, że tu jest powietrze zgniłe,

Że straszna wilgoć ma tutaj siedlisko,
Że dziecku trzeba dać lepsze wygody,
Izbę obszerną, jasną i ogrzaną,
Ciepłe okrycie, a przytem co rano
Posiłek lekki, pożywny, gorący.
Zapewnił nadto, że jeśli chłopczyna
Wiosny doczeka, to wzmocni go słońce.
Wreszcie oświadczył, że mróz trzaskający!
I wyszedł. — Ojciec stanął, jak zmartwiały,
We drzwi wlepiwszy źrenice błyszczące...
A wiatr tymczasem rozmiatał z komina
Iskry i dymy i szyby tak siekał,
Jakby brał szturmem tę izbę ubogą.
Blada twarz chłopca zrobiła się sina...
Do ojca sztywne wyciągnął rączęta,
Rzucił się... wargi drobne mu zadrgały...
A śmierć, srebrzystą szatą owinięta,
Wzięła go z sobą tajemniczą drogą...
Promienia słońca Jaś już nie doczekał!

* * *

W mogiłce leży i nigdy mu duszy
Żadne już światło nie zbudzi, nie wzruszy...
Nigdy nie wzniesie dziecięcych swych powiek
Na wielkie cuda tworzącej przyrody,

I nigdy zapał do wiedzy, swobody,
Nie drgnie mu w piersi okrzykiem: »tyś człowiek!«

* * *

Ach! ileż takich mogił na tej ziemi...
I jakże smutne są takie mogiły!
Ludzkość żyć winna siłami wszystkiemi,
A nędza codzień odbiera jej siły.
Ten szereg drobnych grobów wśród cmentarza,
Co myśliciela smętnego przeraża —
To siew bez plonu, rzucony na marno,
Kwiat bez owocu — i stracone ziarno.
Poprzez mogiły, gdzie śpią te dzieciny,
W milczeniu śmierci przeraźliwem, głuchem,
Ludzkość, uboższa ramieniem i duchem,
Idzie tak wolno, jakby cel się zwlekał!
O bracia, czy w nas wcale niema winy,
Że słonka Jaś nie doczekał?

Z szopką.

Przed dworskim gankiem stanęło ich czworo,
Główki na mrozie odkrywszy z pokorą. —
Zwyczajnie, dzieci, z maleńka już karne,
Wiedzą, że dwór jest rzecz pańska, wielmożna;

Nie to, co chaty ich, nędzne i czarne,
Gdzie ledwo śnieżnej zamieci ujść można.
Nie wiem, czy które z tych biednych usłys
Kiedy w swem życiu, co godnem jest cześ
Nie wiem, czy przyjdzie kto, by w chaty c
Zasiąść do wielkiej lat dawnych powieści;
Czy im kto powie, jak kochać potrzeba
Zagon ojczysty, co daje kęs chleba;
Jak cudze prawa szanować, jak żywem
Poczuć się w wielkim łańchu ogniwem;
Lecz wiem, że zdawna uczono batogiem
Odkrywać głowę przed pańskim tym progie

* * *

Stanęły zbite w gromadkę; nad niemi
Jaskrawa gwiazda na żerdzi wybłyska,
Ścieląc snop światła krwawego po ziemi, –
Kometa drżąca, dziwna, bez nazwiska,
Co raz do roku zjawia się i świeci
Ponad głowami bosych chłopskich dzieci...
Drżące od zimna podniosły się głosy
I uderzyły po śnieżnej przestrzeni...
A noc słuchała smętna, a niebiosy
Pełne się zdały iskier i płomieni
I ech żałosnych, zmieszanych w rozdźwięki.
I w jakieś ciche westchnienia — i w jęki.

* * *

M. Konopnicka.

Najmłodszy, dziecko drobne, co z drugiemi
Stał wpośród jasnej okien dworskich łuny,
Odziany w łachman, z stopami bosemi,
Umilknął nagle, jak rwące się struny...
I ponad gwiazdą klejoną z tektury,
Wielkie i smutne oczy wzniósł do góry
I myślał sobie: »Czemuto, mój Boże,
Choć Chrystus przyszedł, tak źle jest na świecie?
I czarnej mąki garść tylko w komorze?
I niema ciepłej sukmanki na grzbiecie?
I tatuś, taki pijany z wieczora,
Matulę bije, choć płacze i chora?...
Czemu to ludzie w przednówek tak bladną,
I jakby cienie po drogach się włóczą?
A dzieci we wsi z maleńka już kradną?
A jego dotąd na książce nie uczą?
Choć radby wiedzieć, co jest tam daleko,
Het, het, za lasem, za młynem, za rzeką!...
Widać dla chłopów nie przyszedł Bóg może?
Wszakże, choć co rok do dworu chłopięta
Idą z kolendą i z szopką w tej porze,
On przecie nigdy, jak żyw, nie pamięta,
Żeby kto z dworu do chaty przychodził
I mówił: »bracia, Chrystus się narodził!«
Czemu?...

O dziecię! mgła nocy zasłania
Dzień, co odpowie na twoje pytania. —
Och, aby tylko nie wzeszedł on sądem
Klęsk ostatecznych nad morzem i lądem!
Och, aby tylko wiekowi przyszłemu
Grom pomsty twego nie powtórzył: Czemu?

Z wiejskiej szkółki.

Wiosenny powiew, co kwiatów na łące
Zbudził kielichy,
Usta jej zimne, pobladłe, milczące,
Całował cichy.
Leciuchnem drżeniem przejmował zasłony
Czarnej sukienki,
I pęk róż dzikich, i wianek zielony
W głowach trumienki...
Cicho szeleszcząc przez powój i rąbki
Białych firanek,
Nienakarmione wypłaszał gołąbki
Na pusty ganek...
Otwartem oknem jaskółka wleciała
Z pieśnią majową,
I czarnem skrzydłem mignęła, jak strzała,
Nad martwą głową.

Gromnica błyski zimne, jak łzy cudze,
Rzucała drżąca,
Ruchomą plamą czerwieniąc na smudze
Złotego słońca.
Nikt się nie modlił, nikt we łzach nie klęczał
Przy tej trumience;
Nikt się z tą bladą nie żegnał, nie jęczał,
Złamawszy ręce...
I tylko Chrystus wyciągał ramiona
Z krzyża boleśnie,
I tylko pliszka z gałązki spłoszona,
Nuciła pieśnie.

* * *

Nagle z kościółka rozgrzmiały dzwony,
Przeciągłe, łzawe,
A las zaszumiał w chór sosen zielony
Śmiertelne »ave«.
Na łąki idąc, ze świtem i rosą,
Wiejska gromada
Stanęła w progu, ten z sierpem, ów z kosą —
Jako wypada.
Pod przyzbą stoi, oparta pod brodę,
Znachorka siwa,
Wróżąc sąsiadkom na lny ich pogodę,
A deszcz na żniwa...

Młode wieśniaczki z oczyma suchemi
Wzdychają głośno,
A dziad zawodzi, zasiadłszy na ziemi,
Pieśnią żałosną.
Wtem śmiech wybuchnął kaskadą wesołą:
To dziatwa wioski,
Co się zebrała przed pustą dziś szkołą,
Gwarząc bez troski...
Śmierć z swym spokojem ustąpić musiała
Przed życia ruchem.
I tak zasnęła ta cicha i biała
Wśród obcych duchem.

* * *

O lesie ciemny! o smutne wy dzwony!
Kogo żegnacie?
Gdzie jest jej matka? gdzie ojciec rodzony
Gdzie bracia w chacie?
— Rodzona matka — to ziemia, co płowy
Plon żyta dała...
— Ojciec rodzony, to lud ten wioskowy...
Tak go kochała!
— Rodzone siostry i bracia rodzeni,
To wiejskie dziatki,
Te, które wiodła do światła od cieni,
Z uczuciem matki.

Młoda żniwiarka na wspólnych prac niwie
Stanęła śmiało,
I snop swój ciężki wiązała cierpliwie
Przez dobę całą.
Choć nikt zachęty nie ozwał się słowem,
Nie dał pomocy,
Trwała tak, stojąc na polu jałowem
Z świtu do nocy.
I tylko czasem, pobladła, znużona,
Z mokrą powieką,
Wznosiła swoje mdlejące ramiona
W przestrzeń daleką;
I tylko czasem szepnęła: »Jak ciemno!
Kiedyż zadnieje?«
Walcząc z śmiertelną niemocą daremno,
Tracąc nadzieję.
Ach! ona była, jak tęcza, co ziemię
Jednoczy z niebem...
Była skowronkiem dla wioski, co drzemie,
Dla ducha — chlebem...
I była rosą, co rzeźwi o świcie
Zioła mdlejące...
Była gwiazdeczką, co czuwa w błękicie,
Nim wzejdzie słońce.

* * *

Dziś stary cieśla w trumienkę sosnową
Zabija ćwieki,
I krzyż zakreśla w powietrzu nad głową
W odjazd daleki...
Ubogi wózek zaskrzypiał na piasku
Samotną drogą,
Przed nim mgła srebrna, a za nim snop blasku, —
Więcej nikogo.
Tylko sierotka żegnała go mała
Smutnem wejrzeniem,
Tylko się róża w ogródku rozwiała
Ostatniem tchnieniem...
Tylko jaskółki za trumną leciały,
Szczebiocąc długo...
I tylko tuman wstał cichy i biały,
Nad modrą strugą.

W piwnicznej izbie.

W piwnicznej izbie zmrok wczesny pada,
Wilgotny a ponury:
Mętnemi szyby drobne okienko
Na brudne patrzy mury.

W piwnicznej izbie głos dziecka słychać:
To westchnie, to zagada...
Ojciec chleb czarny wykuwa młotem,
Przy igle matka blada.

— »Moja mateńko, moja rodzona,
Jak też tam na wsi onej?
Czy też tam dzieci chodzą w słoneczku,
Po trawce, po zielonej?

I nie mieszkają, jak my, w piwnicy?
I widzą het... obłoki?«
— »Oj widzą, synku, wszyściutko widzą,
Caluśki świat szeroki.

Oj widzą one pola i lasy,
I łąki, i zagaje,
Widzą, jak słonko idzie do morza,
I jak znów rankiem wstaje...

Widzą, jak pługi rżną wiosną skiby,
Jak siewacz rzuca ziarna,
Jak woły ciągną zębatą bronę,
Jak rodzi ziemia czarna.

Oj widzą one, jak źródła biją,
Jak modre rzeki płyną,
Jak dzikie gęsi na ugór lecą,
Jak staw zarasta trzciną...«

— »A niema takich murów dokoła,
Że aż się przegiąć trzeba,
Żeby choć skrawek, choć odrobinkę
Zobaczyć czasem nieba?«

— »Niebo tam, synku, wszystkim otwarte,
Z wschodu na zachód wolne,
Czy zorza świeci, czy gwiazdy wschodzą,
Jako te kwiaty polne...«

»To i Pan Jezus bliżej być musi
I patrzy na te dzieci...
A od nas tutaj do Pana Boga
I pacierz nie doleci...«

. . . .

W piwnicznej izbie jęk zabrzmiał cichy,
Matka się po niej krząta.
W gęstnącym zmroku głos dziecka słaby
Z ciemnego słychać kąta.

— »Moja mateńko, moja rodzona,
A jak tam jest w tem polu?«
— »W polu to, synku, zboża a zboża,
Przetkane w kwiat kąkolu...

Takie ci owsy, takie ci żyta,
Że się w nich człowiek schowa,
A grusza na nie cień rzuca chłodny,
A wkoło woń chlebowa.

Spojrzysz na lewo, spojrzysz na prawo,
To kłosy aż się garną,
Jakby kto złotą nakrył kurzawą
Całą tę ziemię czarną.

A wierzchem takie ci idą szumy,
Takie w powietrzu granie,
Jak kiedy, na ten przykład, w kościele
Zagrają na organie.

Od spodu słoma, jak trzcina stoi,
Ot, gdzie tam do niej tobie!
A takie ziarnem pełniuśkie kłosy,
Aż kładą się po sobie.

A jęczmień to ci taki wąsaty,
A gryka taka miodna,
A lny — jak niebo... a grochy w strąkach,
Że ich nie przejrzysz do dna.

A tu ci zając z pod miedzy smyrgnie,
Przepiórka w głos zadzwoni,
A z łąki kędyś po rosie słychać
Spętanych rżenie koni«.

. . . .

W piwnicznej izbie zmrok coraz gęstnie,
Wilgotne ściany płaczą...
Dziecko w ciemności oczy otwiera,
Czy czego nie zobaczą...

. . . .

— »Moja mateńko, moja rodzona!
A jak tam na tej łące?«
— »Na łące, synku, to trawy rosną,
W srebrzystej mgle stojące...

A w trawach kwiecie żółte i białe,
A bokiem modra struga,
A słonko sobie po niebie chodzi
I złotem oczkiem mruga...

A po mokradłach bocian szczudłuje,
I żaby dziobem bierze,
A skowroneczek do Boga leci
I śpiewa swe pacierze.

A dziewczę idzie i krówkę pędzi —
Chuścina i zapaska...
A krówka ryczy, a porykuje,
A pastuch z bicza trzaska.

Brzeżkiem, nad rowem, złocieniec rośnie
I wierzba na fujarki,
A siwy kaczor w trzcinach się zrywa,
Sznurkuje derkacz szparki.

A po przydrożku, pod leśną ścianą,
Kosiarze idą z kosą,
A te dziewczątka, jak gąski białe,
W dwojakach jeść im niosą...«

. . . .

W piwnicznej izbie głos dziecka wzdycha,
Z wilgotnej, brudnej pleśni...
A oczy jego patrzą w okienko,
Czy mu się czasem nie śni...

. . . .

— »Moja mateńko, moja rodzona,
A jak tam jest w tym lesie?«
— »W lesie to, synku, szum się okrutn
Po wielkich sosnach niesie.

I wielkie jakieś dziwy powiada
O starych onych czasach,
Co to już o nich wieść tylko lata
Po ciemnych, cichych lasach.

A taki zmrok tam zielony, świeży,
Że gdzie!... I ksiądz sam niema
Na Boże ciało, na procesyi,
Takiego baldachima!

Dęby a jodły, jako te wieże,
Pod niebo się dźwigają,
Że i królowie w złotych pałacach
Piękniejszych wież nie mają.

A sosny śmigłe szumią a szumią,
A brzozy liściem trzęsą,
A dzień się przez nie, jak sitem, sieje
I patrzy złotą rzęsą.

Czasem gdzieś gołąb dziki zagrucha,
Czasem wiewiórka świśnie,
A jarzębiny w kolorach stoją
I pachną leśne wiśnie.

A jakie to tam gniazda są ptasie,
Furkania i szczebioty...
A gąszcz ci taki, że słońce ledwo
Przeciśnie smużek złoty.

A co tam żuczków, a muszek brzęku,
A co tam jagód krasnych,
A co mchów tkanych, jak aksamity,
A co dzwoneczków jasnych!

A owczarz sobie pod lasem stoi,
Siwe owieczki pasie,
A Kurta szczeka, a naszczekuje:
— A nawróć się! A zasię!...

A z bożą męką krzyż w macierzankach
Starej mogiły strzeże,
A kto tam przejdzie, ten sobie westchnie
I szepce swe pacierze...

A dech ci taki słodki a mocny,
Gdzie stąpisz dookoła —
Bo smółki topną i mirrę sączą,
I zdrowiem tchną tam zioła...«

— »A to i jabym może, mateńko,
Ozdrowiał w onym lesie?
A w tej piwnicy, tom jak źdźbło ono,
Co się za wiatrem niesie...«

— »Oj ozdrowiałbyś, synku, nieboże,
Mój ty świerszczyku cichy!
A tak mi zamrzesz jeszcze przed zimą,
Jak ten wróbelek lichy...

Oj ozdrowiałbyś, synku rodzony,
Mój ty robaczku marny!
A tak mi przyjdzie twoją główeńkę
Zakopać w dołek czarny!...

. . . .

— »Nie płaczcie, matuś, nie płaczcie ino!
Możeć się jeszcze uda...
A teraz precz mi rozpowiadajcie,
Jakie to tam są cuda?«

— »Oj są tam cuda, dzieciątko moje,
Serdeczne a rodzone!
Złociste łany, srebrzyste zdroje
I sady rozkwiecone...

Oj są tam takie cuda na niebie
I na tej bożej ziemi,
Że człowiek nie wie, na co ma pierwej
Oczami patrzeć swemi!«

— »A jaż, mateńko, zobaczę kiedy
Wszyściuśko, co mówicie?
One to ptaki w lasach grające,
One zajączki w życie?

A jaż, mateńko, nie taki samy,
Jako te insze dzieci,
Co to się dla nich bieleje łąka
I jasne słonko świeci?«

. . . .

W piwnicznej izbie ciężkie westchnienie
Z ciemnego słychać kąta...
Ucichło dziecię na swym barłogu,
Matka się we łzach krząta.

W piwnicznej izbie zmierżch zapadł czarny,
Jako ta czarna dola...
— Któż dziecku temu da trochę słońca,
Pokaże lasy, pola?

„Na gody".

Pokiwali matuś głową,
Popłakali mało wiele,
Dali czapkę barankową,
Tatusiową kamizelę...

Dali łapcie z łyka szyte,
Za pazuchę kromkę chleba,
— »Idźże, Jaśku, w świat szeroki,
Na wschód słonka, na wschód nieba...

Jeszczećbym ci w chacie rada,
Zbierzesz chróstu, dźwigniesz wody,
A no kiedyż ci do ludzi,
Jak nie teraz, nie ną gody?...

A gódź-że się w dobrą chwilę,
W dobrą chwilę i godzinę,
Po wszelakiej należności,
Choć za zgrzebną koszulinę...

A zgódź-że się u bogacza,
W dobre słowo, w dobrą wiarę,
Jak przesłużysz, co się patrzy,
Da ci może buty stare...

A nie wracaj do chałupy,
Aż wyrośniesz mi z pastucha,
Aż wysłużysz na grzbiecinę
Siaki taki szmat kożucha«.

— »A i długoż mi, matusiu,
Na te buty służyć w świecie?« —
— »Aż cię, synku, bieda zgryzie,
Aż cię praca w dół przygniecie«. —

— A i długoż mi, mateńko,
Na ten kożuch służyć trzeba?« —
— »Aż cię Pan Bóg dojrzy, synku,
Z wysokiego swego nieba«. —

Idzie Jasiek po ścieżynie,
Co się spojrzy, to ją minie,
Co się spojrzy, to się smuci —
Albo pójdzie, albo wróci...

Stara wierzba, jakby żywa,
Gałęziami za nim kiwa,
Czegoś skrzypi, czegoś biada,
Dziw do niego nie zagada...

Oj! nie użył Jasiek w chacie,
Ani wczasu, ni swobody...
— Ano — kiedyż mu do ludzi,
Jak nie teraz, nie »na gody« ?...

Dzwony.

A gdy skonał w czarnej chacie
Jasieńko miły,
Poszła matka prosić dzwonów,
By mu dzwoniły.

— Mój synaczek, mój rodzony
W trumience leży,
O zagrajcież wy mu, dzwony,
Z tej białej wieży!

Niechaj idzie głos bijący
O jasne słońce,
Przez te pola, przez te lasy,
Z wiatrem szumiące...«

Ale dzwony twarde serca,
Zimną pierś miały.
»Będziem jemu dzwonić, matko,
Za talar biały«. —

I wróciła, narzekając,
Do pustej chaty,
I strząsnęła wszystkie kąty
I zgrzebne szmaty...

I nic więcej nie znalazła
Prócz onej świty,
Którą syna trup zczerniały
Leżał nakryty.

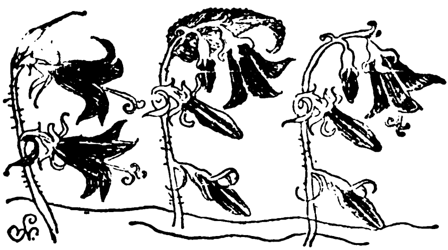
— Nieszczęśliważ moja dola,
Jasieńku miły!
Chybaż tobie łzy te moje
Będą dzwoniły...

Chyba moje narzekanie
Bić będzie z rosą,
Kiedy ciebie na mogiłki
Z chaty wyniosą!«

I wynieśli za próg czarny
Trumienkę lichą,
A za synem poszła matka
Ścieżyną cichą...

I nie grały jemu dzwony
Z wysokiej wieży,
Jeno szumiał las zielony
I wietrzyk świeży...

Jeno dzwonki te liljowe,
Co w borze rosną,
Żeby dzwonić chłopskim trumnom
W drogę żałosną...



DZIAŁ III.
NASZA CHATA.

Przygrywka.

Nie daj mi, Boże, śpiewać w zimnym tłumie,
Co wzruszeń nie zna i płakać nie umie,
Nie daj mi, Boże, śpiewać w głuchej nocy,
W której pieśń niema ni lotu ni mocy!

Lecz daj mi śpiewać na szerokim łanie,
Gdzie wichrem leci i głos i wołanie,
Gdzie serca biją o piersi, jak młotem,
Gdzie pieśń uderza piorunem i grzmotem!

Lecz daj mi, Boże, śpiewać bratnim tłumom,
Z których szum idzie równy leśnym szumom,
I nad któremi, w polocie do słońca,
Orłowie lecą, jak chmura wiejąca...

Lecz na ogromnej daj mi śpiewać niwie,
Przy wielkiej kośbie, przy wiosennem żniwie,
Gdzie łanem idą szerokie pokosy,
I gdzie się z jękiem kłos wali na kłosy...

Lecz daj mi śpiewać w tej jutrzennej chwili,
Gdy się noc długa nad ziemią przesili,
Kiedy ciemności skończy się niedola,
A dzień nam błyśnie nad chaty i pola!

Nasza chata.

A kiedy patrzę na dach słomiany,
Jak w przedwieczornej łunie się pali,
Na te omszałe, żywiczne ściany,
Pod jarzębiną, pełną korali,
Kiedy nad dachem bocian klekota,
A bór gdzieś szumi, a łąka rosi,
Gdy z starej lipy pszczółeczka złota,
Jak za piastowych czasów, miód nosi,
Kiedy pod dębem siądą ojcowie,
Jak wiec prastary, niebem nakryty,
Gdy dźwięk zamarły ozwie się w słowie,
Gdy się zabielą siermiężne świty,

Kiedy przy smolnym trzasku łuczywa
Winie się nitka długa, ciągniona
Z lnów naszych białych, het, ot jak żywa,
Na czarodziejskie baśni wrzeciona: —
Wtedy mi duszę rzewność oblata,
Czegoś mi tęskno i czegoś miło...
I mówię sobie: oto jest chata,
Z której nam wyszło wszystko, co było!

. . . .

A kiedy patrzę na dach słomiany,
Jak w jutrzenkowe płoni się zorze,
I widzę z berwion dębowych ściany,
Którym czerw serca wygryźć nie może,
Gdy siewacz rzuca wiosenne ziarno,
Kiedy się runią ugor odziewa,
Gdy lemiesz skibę odwala czarną,
A oracz idzie i piosnkę śpiewa,
Gdy się skowronek w polu rozdzwoni,
Gdy na kurhanach zakwitną zioła,
Kiedy szum cichy idzie po błoni,
A dzwon wioskowy na pacierz woła,
Gdy dziad bez nogi dziwy powiada,
A dziatwa patrzy, a młodzież słucha:
Czy konie zarżą, czy wiatr zagada,
Czy pies zawietrzy blizkiego ducha, —

Kiedy na pole, pod ranne rosy,
Kosiarze wyjdą a brzękną w kosy,
I kiedy razem całą gromadą,
Z wielkim rozmachem łan zboża kładą: —
Wtedy nadzieja w pierś mi kołata,
Dumka się rzewnie snuje a przędzie,
I mówię sobie: oto jest chata,
Z której nam wyjdzie wszystko, co będzie!

Jesienią.

Szare ptaszyny, szare ptaszyny
W łunie zachodu lecą!...
Ostatnie złote słońca kruszyny
Na ich skrzydełkach świecą...
Za sine morze, jak czarna chmurka,
W kraj świata mkną, daleko!...
A w locie gubią pstre swoje piórka,
Nad oną modrą rzeką...
Oj, wy ptaszyny, pewno nie znacie
Naszej bielonej chaty,
Ani ogródka mego przy chacie,
Gdzie kwitną krasne kwiaty...

Pewno nie znacie mego dziadula,
    Co z lipy łyżki struże...
I plastry miodu wybiera z ula,
    Ot takie, słodkie, duże...
Pewno nie znacie tej dzikiej gruszy,
    Szumiącej w drobne liście...
Ani Stasienka, co gra od duszy,
    Tęskliwie, a ogniście...
Pewno nie znacie mgieł tych, co zrana
    Po łąkach tak się wloką,
Że trzeba w srebrze brnąć po kolana,
    Jak tylko zajrzy oko.
Ani tej tęczy, co ziemi sięga,
    Na pańskim het folwarku,
Jak najognistsza w kolory wstęga,
    Kupiona na jarmarku...
Ani tej sosny, co rośnie krzywa,
    W niezdartej swej opończy,
I jeno z wiatrem gałęźmi kiwa
    I białą smółkę sączy...
Ani tej naszej grobli nad rzeką,
    Huczącą gdyby żarna,
Gdy z niej po żwirach kropelki cieką,
    Jak rozsypane ziarna.
Ani tej łąki, gdzie pachnie siano
    Złożone przede żniwy...

Ani ugoru, gdzie gna co rano
Owieczki owczarz siwy...
Ani tych dymów, co się tam ścielą.
Jesienną wróżąc słotę...
Ani taneczka z huczną kapelą,
Ludziskom na ochotę...
Ani tej zorzy, co het za górką,
Na wyścig ze mną wstaje...
A tak się śpieszy przyjść na podwórko,
Aż mnie matusia łaje!...
Ani miesiączka tego jasnego,
Co się tak patrzy, blady,
Aż się coś dzieje w sercu dziwnego,
Choć płakać!... ani rady!...
Pewno nie znacie tego przełazka,
Kędy po wodę chodzę...
A Stacho do mnie, jak do obrazka,
Modli się tam przy drodze...
Ani tych dzwonów z kościelnej wieży,
Co we mgłach kędyś toną...
Ani mogiłki, gdzie tatuś leży,
Pod darnią, pod zieloną!...
Ani tej pieśni, co płynie rzewna,
Przy krosnach, u ogniska,
Kiedy łuczywo z smolnego drewna
Iskrami wkoło pryska.

Ani tej nocki, co wstaje biała,
W złocistych gwiazd koronie,
Patrzeć, czy rosa już rozsypała
Swe perły po zagonie...
Ani tej ciszy, co w chaty progu
Z palcem na ustach siada
I słucha: kto się poleca Bogu,
Kto krzyż na czoło wkłada...
Ani świerszczyka, co przy kominie
Ćwierka, schowany w dachu...
Ani snów dziwnych o rozmarynie,
O drużkach... to o Stachu...
Bo gdzieżby wam też, mocny mój Boże!
Na głody, chłody, troski,
Za siódmą górę, za siódme morze,
Ot z takiej lecieć wioski?!...

Pieśń o domu.

Kochasz ty dom, rodzinny dom,
Co w letnią noc wśród srebrnej mgły,
Szumem swych lip wtórzy twym snom,
A ciszą swą koi twe łzy?

Kochasz ty dom, ten stary dach,
Co prawi baśń o dawnych dniach,
Omszałych wrót rodzinny próg,
Co wita cię z cierniowych dróg?

Kochasz ty dom, rzeźwiącą woń
Skoszonych traw i płowych zbóż,
Wilgotnych olch i dzikich róż,
Co głogom kwiat wplatają w skroń?

Kochasz ty dom, ten ciemny bór,
Co szumów swych potężny śpiew
I duchów jęk i wichrów chór
Przelewa w twą kipiącą krew?

Kochasz ty dom, rodzinny dom,
Co w pośród burz, w zwątpienia dnie,
Gdy w duszę ci uderzy grom,
Wspomnieniem swem ocala cię?

O, jeśli kochasz, jeśli chcesz
Żyć pod tym dachem, chleb jeść zbóż,
Sercem ojczystych progów strzeż,
Serce w ojczystych ścianach złóż!...

U okienka.

W chacie u mego siedzę okienka,
Cieniuchną nitkę wysnuwa ręka;
Przedemną kądziel siwa, brodata,
A oczy lecą na koniec świata!
  Z mego okienka widać niemało,
  Byle się tylko patrzeć umiało,
  Byle tchem ciepłym, od wnętrza chaty,
  Odchuchać srebrne na szybach kwiaty...
W lewo i w prawo widać szmat nieba,
I tylko oczy podnieść potrzeba,
Żeby zobaczyć wśród gwiazd tysiąca
Cości wielkiego... cości bez końca!...
  Choć w szybce otwór taki malutki,
  Choć mgła się nad nim wiesza, jak smutki,
  Choć rosa stoi w perłach, jak łezki,
  Widać het!... cały pałac niebieski.
A kiedy wiosną kogut zapieje,
Kiedy w słoneczku wiosna odnieje,
To taka jasność uderzy potem,
Jakby kto chatę potrząsnął złotem.
  I widać wtedy z mego okienka,
  Jak się u brzegu chwieją czółenka,
  Jak ta Wisełka, ta modra nasza,
  Flisów do drogi z sobą zaprasza...

Wiosce tam wielkiej wody nie trzeba;
Młynek na strudze dość zmiele chleba...
A nieraz przecie myślę: moc boża,
Że nasza Wisła idzie do morza!

Idzie i szumem po świecie gada,
Jak się tu u nas sprawia gromada...
I niesie — Bóg sam wie, jak daleko
Tratwy, i pieśnie, i łzy co cieką...

Z mego okienka widać na lewo
Ogromne, stare, spróchniałe drzewo,
Co, powiadają, zakwitnie wtedy,
Jak już na świecie nie będzie biedy,

Ni ludzkiej krzywdy, ni poniewierki,
Ani wojenki, ani żołnierki..,
Gdy każdy w własnej chacie zasiędzie
I wszystkich braćmi nazywać będzie...

Jaćbym tam temu nie była krzywa!
Chce się zwać bratem, niech się nazywa..
Byleby tylko Jaśka w Dąbrowie
Dali inaczej wołać ojcowie!...

A tam na prawo, gdzie Boża Męka,
Widać het!... pole z mego okienka;
Po miedzy tatuś w zamysłach chodzi:
Czy też zarodzi?... czy nie zarodzi?...

Oj!... głód — to straszna jest kara nieba...
Ojcze nasz, daj nam czarnego chleba!
Zapal nam słonko najświętszą ręką
I rzuć promyczek w każde okienko!

Nasze srebro, złoto.

Kiedy zboża łan zakwitnie,
Gdy zachrzęsną kłosy żytnie,
Kiedy w modrą ranną ciszę
Pszenny dział się zakołysze,
Jako fala poruszona
Od zagona do zagona,
To ci duszę załaskota
Pobrzęk srebra, podźwięk złota.

Szmer a szmery... szum a szumy...
Ot i w oku cień zadumy,
Ot i piosnka gdzieś daleka
Echem goni, łzą ucieka.
Z polnej gruszy kwiat opada,
Łan, jak żywy, z tobą gada...
Słuchasz, dumasz, by sierota,
Wpośród tego srebra, złota.

Ziemia czarna, zima długa,
Pot zalewa grządziel pługa,
Ani widu, ani słychu,
Kto łeb skręci temu lichu,
Już, już myślisz — nie dośpieje!
Już ci wicher rwie nadzieję.
Już ci w duszę rozpacz miota
O te łany srebra, złota...

Alić oto, z młodą wiosną,
Duch a siła w piersiach rosną.
Kiedy przejdzie się w zieleni
Majowego słonka ksieni,
Gdy się za nią śladem sunie
Smug za smugiem w złotem runie,
A z czarnego ziemi żebra
Tyle złota, tyle srebra...

Jużbyś nie rad z tego łana,
Gdzie ci kwiecia po kolana,
Gdzie nad tobą ciszę trąca
Skowronkowa pieśń dzwoniąca...
Jużbyś tylko wodził okiem,
Po tem polu, po szerokiem,
I wydychał dech żywota
W pośród tego srebra, złota!

Aż do samej, hen, jesieni
W oczach ci się pole mieni,
Co dnia na niem więcej chleba,
Co dnia kłosy bliższe nieba,
Co dnia miedza ciaśniej świta
Bławatami — na wskroś żyta,
I mak ledwo się migota
Z pośród srebra, z pośród złota.

Aż gdy rankiem brzękną kosy,
Wyschną w słońcu łzy i rosy,
Przepogodnym się błękitem
Niebo śmieje ponad żytem,
Już ci serce w smętku wskrześnie,
Polem pójdą nowe pieśnie,
Już ukoi się pieszczotą
Nasze srebro, nasze złoto!

Już ci dusza po niewoli
Zapomina o złej doli,
O złej doli, czarnej roli,
O tej ranie, co ją boli...
Już tym szumem urzeczona
Płynie, leci wzdłuż zagona,
Płynie, leci swą tęsknotą,
Przez to srebro, przez to złoto.

Bogdajże mi takie drogi,
Takie drogi, taka zorza,
Coby wiodła w chaty progi,
Między pola, między zboża,
Bogdajże mi rannym świtem,
Pod tym cichym stać błękitem,
U własnego z chrustu płota,
Wśród naszego srebra, złota!

Dziś w nocy.

Dziś w nocy Anioł szedł przez nasze wiosl
Promienny posłaniec boski,
I pukał we drzwi, co chatę zaparły,
I trzykroć pytał: — »Kto tu jest umarły?

Lecz nikt nie słyszał z śpiących. Tylko ca
Wioska się nagłą jasnością oblała,
Jak od błyskawic szerokich na wschodzie,
Co przyjście czynią błękitnej pogodzie,
Że choć nie było na niebie miesiąca,
Stała blaskami srebrnemi siejąca,
Anioł zaś przez nią szedł, a szum się mał
Czynił po drodze, iż wierzby skróś drżały.

Aż w tej jasności nagłej jęły ściany
I węgły naszych chat i dach słomiany
Szeptać tak właśnie, jako kiedy w ciszę
Brzoza listeczki lekuchno kołysze.
I pytać jęły głosami cichemi:
— »Kto tu umarły?.. Kto?«
A wtem od ziemi
Podniósł się głuchy jęk w ciężkiej żałobie:
»Ja, matka-ziemia! Ja leżę tu w grobie,
Choć żywa jeszcze, a ledwo się ducha
W zmartwiałych piersiach moich kto dosłucha!«

Co słysząc Anioł, roztworzył ramiona,
A z piór swych gwiazdy otrząsać jął złote,
I rzekł: — »Z Chrystusem byłaś umęczona,
Z Chrystusem krzyż swój niosłaś na Golgotę,
A kiedy trzecie zabłyśnie zaranie,
Z Chrystusem będzie twoje zmartwychwstanie!«

A ziemia: — »Wiele przeciekło już wody,
Z rzek moich w morze, od kiedy trwam w grobie,
I jestem Łazarz pomiędzy narody,
A rozdzielony jest mój lud sam w sobie,
A synów moich część się mnie zaparła,
Mówiąc: Co matka? Matka już umarła!
Jakoż więc przyjdzie, a jako się stanie,
Przepowiadane owo zmartwychwstanie?«

A na to Anioł: — »Upadła korona,
A podniesiona będzie w majestacie,
A tyś niewiasta na marach złożona,
A wskrześniesz, kiedy Pan zawoła na cię;
Liść z dębu leci, za wiatrem się wije,
A zaś się nowym majem dąb okryje!«

A ziemia: — »Bądźże mi jeszcze cierpliwy,
Już spytam, po czem poznam, że się iści
Czas mój, że idą już na mnie te dziwy,
I że mam puszczać maj świeży mych liści«.

A na to Anioł: — »Oto z piór mych końca
Otrząsam gwiazdy i sieję siew słońca.
Gdy lud go przyjmie i w chatach roznieci,
Wtedy zabłyśnie dla ciebie dzień trzeci.

...Uderzą serca narodu, jak dzwony,
Duch nad człowieka będzie podwyższony,
Pomstą się ślepą ni złością nie zaćmi,
I cały lud twój będzie sobie braćmi!
Jako wiosenną, słoneczną pogodą,
Świat zajaśnieje miłością i zgodą,
Dziateczki w chacie ognisko obsiędą,
Matki o ciebie, ziemio, pytać będą.
A matka oczy podniesie do nieba,
Jak teraz ciału, tak duszy da chleba,

Gwiaździste owo tuląca zarzewie
Światła w swej piersi, o którem dziś nie wie.
Zerwą się wtedy ręce, serca, głowy,
I kamień z ciebie odwalą grobowy,
I zejdzie tobie siew ducha i słońca,
I będziesz matką żyjących — żyjąca«.

. . . .

Więc ziemia, słysząc one słowa posła,
Cała się łkaniem radosnem zaniosła,
A grzmot wiosenny nadziei dał hasła,
I zniknął Anioł, i jasność ugasła.

Nowe lato.

Nowe lato Chrystusowe
Zawitało w nasze progi.
Hej! otwórzmy drzwi do chaty,
Światło niesie gość nam drogi!

Światło niesie onej gwiazdy,
Betleemskiej gwiazdy oto,
Co nad ludźmi dobrej woli,
Zajaśniała jutrznią złotą.

Światło niesie pod tę strzechę,
Gdzie bywało smutno, ciemno.
Niesie sercom tym pociechę,
Co płakały nadaremno!

O zawitaj, Roku nowy!
Ty z Bożego idziesz wieca,
Powiedzże nam, przemów słowy,
Jaka będzie dola kmieca?

Co tam o nas uradzają
W onej rajskiej Bożej Radzie?
O nas matkach, o dzieciskach,
O tej ziemi, o gromadzie?

Czy się też tam przechyliła
Ona szala naszej biedy?
Czy się znaczy dobra dola?
I skąd przyjdzie nam i kiedy?

Czy daleko od nas jeszcze
Miłościwe ono lato,
Gdy zaświeci jasno słonko
Nad tą ziemią, nad tą chatą?

Równo, równo trzyma w niebie
Złote szale ręka Boża!
Ni dla pana, ni dla chłopa,
Tylko wszystkim wschodzi zorza!

Ile światła w twojej duszy,
Tyle słonka świecić będzie,
Tyle ziarna kłosy dadzą,
Ile potu na twej grzędzie!

Dobra dola tym się znaczy,
Co miłują ziemię — matkę.
Co miłują ludzi-braci,
Słodką zgodę, czystą chatkę!

A nie będzie szła jej droga
Ani z wschodu ni z zachodu,
Jeno z wiary w lepsze jutro,
Jeno z pracy dla narodu!

Miłościwe lato boże
Idzie ku nam, idzie oto...
A kto serce w niebo wznosi
Ujrzy jego ścieżkę złotą!

Dziaduś.

Nowe słonko w niebie stoi,
Nowe słonko, nowe lato.
Wyszedł na próg dziaduś siwy:
— Bóg cię trzymaj, moja chato!

I obrócił się na strony,
I wyciągnął obie ręce,
Błogosławił krzywym płotom,
Krzywym płotom i studzience.

— Bóg was trzymaj, krzywe płoty,
Suchym chróstem zaplecione!
Chodziły tu różne wichry,
Ale poszły w swoją stronę.

Bóg cię żegnaj ręką swoją,
Ty studzienko z żytnią wiechą!
Napoiłaś ty mnie łzami,
Napoiłaś i pociechą!

I obrócił się na zachód,
Na to pólko, na te łany:
— Bóg cię trzymaj, ziemio moją,
Mój zagonie przeorany!

Siedmiorakim ja cię potem,
Jako drobnym dżdżem polewał,
I za pługiem chodząc miedzą,
Jak skowronek tobiem śpiewał.

Razem z ziarnem — krople potu,
Razem z potem — pieśnie padły,
Na ten chleb naszego jutra,
Żeby kruki go nie jadły!...

I obrócił się na słońce,
Gdzie się łąka rozzielenia,
I zamachnął się ogniście,
Jakby kosą od ramienia.

— Bóg cię trzymaj, moja łąko,
Przesieczona ostrą kosą,
Świeciłaś ty znojem naszym,
Świeciłaś ty bujną rosą!



DZIAŁ IV.

Z BLISKA I Z DALEKA.

Z daleka.

Ktoby mi to dał, o Boże!
Ktoby mi to dał,
Aby pieśni moje były
Nakształt złotych strzał!
I leciały w dal błękitną,
I leciały w dal,
Gdzie bławatki modre kwitną
W pośród żytnich fal!
Nad ten ciemny bór szumiący,
Nad ten ciemny bór,
Gdzie te chaty stoją czarne,
I ten biały dwór!

Jednę chwyci noc i ciemność,
Jednę chwyci noc,
Druga stępi o mur twardy
Swego ostrza moc...
Może chociaż ta ostatnia,
Może chociaż ta,
Co mi w piersiach drży i płacze
I po nocach łka,
Wpośród naszych pól zoranych,
Wpośród naszych pól
Utkwi w ziemi, by z niej dobyć
Życia krzyk i ból!

Do granicy.

(Wiersz pisany z powodu wydalania srogim nakazem Bismarka dziesiątek tysięcy Polaków z Prus w r. 1886 i 1887).

— Zaparli chałupę,
I »befel« gwoździem na wrótni przybili.
Więc dzieciąteczka zgarnęłam na kupę,
A to najmłodsze, co płacze i kwili,
Jak ten wróbelek — dźwignęłam na ręce,
I tak powiodłam to stadko jagnięce
W świat, gdzie poniosą oczy...

— Patrzę — z dachu
Jaskółka drobna za nami wyleci,
A że nie miała od ludzi przestrachu,
Więc się z szczebiotem poniesie nad dzieci,
Jakby żegnając właśnie... A był ranek
Zimny i wiatr nam zawiewał do kości.
A słońce tlało, jak lichy kaganek,
Tak już sam Pan Bóg uskąpił jasności
Na onę drogę smętną...
— Szłyśmy razem
Kobiety z dziećmi żałosną gromadą.
Za nami pobok straże konne jadą,
I klną i dziatwę drobną biją płazem,
Nagląc do drogi...
— Byłaż to godzina!
Rodząca bólów swoich zapomina,
Ale mnie owej nie zapomnieć chwili,
Kiedy nas żywym murem otoczyli,
I z trzech stron słońca zamknęli nas ścianą
Łbów końskich, białą parskających pianą.
Za nami wioski nasze i sadyby,
Pola, ogrody, pasieki i łąki —
A my tu gnani, jako te skowronki
Z gniazd wyrzucone, albo z wody ryby.
Jezu Ty Chryste!...

Odwrócę ja głowę.
Żeby raz jeszcze popatrzeć na oną
Chatę, obórkę, na sady wiszniowe,
Na wdowią rolę trójpotem zroszoną,
A ta mi strzecha stanęła, jak złota,
W oczach, a na niej dwa gołębie siwe,
Jakby ze srebra... A wszystko od płota,
Aż do żórawia, co moknie w studzience,
Wydało mi się, jakby było żywe,
I jakby do mnie wyciągało ręce...
Patrzę ja pilnie, aż moja Bielicha,
Moja krowina, com ją zaprzedała,
Stoi a ryczy, a choć w trawie stała,
Nie posięgała się przecież do jadła,
Tylko za nami patrzy się, a wzdycha,
Właśnie jak człowiek...
Dziw, żem tam nie padła,
Taka mnie żałość zdjęła. Wszystko moje
Tam się zostało, a ja tu przed siebie,
Jako gąseczki, dzieciątek tych troje
Zaganiająca, o głodnym szłam chlebie
Między tych matek żałosnym narodem...
A one liche sieroty nie wiedzą,
Że już ostatni to kąseczek chleba,
Co go z zagona osiadłego jedzą,
Z własnego ziarna, z pod własnego nieba...

Tylko najstarszy, co w kupce szedł przodem
I niósł na kiju ojcowską sukmanę,
Miał liczko jakby czegoś zadumane,
I oczy jakby we łzach pływające,
Ile się razy obrócił na słońce...
A bliżej kol
Szła gadająca z sobą nieprzytomnie
Staruszka, jako ta turkawka siwa,
Trzęsąca głową, ślepa, ledwo żywa,
I drogi sobie kijem szukająca,
I jak osiki listek cała drżąca.
Więc że jej stare nie służyły nogi,
I zostawała w tyle za innemi,
Popchnął ją żołnierz... Upadła wśród drogi.
A gdy ją ludzie podnieśli, na ziemi
Tak odcisnęło się jej wyschłe ciało,
Jak w Weroniki chuście i zostało,
Jak pieczęć krzywdy naszej przyłożona
Pod okiem Boga do ziemi tej łona.

Jak kamień ciężkie, jak węgiel gorące
Było dzieciątko na rękach mych śpiące.
A tu ni stanąć, ni siąść, choć pod miedzą,
Choć na kamieniu, jako pliszki siedzą,
Albo jak kawki w polu...

Dalej! Dalej!...
Aż nas na rozstaj pod wieczór przygnali,
A na rozstaju był krzyż. Więc się owe
Niewiasty z płaczem do niego rzuciły,
A gwiazdy weszły na niebo czerwone,
Jak krwawe Boże łzy — i tak świeciły.

O Utajony na krzyżu, o Chryste!
Najlichszej muszce naznaczasz uchronę
I ptaki wracasz na drzewa ojczyste,
A nasze gniazda zburzone?...
O Utajony na krzyżu, o Panie!
Mróweczkę strzeżesz w mrówczanym jej gmachu,
I liszce w norze obierasz mieszkanie,
A nasze głowy bez dachu?...
O Utajony na niebie i ziemi!
Ty wiosną domki budujesz ślimacze...
Myż tylko sami, pomiędzy wszystkiemi
Mamy być wieczni tułacze?...

. . . .

Ustał płacz niewiast i tylko się zcicha
Tu, owdzie, łkanie stłumione zaniesie.
A las w oddali, to szumi, to wzdycha,
A wicher jęczy i wyje po lesie...
W mchu utuliłam zziębnięte dzieciny,
W nieboszczykową odziawszy sukmanę.

Ale najmłodszy nie spał, a był siny,
Oczy otwarte miał i jakby szklane,
I po powietrzu rączkami się chwytał,
Do domu wołał i o coś się pytał...
A już od rana plątało się przy mnie,
Drżące w chustczynie nędznej na tem zimni
Dziewczątko drobne, może siedmiolatka.
Więc rzekę do niej: A gdzież twoja matka?
— Pomarli matuś — odrzecze mi na to.
— A ojciec? — Tato? Pomarli i tato...
— Cóż ty tu robisz? — A mnie wypędzili,
Precz mi kazali bieżeć za innemi...
I jak to kurczę, głowinę pochyli
Na bok i do snu skuli się na ziemi.
Więc ją fartuchem okryłam, i wstałam,
I patrząc na to sieroctwo — nie spałam.

. . . .

Trzy dni my takie i trzy mieli noce.
Gwiazdy nas kładły i gwiazdy budziły...
A ze mnie wyszły ostatnie już moce,
I duch, i wszystkie ze mnie wyszły siły,
Com je dobyła z siebie, niosąc dzieci
Jedno po drugiem przez dwa dni i trzeci.
A było już ich jako w koniczynie
Onych listeczków — trojgo... A ten czwart
Zastygł mi w ręku i poszedł w olszynie

M. Konopnicka.

Cudzej, pod krzyżem odprawować warty,
I czekać aż mu pióreczka odrosną,
Żeby do domu zaś odlecieć wiosną,
Jako ten gołąb, co nie chce od strzechy
Odstać, a indziej zażywać pociechy...
W białym on piasku bez trumienki leży
Na cudzej miedzy i leśnej rubieży,
I tylko po nim rozchodnik ten pnie się
I ta kukułka mu kuka po lesie...

. . . .

. . . .

Krwawemi łuny wschodziło nam rano
U tej granicy, do której nas gnano.
A choć nas rosy przejadły ziębiące,
Nikt się nie cieszył, że wschodzi to słońce,
Które nam obce i zimne się zdało,
Gdy tak na nędzę naszą patrząc — wstało.
Pokulbaczyły swoje konie straże,
I znów nas innym strażnikom oddały.
A teraz wrócą tam, gdzie są cmentarze
Zamiast tych wiosek naszych, co się śmiały
Białością domostw i sadów zielenią...
A dziś sczernieją od łez i tak zmienią
Tę jasność swoją od klątw, co tam lecą,
Że nie rozśmieją się już, nie rozkwiecą,

I będą stały przed Bogiem, — jak groby,
Pełne tej krzywdy naszej i żałoby...

. . . .

. . . .

A teraz, choć dzień, jest mi w oczach ciemno,
I nie wiem sama, czy ten świat przede mną
Będzie mi kiedy ojczyzną i domem.
A jestem dzisiaj porażona gromem,
I oderwana od piersi tej ziemi,
Co mnie zbożami karmiła swojemi,
I słońcem swojem cieszyła mi duszę...

. . . .

A to wiem, że tu żyć i cierpieć muszę...

. . . .

Na Piastowym Śląsku.

— »Niechaj będzie pochwalony!«
Pątnik drogą uznojony
Gościem przyszedł w śląskie strony.

Przyszedł chyląc siwej głowy,
Od Królowej z Częstochowy,
I gdzie Wawel Krakusowy.

Hej, i z dalszej okolicy,
Gdzieś od Gopła, od Kruszwicy,
Gdzie brzmi pieśń Bogarodzicy!

Niby biedny, niby stary,
A ma wzrost królewskiej miary,
Srebrny włos spada na bary.

Niby zwiędła twarz i sucha,
Ale w oczach żary ducha,
Jakaś moc od niego bucha.

Zaczem dawszy pokłon Bogu,
W śląskiej izby przysiadł progu,
Niby żóraw na rozłogu.

Ściągnął z pleców małą lutnię,
Pobrząkiwać zaczął smutnie,
To przynuci, to znów utnie.

Jakaś pieśń niewyśpiewana
Pali, boli go, jak rana,
Pieśń, z poselstwem jemu dana.

Poschodzili się ludziska,
Ten, ów gościa rękę ściska;
Toć swojacka krew i bliska!

Poschodzili się rówieśni
Pątującej słuchać pieśni,
Coś się śni im, cości nie śni...

Jakieś dawne przypomnienia...
Łza ukradkiem wzrok zacienia,
Słychać szepty i westchnienia.

— »Hej ty mowo, nasza mowo,
Znasz ty zaklęć wielkie słowo,
Masz ty siłę piorunową!

Hej ty pieśni, swojska pieśni,
Pachniesz ty nam kwieciem trześni,
Z pod zimowej szarej pleśni!

Hej ty słowo, słowo nasze,
Ty ślązackie i ty lasze,
Dzwonisz ty nam, jako ptasze!...

Utęsknieni my do ciebie,
Jak do słonka na tem niebie,
Jak do mocy w dusznym chlebie!...

Wstań nam zorzą! Zbudź tysiące!
Serca nasze są mdlejące,
A nad nami mroki ćmiące!...

Wstań hejnałem! Noc nam głucha,
Utłumiła w piersiach ducha,
Wszędzie gorzkość i posucha...

Cudze dymy — wzrok wyżarły,
Cudze prawa — dech zaparły,
Lud my sąśmy pół-zamarły!...«

Gwarzą, szepcą gospodarze,
Dawni śląskich niw włodarze,
Oczy we łzach, w ogniach twarze...

Zaciskają pięście młodzi,
Płomień im po licu chodzi,
Żywa moc się w kościach rodzi.

A wtem pątnik podniósł oczy,
Rozgrzmiał pieśnią w głos proroczy,
Co jak grom się niebem toczy...

Na trzy strony rozgrzmiał świata
Jak ten wichr, co polem lata,
Aż się wstrzęsła śląska chata.

. . . .

Już nadszedł czas! Już stał się cud!
Już godzin słyszę bicia...
Letargu snem schwycony lud,
Przebudził się do życia!

Już nadszedł dzień, już błysnął dziw,
Zdawna przepowiadany,
Z letargu lud się przecknął żyw,
I wstrząsnął grobu ściany!

A duch przejasny woła nań,
Wieczysty duch narodu:
— »Łazarzu wstań! Łazarzu wstań!
Już idą brzaski wschodu!

Przespałeś wiele, wiele dni,
W śmiertelne żgła spowity,
Dwugłowy orzeł krakał ci,
Że zgasły Boże świty...

A oto jutrznia wschodzi hań!
Pod niebo hejnał leci...
Łazarzu, ludu śląski, wstań!
Ty kmieciu, z Bożych kmieci!«

I poczuł Ślązak w żyłach krew,
I poczuł nowe siły,
I zmartwychwstania wznosząc śpiew,
Podźwignął się z mogiły.

Śmiertelny znój to! krwawy trud!
Wysiłek niesłychany!
Po wiekach całych śląski lud
Niemieckie rwie kajdany!

W ojczyzny imię bierze, chrzest,
Potężny chrzest dziejowy,
I wie, że Polska — matką jest,
A on — że ród piastowy.

I dźwiga się z zbyt długich snów
Po ciężkiej, dusznej męce,
Do matki-Polski oto znów
Wyciąga obie ręce.

I wiedzie syna ojciec sam,
Gdzie brzask od Wisły świeci,
I woła: »Synu, patrzaj, tam
Nasz orzeł biały leci!«

I patrzy chłopiec w modry szlak,
W słoneczność patrzy wschodu,
I wie, i czuje, że w nim ptak,
To znamię jego rodu.

I wie, i czuje, że w nim krew
I kość gniazdowa lasza...
I brzmi mu, jak najsłodszy śpiew,
Ojczysta mowa nasza.

A ojciec tuli syna w łzach,
I żegna krzyża znakiem:
— »O synu — woła — w ciężkich dniach
Pamiętaj, żeś Polakiem!

Jak wyspa my, jak drobny ląd,
Na Niemców oceanie...
Gniew morza huczy stąd i stąd,
Lecz ducha nie dostanie!«

I podniósł w niebo bladą twarz,
Gdzie troska bruzdy orze...
I szeptał z cicha: »Ojcze nasz!...«
I szeptał: »Święty Boże!«

. . . .

Lecz gdzie jest matka? Żona — gdzie?
Gdzie ścian tych jasna dusza?
Czyliż zamarłe w długim śnie
Jej serce się nie wzrusza?

Gdzie siostra, której słodki głos
Zagłuszyłby niemczyznę,
Gdy w cichy wieczór pełen ros,
Wspomina kraj, Ojczyznę?...

Gdzie jest niewiasta, której w straż
Bóg oddał to ognisko?
Gdzie głośny polski pacierz nasz,
Pieśń polska nad kołyską?

— Milczycie! Czyliż wam nie srom,
W obliczu ziemi nieba.
Że tam, gdzie polski ród i dom,
O was się pytać trzeba?...

Że tam gdzie walczy mąż i syn,
Męczeńskim dusz orężem,
Was — żadna jedność, żaden czyn
Nie wiąże z synem, z mężem?

Że się nie balsam z waszych rąk
Na serc ich sączy blizny,
Lecz jad najsroższy z wszystkich mąk —
Zaparcie się Ojczyzny!...

Także was Niemców olśnił blask,
Blask cudzy i kradziony,
Że wam ta ziemia, pełna łask,
Zabiedna — śląskie żony?

Także was Niemców uwiódł szych,
Osłona zdrady, brudu,
Że się wstydzicie szat już swych,
Śląskiego córy ludu?

Także wam mile wpada w słuch
Niemieckie obce słowo,
Że się zapomniał mdły wasz duch
Ojczystą modlić mową?

Niewiasto śląska! Ciebie Bóg
Postawił na rubieży,
Byś nie puściła przez swój próg
Męża — na pierś macierzy!

Niewiasto śląska! Bóg ci zdał
Szafarstwo święte ducha,
On z chleba dusz, nie z chleba ciał,
Rachunku nie wysłucha.

Gdy przyjdzie dzień, gdy przyjdzie czas,
Sądzony od stuleci,
— »O matko! Czemu Niemcy z nas?«
Spytają twoje dzieci.

— »O Matko! Czemu fałsz i kłam
Zadałaś Boga woli,
Co duszę polską w pierś tchnął nam,
Osadził w Polskiej roli?

Matko! gdzie nasza mowa jest?
Rodzinna mowa lasza?
Gdzie polskie imię? polski chrzest?
Gdzie jest Ojczyzna nasza?«

Cóż ty im wtedy powiesz? Co?
Przerzekniesz tej godziny,
Gdy się od ciebie, z gorzką łzą,
Odwrócą twoje syny?

I pójdą syny twoje precz
W niemieckich pęt łańcuchy,
A serce twe przebije miecz,
A dom zostanie głuchy.

Nocą się będzie budził głos
Jękami żałosnemi,
I w smutku ci zbieleje włos,
I nagniesz się ku ziemi.

Lecz ziemia powie — nie znam cię!
I nie chcę twoich kości,
Tyś za żywota zaparła mnie,
Ja zaprę cię w wieczności!

. . . .

. . . .

Skończył śpiewak. Spuścił skronie,
Odjął z liry obie dłonie,
W oglądaniu jutra tonie.

Zadumali się słuchacze,
Tu, tam serce zakołacze,
Oko spłonie, to zapłacze.

Skruszyły się matek duchy,
Twarze skryte pod rańtuchy,
Gdzieś szloch słychać, gdzieś jęk głuchy.

Wtem wzniósł pątnik głowę swą,
A w czoło mu — o dziwo?
Zaświeciło jasne szkliwo...

Jakaś wielka światłość Boża,
Ni to miesiąc, ni to zorza,
Rzuciła się skróś przestworza.

Rzuciła się do podsienia,
Starca postać opromienia,
Skrzydłem wieje u ramienia.

Już go wznosi, już go chwyta
Jasność modra, złotolita,
Cała postać w niebo wzbita...

Mknie, ginie już dla oka,
Jako świetny kształt obłoku,
Nad światem — i wysoko.

Zadumienie ludu wzrasta:
— »Ktoś ty?... Kto?...« woła niewiasta,
A głos z blasków: »Jam duch Piastów!«

. . . .

Zniknął — wzrok go nie dogoni,
Tylko w progu srebrnie dzwoni,
Poniechana lutnia w dłoni.

Grunwald.

(Myśli i uczucia, doznane przed wspaniałym obrazem naj większego malarza polskiego, Jana Matejki (1838—1893 przedstawiającego straszną klęskę, zadaną zdradzieckiemu zakonowi krzyżaków niemieckich przez króla Władysława Jagiełłę pod Grunwaldem (d. 15 lipca 1410 r.).

Z drogi! z drogi tej przeszłości,
Co z zamierzchu i z nicości
Cała krwawa,
Zmartwychwstawa,
Jak zwycięstwa duch!
Oto grzmiąc, jak orkan, leci
Zawierucha tych stuleci,
Co pod zbroją
Wrzące stoją,
Sledząc mieczów ruch.
Uskrzydlona i pancerna,
Hasłom bratnim jak śmierć wierna,
W pole klęski
Zastęp męski
Z różnych wiedzie stron...
I nie zgadnie wróg krzyżacki,
Czy go miecz dosięgnie lacki,
Czy go ramię
Czecha złamie,
U Litwina nóg.

Stal goreje, oszczep chrzęści,
Topór warczy w chrobrej pięści...
Tam pierś naga
Tchnieniem smaga,
Nim dłoń zmierzy cios...
Okrzyk walki w przestrzeń bucha:
Szum krwi w żyłach, wrzenie ducha,
Odmach ręki,
Zgrzyty, jęki,
W jeden zlewa głos.
Hej!... zapłata to odmienna,
Niż Dobrzyńska Ziemia pszenna!
Krzywdy stare
Po za miarę
Wykipiały krwią...
Precz z drużyną stąd służalczą!
Nieśmiertelni tutaj walczą;
W szczęku, w pyle,
Na tę chwilę
Kładą pieczęć lwią!
Któż prawnucze serce zmierzy
Z wielką piersią tych rycerzy,
Grzmiących w blasku,
W zgiełku, w trzasku,
Jako orłów ród?...

Kto dziś zdzierży takie boje?
Taką sławę, takie zbroje?
Drzewce stare,
Żywą wiarę?...
Kto dziś stworzy cud?...
Las zielony patrzy zdala,
Jak ta burza się przewala;
W krwi i w dymie
Wielkie imię
Dzień ten daje mu...
Pył, co leci w błękit żywy,
Szum sztandarów, świst cięciwy,
W dziejów karty
Niezatarty
Pomnik wpiszą chrztu.
Z drogi! z drogi!... Któż dotrzyma
Rozpędowi sił olbrzyma,
Co w dniu chwały,
Zbrojny cały,
Pogromem się zwał?
Walczy — miecz się zrasta z dłonią...
Pędzi — żywą jest »pogonią«...
On przez wieki,
W świat daleki
Sławę niesie w cwał!

Kartka z raptularza.

A za tego króla Jana,
Co to po łbach bił pogana,
Przyszły posły i rozjemce:
— Ratuj królu! Giną niemce!

Turek na nas następuje,
Szyjom naszym miecz gotuje,
Naszym wieżom — księżyc w nowiu,
Naszym dziatkom — chrzest z ołowiu.

Jak zdobędą Wiedeń stary
Krwawo poczną uczyć wiary,
I postawią ciężkie stopy
W samem sercu Europy.

My — siłami niemieckiemi
Nie obronim naszej ziemi,
Zginiem — knechty i rycerze...
— Ratuj — królu — bohaterze!« —

Król się porwał rozgniewany:
— »Wara, krzyknął, bisurmany,
Na to słońce, co nam świeci,
Trząść z buńczuków waszych śmieci!

— Miecz mi dajcie!... Hej trębacze,
Niech otrąbion kraj obaczę!
Niech się Polska moja ruszy,
Mocnej dłoni, wielkiej duszy!

— Niech hussarya skrzydła bierze,
Niech stalowe lśnią pancerze,
Niech szablice błysną w ręku,
Luzak z koniem, koń w obłęku.

— Za trzy doby hufce ruszą,
I nie spocznę, klnę się duszą,
Aż oczyszczę dom sąsiada
Od szarańczy, co nań spada!« —

Posłyszała Polska króla,
Koń u żłobu uszy stula,
Rycerz ostrzy miecz stalowy.
— Kraju miły! bądź mi zdrowy!

Trąbią trąby w strony świata,
Głos po polu z wiatrem lata,
Szumi Wisła niespokojna,
Bory szumią: Wojna! Wojna!...

. . . .

Za trzy zorze i trzy noce,
Polska wiara Turka grzmoce.

Aż się szczerbi kosa śmierci,
Na buńczukach z końskiej sierci...

Grzmią harmaty, świszczą kule,
Z dziwem stoją obce króle,
Wyciągnęli długie szyje,
Patrzą — jak to Polak bije.

Biały koń się prze pod Janem
Po tem polu krwią zalanem,
Strzał tureckich błyski chwyta
Na wzniesione w skrach kopyta.

Łysa-góra*) we mgłach stoi,
Noc z niej schodzi w czarnej zbroi,
Kładzie rękę na powieki,
Nie do świtu — lecz na wieki.

Turek włosy targa w brodzie,
Król rumaka piętą bodzie...

— »Hej! na obóz! Naprzód wiara!«
Poszła koniom z nozdrzy para.
Jak wiatr lecą, jak grom walą,
Dziw, że świata nie obalą,
Dziw, że się utrzymać mogą,
Koń kopytem, mąż ostrogą.

. . . .

*) Kahlenberg.

— »Naprzód!«...

Wzięli namiot wroga.

Co miecz puścił — bije trwoga...

A po świecie okrzyk leci:

— Niechaj żyje król Jan Trzeci!

Madonna ze szczygiełkiem.

(Nazwa obrazu malowanego przez sławnego Rafaela. Obraz ten znajduje się w słynnym zbiorze (galeryi) obrazów, zwanym »Uffizi« we Florencyi (Włochy) i przedstawia Matkę Boską z Dzieciątkiem na szczerem polu, gdy św. Jan przynosi Mu szczygiełka).

Więc idąc z synem w zachodu czas,
W oblaski mżące,
Na polnym głazie przysiadła raz,
Na kwietnej łące.

A iżby bliższy synaczek był
Tej świętej ziemi,
Z kolan go puszcza w podolny pył
Stopki bosemi.

I zagrał szumem srebrzystym łan
Na traw cytarze,
I przyniósł dziecku pastuszek Jan
Szczygliki w darze.

I pstre się piórka w zachodzie lśnią
I złotem kraszą.
A chłopię wznosi rączynę swą
Nad główką ptaszą.

I patrzy w dal gdzieś, patrzy wzwyż,
W Bożej wszechwiedzy,
I rzecze: Oto stanie mój krzyż
Na polnej miedzy...

Stanie wśród olchów, wśród kalin gron,
W zaraniu złotem,
I ośpiewany będzie krzyż on
Ptasim szczebiotem.

I stanie krzyż mój wśród cichych siół,
Na dróg rozstaju,
I skłoni brzoza ponad nim w dół
Gałązki w maju.

I ofiarowan będzie mój ból
Za wszystkie one
W ziemi tej smętnej, w pośród tych pól,
Gniazda zburzone...

I ofiarowan będę ja sam,
W polu czerwonem,
Za rzesze ptasze pobite tam,
Jastrzębim szponem.

I koronowan będę, ja — król,
Ciernia koroną,
Za rzesz skowrończych krzywdę i ból,
Za pieśń zduszoną...

I wydam pot mój i wydam łzy,
I krew położę,
Za te ptaszęta, co je wichr zły
Poniósł za morze.

I stanie nad mym krzyżem na znak
Tęsknoty gwiazda,
Żeby mógł znaleźć tułaczy ptak
Drogę do gniazda.

I słucha matka i schyla skroń
W smętnej zadumie,
A hejnał cichy gra kwietna błoń
W wiosennym szumie.

Madonna sykstyńska.

(Madonna po włosku oznacza Pani. Tak tytułują Włosi obrazy przedstawiające Najświętszą Panienkę. Najsławniejszy między nimi, malowany przez najsławniejszego malarza włoskiego, Rafaela Santi (1483—1520), przedstawia Matkę Bożą z Dzieciątkiem, przed Nimi klęczy papież Sykstus; stąd »Madonna« ta zwana jest »sykstyńską«. Znajduje się ten obraz w Dreznie).

Przez gwiaździstą rosę,
Przez miesięczne blaski,
Stopki stawia bose,
Idzie pełna łaski,
Idzie na tę ziemię,
Co po nocach wzdycha,
Pani zadumana,
Śpiesząca a cicha.

Głów anielskich za nią
Świecą dna liljowe,
Rąbki owiewają
Zadumaną głowę.
Nie idzie w koronie,
Ani w majestacie,
Ale w tej bielonej
Z lnów cieniuchnych szacie.

W siną dal puściła
Źrenice wyroczne,
W pola osamiałe,
W bory smutkiem mroczne.
Idzie owionięta
Seraficzną tęczą,
Święci zastępują
I na drodze klęczą.

— A pocóż tak spieszysz,
Królowo ty raju?
— Bo płaczą słowiki
Po nocach mi w gaju!...
— A pocóż ty rzucasz
Niebieskie te wrota?
— Bo skarży się nocą
Ta ziemia sierota!...

— A pocóż tak patrzysz
W bolesnej zadumie?
— Bo jęki tam lecą
W wichrowym puszcz szumie!
— A pocóż ty niesiesz
Dzieciątko to Boże?
— Bo groby wołają
O żywot, o zorzę!

I idzie i patrzy
W dal mroczną i siną...
I tak ją obaczył
Młodzianek z Urbino.
I taką ją widzi
Oczyma smutnemi
Ten pątnik, co niesie
Proch z mogił swej ziemi.

Sąd.

(Nazwa obrazu malowanego przez potężnego malarza, Michała Anioła Buonarottiego (1475—1563), na głównej ścianie jednej z kaplic Watykanu, w kaplicy tz. »sykstyńskiej«, gdzie Ojciec św. odprawia czasem msze uroczyste. Obraz ten przedstawia »Sąd ostateczny« z niesłychaną grozą i potęgą).

Sąd... Zgroza... Strach...
Niebieski trzeszczy gmach...
Walą duchy gromowe
Na zwiędłą ziemi głowę
Belki błyskawicowe.
Zerwany świata mir...
W powietrzu jęk i skwir...
Kopcą gwiazdy zgaszone,
Słońce zdjęło koronę,

Poczerniały księżyce,
Wszystko idzie na nice,
Otchłań odkryła lice.
  Wstrząśnięte ziemi słoje...
— Gdzie, świecie węgły twoje?
Gdzie, niebo, twe pokoje?
Żywioły się zmieszały,
Stanęły morskie wały...
Powietrze się zaciska
W dławiące dech koliska,
Rozpadły się pagóry,
Po ziemi pełzą chmury,
Piotrowe pieją kury.
  Zadrżały mogił trzewa...
Bolesna wstaje Ewa,
Ciśnie się do niej wąż...
»Ja mąż!
Ja ojciec twego płodu,
Wielkiego prochów rodu!
W uścisk się ze mną wiąż!«
I grzbiet żelazny zębi,
U piersi jej się dębi,
Krzyk bije z dolin głębi...
  Z pod grobowej się darni
Budzą goście cmentarni,

Bieleją żgła, jak śniegi...
   Skończone już noclegi.
Już prochów aż po brzegi,
   Ziemia ich jąć nie może
      I woła: Sądź!...
Sądź prochy te, o Boże,
Co byłam im za łoże,
A mnie miłościw bądź!
   Rozpadł się nieba zrąb...
Wołanie słychać trąb...
      To idzie On!
Wieczności pękły wrota,
Buchnęła jasność złota,
Pan śmierci i żywota
Na sądny wstąpił tron!
   Uderzył stopą w chmury,
Pchnął krzyż w przepaście z góry,
Grzmią światy, lecą wióry,
To ramię tu, to tam...
Niema już odpuszczenia,
Strzaskany znak zbawienia,
Już skrucha win nie myje...
Ze zgrozy szatan wyje,
Przeląkł się siebie sam!
   Lecą duchy, jak liście,
Wichr je pędzi ogniście,

Szeroki mogił wiew,
Skrzydłami nietoperza
O prochy proch uderza,
Mogilny słychać ziew...
Gdzie czarność była pusta,
Ziewają senne usta...
Przez próchna, przez popioły,
Zatlały oczodoły,
Ruszył się skielet goły...
Koście do kości dążą,
Mięsa się na nich wiążą,
Stawu się chwyta staw...
I z tego, co był niczem,
Powstaje człek z obliczem
I krzyczy: Zbaw!
Ja twój rab...
                Ja rab...
Daj łaskę, a nie sąd!
  Zmieszane wstają trupy,
Judasze i biskupy
Jednej się dzierżą kupy.
Na ciałach pleśń i trąd...
Wilgoć lepnie cmentarna,
Z chust wygląda kość czarna,
Jednem żgłem kryją lice

Żony i nierządnice,
Nago idą dziewice...
Nie dba roskosznik zgniły,
Że ręce go chwyciły,
Co dawniej drogie były...
Spadają sławy wieńce,
Gasną wstydu rumieńce,
Tłoczą się potępieńce...

Nędzarz zwlókł się z swej skóry,
Dźwigając grzbiet do góry
Z spękanej trumny wieka,
W niebo co tchu ucieka,
Ratują go zdaleka...
Za palec się uczepił:
— Nie jadłem-ci i nie pił,
A Bóg mnie z błota zlepił...
Jakoż mnie sądzić będzie?
Prowadźcie mnie przed sędzię,
Niech na sąd ze mną siędzie!

Ów się porwał ku niebu
Ze swojego pogrzebu...
Już się niesie na stronę
Prosto między zbawione —
Wtem się nagle zbił z drogi:
Gad mu wisi u nogi...

Wparł rękę, ciągnie węża,
Co z sykiem grzbiet przewęża...
Gad stopy się nie puszcza.
Straceńców wyje tłuszcza...
Gasną w oku nadzieje,
Przepaść z łkaniem się śmieje,
Ohydne lepną skręty
Do zmartwychwstałej pięty,
Więc krzyknie: Ja przeklęty!
Rozgrzmiały piekłem echa,
Skaziciel się uśmiecha...
Nie bronią berła, stuły
Od grzechu, od makuły,
Nie bronią i psałterze!
Choć kościół dasz w ofierze,
Co swoje — szatan bierze.
Wtem cisza się uczyni,
Jak gdyby na pustyni...
— W tej sądu nawałności,
W ciał krzyku, w trzasku kości,
W śmiertelnej ducha mdłości, —
Z okropnej zlepion gliny,
Siadł Adam, płacze winy,
Że spłodził ludzkie syny
...Nieszczęsny ten, co zgrzeszył,
Co Ewą się pocieszył,

Gdy oścień żądz go przeszył!
  Nieszczęsny, kto stworzony,
  Kto uznał gorzkość żony,
Kto posiał śmierci plony!...
  Nieszczęsna sprawa cała:
— Dziedzictwo nędzy ciała,
I żaru, co w nim pała!
  Nieszczęsny, w kim początek
Wziął srogi życia wrzątek,
Od ojców do dzieciątek!
  Nieszczęsny, kto tę ziemię
Pod bólu sprawiał brzemię,
Kto wydał ludzkie plemię!...

  Siadł Adam, zakrył oczy,
Łzę po łzie ciężko toczy,
Płacz krwawo ziemię broczy...
Okropne pomylenie:
I rozkosz i cierpienie
Po równej poszły cenie!

  A ze dna gdzieś praświata
Szatana jęk dolata,
Jak wicher, co się niesie
W podziemnym, ślepym lesie,
Gdzie drzewo śmierci gnie się...
W pień szatan głową bije,

Nad pracą swoją wyje:
Siał żniwo — nie wie czyje?
I tak na krańcach bytu,
Wskróś mroków i wskróś świtu,
Z przepaści do zenitu,
Dwie chwieją się rozpacze,
Rwą przędzę swą dwaj tkacze,
Śmierć jęczy, życie płacze...
Wtem buchnie zawierucha,
Puszczony wróg z łańcucha,
Moc idzie ślepa, głucha...
Szczęśliwy, kto się zdarzy,
Iż ludzkiej nie miał twarzy,
Sam sobie nie był wrogiem,
Nie idzie na sąd z Bogiem,
Za ziemi leży progiem!
Duch pomsty lata w gromach
Po ciemnych czasu domach,
Błyskawic się oczyma
Najskrytszych tajni ima,
Wskróś śmierci szuka lochów
Nieosądzonych prochów...
Wypatrzył proch z prawieka,
Co sercem był człowieka,
A teraz, drżąc z bojaźni
Przed męką wiecznej kaźni,

Przytaił się mdłym pyłem
I zaparł: »Nie!... Nie byłem!« —
Zbawionych garstka krucha
Ze strachu roni ducha.
Drżą w jednej błyskawicy,
Z lewicy i z prawicy,
I święci i grzesznicy...
Spękane grobów przęsła.
Już ziemia się zaklęsła,
Już wody biorą ląd...
Już prochów nie nastarczy,
A jeszcze trąba warczy:
— Na sąd! Na sąd! Na sąd! —
Okropna modra fala
Ciał kłębem się przewala...
Sinego pełna trupa,
Łódź śmierci po niej chlupa...
Wśród jęków zawieruchy
Topią się nędzne duchy,
Podnoszą ręce, szyje,
Woźnik ich wiosłem bije,
Śmierć kosą ich odgania:
— Precz!... Niema już skonania,
Ni grobu zmiłowania! —
Czepiają się z rozpaczą,
Klną, modlą się i płaczą,

Aż w gromach Go obaczą,
 I sądny światów tron...
Ogniem się w oczach mieni
W potępień wszechczerwieni,
Padają wznak rażeni.
 — To On!... To Sędzia!... On!...
Spojrzał — zagasły globy...
Stąpił — jęki żałoby...
Truchleją aniołowie,
Słów niema w jego mowie,
Grom wali to, co powie...
Gniew — piorun... pomsta — miecz...
I podniósł obie ręce,
I dał ich wiecznej męce,
Z niebieskich swoich właści,
Otrząsnął ich w przepaści
Wszechwzgardy ruchem:
 — Precz!

II.

OPOWIEŚCI

W DOLINIE SKAWY

Jeszcze się kwietniowe słońce mało co 1
bliskiego lasu podniosło było, kiedy od
ckich [1]) rozległ się śpiew męskich i kob
sów. Zdyszany był nieco i rwący się w s
ludzie, śpiewając, szli, a idąc, przyśpies:

Jest coś głęboko przejmującego w 1
wie z ust niewidzialnych, nad ziemią
Ptak, wiatr, strumień zwijają wtedy skrz
stają dla twych uszu lecieć, szumieć
Drzewa stają nieruchome. milczące, a t
tak, że widzisz brylantowe migotanie ros
i śni ci się baśń stara o pieśni owej, c
ziemi chodzi, oczy ślepe ma i wyciągn
siebie ręce. Tak stara jest, jak świat, t
jak bezchlebne kłosy, ale gdyby jej nie b
mogiła nie porosłaby zielem, a na ołtar
paschalne [2]) świece. Bosa chodzi, jedną t

---

[1]) Mieszkań osadników włościańskich w Żyw

[2]) Wielkanocne. Pascha — święta wielkanoc

koszulę na sobie ma, nie zatrzymuje się nigdzie, nie łaknie ni snu ni wody, pragnąca nie jest. Na kogo się natknie, ten za nią iść musi i tak, jak ona, śpiewać, ślepym być i wyciągnięte ręce mieć w powietrze ciche i w wichry jęczące. A choćby król był, boso musi iść, iżby się zbliska ziemi tknął, czy to w kwiat, czy w ciernie ugodzi, inaczejby się w kamień obrócił, którym szatan co rok grób Chrystusów przywala, iżby zmartwychwstania na świecie nie było. Ale zmartwychwstanie jest na świecie, bo takich, co za pieśnią boso po ziemi chodzą, nigdy nie zabraknie.

Przy końcu świata odślepnie pieśń i obaczy drogi jakiemi chodziła, bo gwiazdy w nie padają, kiedy z nieba lecą; ale teraz nie wie, która droga jest i gdzie wiodąca. Lada pacholę wodzićby ją mogło, gdyby nie to, że ręce wysoko nad ludzkiemi myślami podniesione trzyma.

Śpiew coraz wyraźniejszym się stawał. Prosta, surowa niemal, na kilku niskich nutach trzymana melodya miała w sobie jakąś pierwotną, liturgiczną [1]) powagę i siłę. Z pagórów szła, w dolinę Skawy biegła, wypełniając sobą coraz szersze kręgi wielkiej, rannej ciszy.

---

[1]) Liturgia — przepisy obrzędów kościelnych.

Myślałam zrazu, że to pątnicy, którzy się tu często po drogach snują, pielgrzymując do Zebrzydowskiej Kalwaryi. Ale nie byli to pątnicy.

Na wyrębie, w pół wysokości stromego dosyć zbocza, ukazał się niewielki wóz, zaprzężony w jednego konia. Przy koniu szedł człowiek z odkrytą głową, za wozem gromadka mężczyzn i kobiet. Mężczyźni mieli krótkie, czarne spencery, kobiety płachty lniane, grubym węzłem u szyi związane. Szli wszyscy krokiem sporym, wymijając sterczące na wyrębie pnie drzewne i gęste krzaki jałowcu. Na stromych. kamienistych spadkach mężczyźni przytrzymywali trzęsący się wóz, z obu stron podpierając ramieniem półdrabki. Wóz był głęboko wysłany ciemną zielenią świerkowych gałęzi, nad któremi srebrzyło się coś i złociło w słońcu. Kiedy się zbliżył nieco, zobaczyłam siwą, trzęsącą się z nim razem głowę ludzką i świeżo zbitą ze smolnych tarcic trumnę. Pogrzeb to był z gór idący do odległego cmentarza.

Na trumnie czerniał krzyż smołą zrobiony, głowa zaś należała do skulonego w półkożuszku na rozworze dziada, który się w zieleń świerkową tak wszył, że go mało co widać było, i tylko włosy jego długie, prawie białe, lekkim poruszane wiatrem, srebrzyły się zdala w porannem słonku, niby

skrzydła gołębie nad trumną bijące. Dostawszy się na gościniec z wyrębu, wóz potoczył się wolniej, a kiedym się złączyła z gromadką, pieśń, na ostatniej spadzistości przerwana, zabrzmiała znowu prosta i surowa:

...Ciężko ci jest na świat iść, ciężko i odchodzić,
Miałby człowiek wolę chcieć, chciałby się nie rodzić.
Chciałby minąć wojnę tę, co się żywot mieni,
Chciałby sobie cicho spać u matuchny ziemi.
Pątowałem [1]) po drogach, pątowałem w smutku;
Wiela było starości [2]), a niewiela skutku;
Teraz idę w wieczny mir, na ciche pokoje,
Teraz mi się zaczną już miłe wczasy moje.

Nuta rwała się trochę, bo ludzie zmęczeni; dziad tylko, podniósłszy na modre, świetliste powietrze czerwone oczy swoje, szeroko patrzał w niebo i śpiewał donośnie, też rozpoczął nową strofę suchym, cmentarnym głosem:

Naciągałem się pługa, naciągałem brony.
Był ten zagon ciężkiemi potami zroszony;
Terazże mi nie trza już orać, ani siewać,
Teraz mi się wiecznego spocznienia nadziewać [3]).

---

[1]) Pielgrzymowałem.
[2]) Starania.
[3]) Spodziewać. (*Przyp. autorki*).

Miałem ja tu frasunki, miałem ja ciężkości,
Nie było mi uciechy, nie było sytości.
Teraz idę do ziemi, do matuchny mojej.
Już się moja duszyczka niczego nie boi.

Wóz toczył się zwolna, a w miarę, jak się toczył, ustawało po drobnych spłachetkach ornej ziemi pokrzykiwanie na woły ciągnące pługi, mężczyźni odkrywali głowy, kobiety prostowały grzbiety zgięte nad rozbijaną motykami darnią i stały przez chwilę z ręką nastawioną u czoła od słońca bijącego teraz w same oczy.

Dziad zaczynał nową strofę:

...Straszyły mnie powodzie, straszyły mnie mory,
Zaglądały choroście do mojej komory.
Teraz będę cicho spać od zorzy do zorzy,
Teraz się już serce me niczem nie utrwoży.
Uganiałem ja grosza, uganiałem pola,
Teraz mnie już odeszła od dobytku wola.
Teraz mi już wszystko dość i zawiele nawet,
Świat nie stoi mi za grosz, ni za jeden lament.

Nie pamiętam, żebym kiedy oddychała poczuciem takiej szczerej, takiej zupełnej swobody wypowiedzenia głośno własnych moich uczuć, jak przy śpiewaniu pieśni tej, której słowa chwytałam, idąc za tą chłopską trumną; nie pamiętam, żebym kiedy z taką zupełną jasnością czuła wspólność nędzy

życia we wszystkich jego stanach i na wszystkich szczeblach. Jakaś wielka prawda, a zarazem wielka rezygnacya wstępowała we mnie z dziwną prostotą i siłą. Było to oświetlenie życia z takiej jego strony, z jakiej aż dotąd cień na nie stale padał od własnej istoty mojej, niespokojnej, nieukojonej, czczych pożądań pełnej.

Szeroka, roztrącana pieśnią cisza ulatywała przed nami, jak ptak spłoszony. Cały ten krąg powietrzny, wiosennym błękite mnabrany, od surowej, zroszonej, świeżo pługiem odwróconej ziemi, aż po zenit słoneczny, wypełniony był głosem człowieka.

Była to antyteza Taboru, szczytów Synai i gorejącego krzaka Mojżesza. Przykazy i zakazy wydały już owoce swoje, albo zjałowiały. Przebrzmiał ich głos grobowy, regulujący sprężyny życia, często aż do ich złamania. Teraz była cisza. Teraz człowiek miał coś do powiedzenia Bogu i niebiosom. Nie mówił wiele. Nie skarżył się, nie jęczał, nie błagał nawet o litość i miłosierdzie. Zmęczony był. Drogę swoją przeszedł, bój przebojował, chciał spocząć.

Życie wspominał bez żalu, bez goryczy, spokojnie, znać, że brzemię to poniósł pełnią sił swoich człowieczych, raz źle, raz dobrze, ale teraz z jakimś pośpiechem, z jakiemś utęsknieniem do ziemi

wraca, i za to, że *był*, jednej tylko rzeczy żąda: *nie być*.

Tymczasem śpiew rósł, olbrzymiał, bo idący do miasteczka ludzie równali się z naszą gromadką i śpiewali razem. Szczególniej przejmującymi były głosy pacholęce chłopiąt i nieletnich dziewcząteк. Wiele wyrazów w ich ustach wyglądało jak zrzeczenie się życia na samym jego progu. W ustach ludzi dojrzałych robiła pieśń ta wrażenie wielkiej, powszechnej spowiedzi.

...Nagrzeszyłem ja tu dość z cielesnej krewkości,
Dusza we mnie gorzała od wielkiej radości [1]).
Teraz idę w wieczny mir, do Pana Jezusa,
Teraz mnie już nie pojma nijaka pokusa.
Miałem ja tu rodzice, miałem żonę, dziatki;
Teraz idę w ciemny grób, jak do ojca, matki.
Teraz *vale* [2]) dziateczkom i krewieństwu dawam,
Miłem sercem żegnam was, a sam się ostawam...

Wóz się trząsł na wybojach świeżo zasypanych gruzem, a z wozem trząsł się głos skurczonego na wozie dziada, trzęsła się głowa jego siwa, trzęsło się i to »vale«, jakby ostatniem echem pożegnania drżące.

---

[1]) Żądzy. (*Przyp. autorki*).
[2]) Bądź zdrów.

Co mnie dziwiło, to, że nie dosłyszałam w pogrzebowej gromadce ni jednego kobiecego szlochu.

— Nie miał to nieboszczyk rodziny? — spytałam zcicha idącej obok mnie kobiety.

— A hań matka! — odrzekła, wskazując głową na wóz, przy którym, półdrabków się trzymając chudą, zczerniałą ręką, szła sporym krokiem przygarbiona, okryta lnianą płachtą baba.

Natychmiast zaczęłam głos jej wyróżniać wśród innych. Cienki był, przenikliwie dźwięczący, dusznością jakąś, czy zmęczeniem rwany. Dotrzymywał jednak innym, a szczególnej żałości zgoła znać w nim nie było.

...Nie starajcie się światła, nie starajcie dzwonów,
Nie trzeba mi parady, nie trzeba pokłonów,
Bom ci proch a glina jest, do ziemi się wracam,
A w co byłem z naczątku [1]), znowu się obracam.

— A na wozie hań — widzą? To nieboszczyka przeddziad... Nie gwałtem już mocny w nogach, to go wiozą... — dorzuciła kobieta, korzystając z ciszy, jaka po każdej prześpiewanej strofie nastawała, a wśród której tylko tupot nóg po gościńcu i toczenie się wozu słychać było.

[1]) Z początku. (*Przyp. autorki*).

W tej chwili dziad podniósł głowę i silnym, raźnym odezwał się głosem:

Winszowana dobra śmierć i letkie skonanie,
Winszowany cichy grób, co mi się dostanie,
Terazże się powróćcie, kędy wasza droga,
A ja będę cicho spał, na łonie u Boga...

Prześpiewał, zgarbił się, skłonił głowę, i po ramiona zatonął w świerkowej zieleni. Idącej przy wozie matce głos złamał się nieco w tej ostatniej strofie. Wytrwała jednak i, trzymając się półdrabka, szła żwawo obok trzęsącej się synowskiej trumny.

Śpiew ucichał zwolna.

Jak urzeczona szłam za jego echem.

Przykuwała mnie piękność prastarych form pieśni, przykuwała mnie mądrość jej i moc. Duch, który ją wysnuł z siebie, musiał być duchem prawdziwego filozofa; albo raczej prawdziwa filozofia życia sama sobie znalazła tu wyraz i wcielenie.

Nicość życia, nicość trudów i zabiegów jego, siewy, które nie wschodzą i nie zakwitają, kwiaty, które nie dają owoców, owoce, które trują tych, co je hodowali, znikomość wszystkich nadziei, oraz wszystkich zwątpień, wszystkich radości i wszystkich boleści, cały ten świat, który »nie stoi za grosz, ni za jeden lament«, jakie to szczere, a jakie prawdziwe!

Grzech, wina, pozostawione na zewnątrz człowieka, grzech, w który wepchnięty jesteś, jak żołnierz w wir bojowiska, wina, po której idzie łaknienie »wiecznego miru«, łaknienie wypocznienia od samego siebie, od własnej słabości, jaka w tem prawda, a jaka głębia smutku!...

Trumna dygotała na wozie coraz silniej; dziad oburącz chwycił się półdrabków; weszliśmy na kamienistą groblę.

Chłód powiał od mokrych łąk i stawów. Jakieś niewidzialne usta rozwiewały mi włosy na czole, a szeroka cisza pełna była ich tajemniczego szeptu.

...Przygodne tu wszystko i jednochwilowe, a przecież konieczne i nieuniknione. Koniecznym jest ból, konieczną jest miłość, koniecznemi łzy i uśmiechy. Konieczną jest także tego wszystkiego nicość.

...Miałem tu rodzice, miałem żonę, dziatki. Tu... w krainie przemian, zwiędnień i przekwitów serca. Miałem. Było to może snem szczęścia, może snem cierpień; aie teraz zbudziła mnie ze snu tego śmierć. Teraz już zimną pierś mam i nie czuję ani ran z ukochanej ręki, ani jej pieszczoty. Teraz mi dobrze, spokojnie. Jak spokojnie! Nie drżę z rozkoszy, lecz nie drżę i z bólu. Cichy jestem. Jestem, czem byłem — nicością. Do grobu idę, idę do ziemi, rodzicielki prochu i człowieka. Do ziemi, która była

matką matki mojej, i matką ojca mego, i do której pójdą syny moje i dzieci synów moich. Rozwiązały się pęta moje, i te, co łańcuchem mi były, i te, które były róż wieńcem. Wolno mi już nie kochać, nie czuć trwogi, gniewu, pogardy, zazdrości. Wolno mi nie być niewolnikiem miłości ani nienawiści; wolno mi nie dręczyć siebie i innych.

...Miłem sercem żegnam was... sercem uleczonem — z życia. Ognisko wzruszeń wygaszone, źródło porywów wyschłe, rozlatane jaskółki myśli moich powróciły do gniazda swego, do wystygłego mózgu mej czaszki.

...Opadły ramiona moje, wyciągnięte do uścisków bratnich, rozprostowały się dłonie, które zaciskałem około tego, co było tą, jak ja — nicością; stopy moje wypoczywają z dróg pilnych, o których nie wiedziałem, że do grobu wiodą.

...Bezbronny jestem, nie łaknący ani sądu, ani pomsty, ani sprawiedliwości. Pomiędzy niebem a ziemią rozwiany jestem, jako tchnienie wiatru i mniej jeszcze. Bo i wiatru tchnienie zakołysze stepem, gdy nań uderzy ze wschodu lub zachodu, ale dech życia mego nie poruszył ani jednej trawki, a większa jest nicość moja, niż ślad prochu, który po nim zostaje. Gdy słońce jutrzejsze szukać mnie będzie — nie znajdzie; a księżyc nie obaczy, iż byłem, a już

nie jestem. Starta jest istność moja i wymieciona droga po mnie aż do źdźbła trumiennej słomy. Byłem, a jakbym nie był.

...Troskałem się »około wiela«, aleć jednego tylko było mi potrzeba — grobu. Ten ci jest dom wieczny i podścielisko pokoleń, które przeminęły i które przyjść mają.

...Acz lepszem byłoby, iżby nie przychodziły, bo to, »co się żywot mieni, męka i wojna jest«.

...Ale przyjdą i przeminą. O śmierci, ty jesteś życiem świata.

...Ale i śmierć zaś rozwiązaną będzie, a gdy jej usta nie znajdą w prochu ani jednej iskry do zdmuchnięcia — wtedy nastanie mir i wieczna cisza...

Nagle stuknęło coś. To koła wozu zaczepiły o cmentarne wrota.

DYM.

Ile razy spojrzała w okno swej izdebki, tyle razy widzieć go mogła, jak z ogromnego komina fabryki walił sinym słupem. Nieraz nawet umyślnie odrywała od roboty stare swoje oczy, aby rzucić na niego choć jedno spojrzenie. W spojrzeniu tem była dziwna błogość i jakby pieszczota. Ludzie szli i przechodzili, śpiesząc w różne strony, rzadko który spojrzał w górę w kierunku komina, jeszcze rzadszy zauważył siną smugę dymu. Ale dla niej dym ten miał szczególne znaczenie, mówił do niej, rozumiała go, był w jej oczach niemal żywą istotą.

Kiedy o wczesnym brzasku na opalowem, mieniącem się barwami jutrzni tle nieba, dym rokłębiał się nad kominem w krągłych, czarnych runach, roznosząc ostrą, gryzącą woń sadzy, wiedziała ona, że tam jej Marcyś w kotłowni przy palenisku stoi, ognie zanieca, miarkuje, rozkłada, wysoki, smukły, gibki, w granatowej płóciennej bluzie, spiętej skó-

rzanym pasem, w lekkiej furażerce [1]) na jasnych włosach, z szeroko odwiniętym u szyi kołnierzem.

— Oho! — szeptała wtedy uśmiechając się — Marcyś »fasuje«...

Istotnie »fasował«. Z gorliwością nowicyusza sypał na palenisko węgiel, kosz za koszem, za siebie i za palacza pracując, dumny ze swojej świeżej godności kotłowego. A razem z tym wielkim, jasnym płomieniem wybuchały mu w duszy pieśni, któremi się kotłownia rozlegała od świtu do nocy.

Wkrótce jednak czarne kłębiska dymu bielały, rzadły, stawały się lżejsze, aż wskróś pogodnych błękitów wybiły w górę lekkim, równym słupem.

Ten widok wlewał w serce wdowy radość i pogodę.

— Wszystko dobrze... — szeptała — wszystko dobrze, Bogu Najwyższemu dzięki!

I krzątała się po ubogiej izdebce, zaścielając łóżko swoje i synowski tapczan, zamiatając śmieci starą brzozową miotłą, i rozpalając na kominku drewka do południowego posiłku.

Wtedy to wprost wielkiego fabrycznego komina z wspaniałą kitą dymu, wznosiło się w błękity cienkie, sinawe pasemko z ponad dachu facyatki, gdzie

---

[1]) Czapce.

mieszkała wdowa; pasemko tak wątłe i nikłe, jak tchnienie starych piersi, co je wydobyły z ogniska.

Ale młody kotłowy zawsze to pasemko dostrzegał. A nietylko je dostrzegał, ale się do niego uśmiechał. Wiedział on dobrze, że tam u komina stara jego matka w bieluchnym czepcu na głowie, w tołubku przepasanym różowym fartuchem, drobna, zawiędła, zgarbiona szykuje dla niego jakiś barszcz wyśmienity lub wyborny krupnik. Zdawało mu się nawet czasem, że wyraźnie czuje smakowitą woń tych specyałów.

Z podwójnym tedy zapałem dorzucał na palenisko świeżą szuflę węgla i podczas kiedy palacz po głowie się drapał, on stojąc jedną nogą na podmurowaniu, zwinny i giętki, za dwóch nastarczał w robocie.

I tak naprzeciw sobie szły w niebo te dwa oddechy: fabryki i facyatki, niknąc w przejrzystych lazurach, może łącząc się w nich nawet.

Ku południowi dym fabryczny rzedniał nieco; olbrzymie płuca machin zwalniały swą pracę, wypuszczone pary przeszywały raz i drugi powietrze ostrym, przykrym świstem, a chłopak jak uragan do izdebki wpadał.

— Mamo jeść! — wołał już od progu, a cisnąwszy furażerkę na stół, biegł do klatki z ko-

sem, wiszącej w okienku. Kos, jak tylko chłopaka obaczył, wydawał gwizd przeciągły do fabrycznej świstawki podobny, a potem zaczynał swoje zwykłe kuranty, których go wyuczył Marcyś. Chłopak stawał przed klatką, kładł ręce w kieszenie i gwizdał także. Aż się ściany trzęsły od gwizdania tego.

A matka rozpościerała tymczasem na stole piękną, żółtą serwetę w niebieskie jelenie wyrabianą i stawiała głęboką fajansową wazkę krupniku, barszczu z rurą, albo grochówki z wędzonką, albo też zacierek, jak tam wypadło. Obok wazki występował na stół chleb w dużym bochnie, główna tego posiłku podstawa.

Znikał on też prawie w połowie, ledwo się chłopak przysunął do niego. Kawał za kawałem krajał, w miseczce z solą maczał, a precz dogadywał:

— Dobry chleb, mamo!

— Dobry, synku — odpowiadała za każdym razem wdowa. — Jedz z Bogiem, jedz! Na chwałę Panu Jezusowi i Matce jego Przenajświętszej...

Chłopak nie dawał się prosić, a razem z chlebem znikała i zawartość misy.

— Dobry barszcz, mamo — mówił wtedy.

Matka już od kilku chwil jadła coraz wolniej. Mieszała łyżką w talerzu, dmuchała w niego. Ale barszczu nie ubywało jakoś. Kiedy więc chłopak

wymiótł, co miał przed sobą i wąsiki runiejące wierzchem ręki otarł, pytała skwapliwie:

— A możebyś, synku, jeszcze... Mnie dziś coś nie bardzo jakoś...

Chciała mu dać poznać, że jej nie smakuje, ale bała się wyraźnem kłamstwem Boga obrażać, bo barszcz był doskonały.

— A no — mówił chłopak — kiedy mama nie je...

Podstawiała mu z pośpiechem swój talerz, mówiąc:

— Jedz, dziecko, jedz! Na chwałę Panu Jezusowi...

Chłopak tedy znów się zabierał do łyżki po swojemu.

— Co mama chce od tego barszczu? — pytał. — To królewski barszcz!

— Byłby on, byłby, synku — odpowiadała, mrugając oczami — tylko że mi do niego bobkowego liścia przybrakło...

Zdarzało się, że nie dojadał.

Zlewała tedy resztę w glinianą ryneczkę i stawiała w kominku, tak, aby syn nie spostrzegł tego.

Tę resztę uważała już za wyłączną swoją własność i kiedy chłopak wyszedł, posilała się nią, ogryzając ostatki chleba.

Wszystko to odbywało się z niezmierną szybkością. Młody kotłowy chwilowo zastępowany tylko bywał w południe i śpieszyć musiał. Zaledwie zjadł żegnał się szerokim znakiem krzyża, całował matkę w zapracowaną, wychudłą rękę, chwytał furażerkę a gwizdnąwszy na pożegnananie kosowi, zbiegał w trzech susach z facyatki na dół. Wdowa stawała wtedy w pośrodku izdebki z zebraną ze stołu serwetą w ręku i słuchała grzmiącego tupotu nóg synowskich z trwożnym i błogim zarazem uśmiechem.

— Święty Antoni! — mówiła, kręcąc głową — i z leceniem takiem! Nogi jeszcze połamie... schody porozbija...

I stała tak zasłuchana, dopóki nie huknęły na dole drzwi od sionki i nie przebrzmiało echo tej szalonej kanonady nóg młodych i silnych. Wtedy dopiero kończyła składać serwetę, zmywała statki, ogarniała ogień popiołem, a siadłszy u okna, łatała synowską odzież i bieliznę.

Jeśli to było lato, długo jeszcze, bardzo długo widzieć mogła dym walący z fabrycznego komina. Drugi raz, to się tak zapatrzyła w niego, że i robota wypadła jej z ręki.

Dziwne bo przybierał i kształty i barwy.

To jak żelazna gadzina wywijał się sam z wła-

snych przegubów coraz dalej, coraz wyżej; to jak lekuchna zasłona w powietrzu wiał, siejąc przez siebie obłoczki różane; to jak z kadzielnicy prosto w górę szedł, wełniąc się miękko po skrajach; to jak olbrzymi pióropusz pod słońce złotem się palił, z komina, jak z hełmu, za wiatrem wiejąc; to się w jakieś postacie cudne wydłużał; w jakieś mary nieziemskie, w jakieś widzenia...

Czasem go wiatr wydymał, jak żagle wielkiego statku; czasem rozrywał niby kłęby pakuł, czasem pędził jak tuman czarniawy. A zadżdżyło się na świecie, to chmurą ciężką nad kominem stał, i płatami po dachach się wieszał, i tłukł nad ziemią, nie wiedząc, kędy się dziać.

Gdy przyszła zima, zapalała wdowa lampkę u komina i robiła przy niej grube na sprzedaż pończochy.

Ale choć od okienka wiało srodze i szron aż do izby zalatywał przez spróchniałe ramy, podchodziła do niego coraz, żeby na fabrykę spojrzeć.

Gorzała ona wprost facjatki długim szeregiem oświetlonych migotliwie okien, huczała wewnętrzną pracą płuc swoich olbrzymich, szczękała żelastwem, dźwięczała biciem młotów, zgrzytała zębami pił, syczała żądłami topionych metalów. Dym, który teraz na tle głębokiego granatu niebios walił z jej

komina, płomienny był, ogniami ziejący, snopy iskier ciskał, jak race.

Szerokie łuny od niego skróś nieba szły i het, precz, odbijały wielkie, ciche zorze...

Patrzyła na nie wdowa w zadumaniu.

Z zadumy tej wyrywało ją gwizdanie kosa, który rozbudzony światłem, bijącem z fabryki w okienko, zaczynał wycinać swoje kuranty. W izdebce robiło się weselej, ogień trzeszczał na kominku, a kos darł się aż do ogłuszenia. A kiedy na niebie księżyc w pełni stanął, całe ono widzenie ogniste topniało w blaskach miesięcznych.

Późnym wieczorem dopiero wracał syn, i od progu już znowu wołał:

— Mamo, jeść!...

A zarazem z tą młodą, silną postacią wstępowało w progi izdebki wesele, śmiech i swoboda. Z mniejszym już teraz pośpiechem posilał się chłopak, opowiadał przez chwilkę to i owo rozpytującej się go o ubiegły dzionek matce, poczem zaczynał szeroko ziewać, przeciągać się, kos nawet nie bawił go już w takiej chwili.

— Idź spać, synku, idź spać! — mówiła matka, głaszcząc go po głowie. — A to jutro do dnia ci znów trzeba...

— Pójdę, mamo... — odpowiadał sennym głosem — zmordowałem się tak, że to ha!

— A pacierz, synku, zmów — przypominała jeszcze.

— Zmówię, mamo.

Całował jej rękę, klękał przed swoim tapczanem i schyliwszy głowę na złożone dłonie, odmawia szybko półgłosem Ojcze nasz i Zdrowaś, tu i ówdzie przerywając modlitwę potężnem ziewnięciem, poczem bił się hałaśliwie w piersi, żegnał z rozmachem i zdjąwszy pośpiesznie odzież, rzucał się na twarde posłanie.

Natychmiast też prawie usypiał, a w izdebce słychać było dawno jego równy, głęboki oddech, podczas kiedy matka długo jeszcze szeptała zdrowaśki przed poczerniałem, ze złocistego tła wychylającem się obliczem Panny Najświętszej.

Nareszcie lampka zgasła, kos przestawał się trzepotać po klatce, uciszało się wszystko, aby znów jutro o brzasku się zbudzić.

Z tem budzeniem była zawsze bieda. Wdowa sypiała tym snem starości krótkim, czujnym, jakby oszczędzającym godzin życia przed wielkiem zaśnięciem w mogile.

Ze snu tego budziła się po drugich kurach zaraz, na długo przed pierwszą gwizdawką fabryczną.

i zwlokłszy się z pościeli, dreptała po izdebce, szykując polewką dla syna i szepcąc godzinki. W okienku stała wtedy wielka i cicha gwiazda zaranna, wprost na twarz uśpionego chłopca świecąca. Matka co raz to na twarz tę powiodła oczyma. Radaby już zbudziła jedynaka swego, ale głębokie uśpienie chłopca wstrzymywało ją.

— Niech ta! — szeptała półgłosem. — Niech ta jeszcze żdziebluchno pośpi...

Dopiero kiedy się rozległ przeraźliwy świst puszczonej pary, wołała na chłopca:

— Marcyś! A!... Marcyś! Wstawaj, synku! gwiżdżą...

Chłopak odwrócił głowę do ściany.

— To kos, mamo... — mówił wpółprzytomnie

— Ale! — kos tam! We fabryce gwizdają, synku nie kos!

Przeciągał się, nakrywał na głowę, mruczał, ale matka nie ustępowała. Nocny dyżur się kończył, kotłowy na swojem miejscu pierwszy stanąć musiał przed robotnikiem jeszcze. Powtarzało się to cały tydzień boży, niedzieli nie wyjmując nawet,

Ale jednego razu, kawał jeszcze do ranka było. chłopak się z krzykiem ze snu porwał sam i na pościeli siadł.

Matka już była przy nim.

— Co to? Co ci, synku, co? — pytała troskliwie.

Nie odpowiadał. Patrzył na nią szeroko otwartemi oczyma, usta miał drżące, czoło w zimnym pocie. Rozpięta na piersiach koszula podnosiła się od mocnych, głośnych prawie uderzeń serca.

Objęła go ramionami matka.

— Co ci to, synku, co ci to? — pytała, tuląc chłopaka, jakby małe dziecko.

Długo uspokoić się nie mógł.

— Nic, mamo — przemówił nareszcie z widocznym wysiłkiem — nic... Tylko — śniło mi się... że... że piorun uderzył we mnie.

Wdowa ścierpła. Ale nie dała tego poznać po sobie synowi. Chciała przemówić, głos uwiązł jej w piersi.

Chłopak siedział na tapczanie sztywny, prosty, patrząc przed siebie wystraszonym wzrokiem.

— Piorun, mamo — mówił cichym, urywanym głosem — taki czerwony, straszny, jak smok. Na piersi mi padł, mamo... taki straszny... czerwony...

Umilkł i dyszał głośno.

Wdowa opanowała się jakoś.

— Co tam, synku! — mówiła głaszcząc go po

rozpalonym policzku. — Co tam!... Sen mara, Bóg wiara. Co tam, synku!

A gdy chłopcu głośno zaszczękały zęby, przysiadła przy nim, przycisnęła głowę jego do swych wyschłych piersi i tak go kołysała, jak kiedy niemowlęciem był.

Chłopak się ukoił, utulił wreszcie i na poduszkę opadł.

— Niech mama już idzie — rzekł — niech mama idzie, położy się... Ja usnę...

Ale nie usnął. Leżał na wznak, z otwartemi szeroko oczyma, wpatrzony w gasnące na wschód nieba gwiazdy.

Spojrzała na niego raz i drugi.

— A czemu nie śpisz, synku? — spytała.

— Nie mogę, mamo... — odpowiedział cicho, skarżącym się głosem.

Podeszła i siadła przy nim.

-- Nic się nie trap, synku! — przemówiła. — Nic się nie trap! Albo to na to ten Pan Bóg miłosierny pioruny w niebie chowa, żeby zaś niemi wdowie niebogiej jedynego synaczka ubijać? Nie da tego Pan Jezus i ta Matka Przenajświętsza... A ja ci to powiem, że piorun wesele znamionuje, kiedy się kawalerowi, albo pannie śni. Ot co, widzisz, piorun znamionuje... Przecie sennik mam, to wiem.

Mówiła to z uśmiechem, wesoło niemal, ręką wyschłą po czole jego wodząc i włosy mu gładząc, aż chłopak dobrej myśli począł być i też się uśmiechnął.

— To mama mówi, że wesele? — spytał.

— A przecie, że nie co! Wesele, huczne wesele...

Zamyślił się chłopiec, a po chwili rzekł:

— To ja już wstanę, mamo...

— Wstań, synku, wstań... Zgotuję śniadanie, jak przejesz, to cię to odejdzie.

Jakoż odeszło. Weselej nawet było tego ranka, niż zwykle w izdebce, bo chłopak czasu dość mając, jedną po drugiej piosenkę na prześcigi z kosem gwizdał, aż ptaszysko zachrypło i kiedy przyszło do Zosi, co jej się chciało jagódek, gwizdało tak żałośnie, jakby kto przez nos śpiewał. Uśmiał się Marcyś, uśmiała się matka, i tak się w radości rozstali. Kiedy wyszedł, wdowa stanęła przy drzwiach i nasłuchiwała oddalających się kroków. Lekkie były, raźne, swobodne, zwyczajnie młode nogi... Nawet spaczone i spróchniałe schody nie skrzypiały dziś tak, jak zazwyczaj. Dopiero kiedy chłopak drzwi za sobą zatrzasnął, rzuciło się w niej serce jakimś nagłym strachem, tak łoskot ich był głuchy, podziemny i takiem przeraźliwem echem odbił się w pu-

stych sieniach. Podbiegła do okienka, aby wyjrzeć za synem.

Szedł lekko, śpiesznie, z podniesioną głową a kiedy miał już przejść furtkę w fabrycznym murze, odwrócił się i spojrzał w górę. Może w okienko, a może tak sobie...

W chwilę później gęsty, czarny dym walił z fabrycznego komina.

Godziny upływały. W schludnie sprzątniętej izdebce zrobiło się cicho; stary zegar z jaskrawą różą na pożółkłej tarczy cykał opieszale na ścianie, kos próbował najweselszych kurantów, pociesznie walcząc z swym ochrypłym głosem, a wdowa może z myślą o owym śnie syna, co to wesele znamionował, przeglądała swe odświętne odzieże.

Naraz rozległ się huk straszliwy. Zatrzęsły się ściany, posypał gruz z komina. Okienko z szczękiem wypadło. Wielki, iskrzasty słup dymu buchnął w niebo razem z fontanną cegieł i wielkimi odłamami rozwalonego komina, wypełniając izbę przeraźliwym blaskiem. Wdowa, jak stała, tak skamieniała słupem. Ani jednego krzyku nie wydały jej zmartwiałe usta. Tylko się siwe włosy podniosły nad czołem, tylko rozszerzone źrenice zbielały, jakby u trupa, nagłą jakąś zgrozą...

Może nawet nie słyszała dzikiego wrzasku, jaki bił z ulicy:

— Kotłowy!... kotłowy zabity!

. . . .

Długie jeszcze potem lata siadywała w tem samem okienku, patrząc osowiałym, mętnym wzrokiem na fabryczny komin, z którego biły w górę sine słupy dymu.

Dym ten wszakże nie przybierał już teraz dawnych rozlicznych kształtów, tylko zawsze zamieniał się w mglistą postać jej drogiego chłopca. Zrywała się wtedy ze stołka i wyciągała drżące, wyschłe ręce. Ale mglistą postać wiatr unosił i rozwiewał ją gdzieś w błękitach.

MIŁOSIERDZIE GMINY.

KARTKA Z HOTTINGEN[1].

[1]) Hottingen — gmina, należąca do szwajcarskiego miasta Zürich.

Dziewiąta dochodzi na zegarze gminy. Przez lekką mgłę poranną przebijają ciemniejsze lazurowe głębie, zapowiadając cudowną i cichą pogodę.

Przed kancelaryą snują się gromadki, oczekując przybycia pana Radcy Storcha, którego szary, filcowy kapelusz i laskę ze srebrną gałką widać przed blizką kawiarnią Gehra, u stolika pana Sędziego pokoju, czytającego tu przy cienkiej kawie swój poranny dziennik.

Pan Radca może przybyć lada chwila; tak przynajmniej sądzi woźny, stojący w półurzędowej postawie na ganku kancelaryi i odpowiadający na pozdrowienia przechodniów przytknięciem dwu palców do granatowej, z białą wypustką, czapki.

Od strony kawiarni Gehra dolatują rzeźkie głosy obu rozmawiających panów. Pan Radca zatrzymał się tylko na chwilę, nie siada nawet, ale rozmowa z panem sędzią bawi go widać, gdyż słychać od czasu do czasu jego śmiech swobodny, wesoły, któ-

remu odpowiada krótkiem naszczekiwaniem pyszny, brunatny ceter, w postawie sfinksa u stolika leżący.

Tymczasem ludzie przed kancelaryę przychodzą, pozdrawiają się wzajem i stają, gawędząc niedbale. Niektórzy idą wprost do kancelaryi, inni przysiadają na kamiennych, połączonych luźnym łańcuchem, słupkach, które niewielki, żwirem wysypany plac przed gmachem od ulicy dzielą; jeszcze inni, zadarłszy głowy, przypatrują się samemu gmachowi. Jest nowy. Stanął wszakże na miejscu dawno zadrzewionem, z którego mu pozostawiono dwa szeroko rozrosłe, o łupiącej się delikatnej korze platany, których żywą zieleń jesienne słońce złocić już nieco zaczęło.

Sam gmach prosty, szary, kwadratowy niemal, ma na płaskim dachu nizką, żelazną balustradę o złoconych gałkach, a na fasadzie cztery pilastry i pamiątkową tablicę z napisem. Napis ten, błyszczący wesoło złoceniem swych liter, przyciąga oczy ludzkie. Każdy prawie z przybyłych podnosi głowę i odczytuje go z powagą. Alboż nie ma prawa? Wszak każdy na wzniesienie kancelaryi dał swoje trzy grosze, a dom jest wspólną własnością i wspólnem dziełem gminy. Niemniej przyciąga oczy zegar, umieszczony w samym ostrzu trójkąta, opierającego się podstawą o płaskie kapitele pilastrów, tylko, że

wskazówki jego zdają się dziś wolniej jakoś poruszać po okrągłej i błyszczącej tarczy. Tak przynajmniej mniema właściciel blizkiej piwiarni, który co chwila dobywa swoją wielką, srebrną cebulę konfrontując ją z zegarem gminy! Miły Boże, po co się człowiek ma śpieszyć? Czas i tak leci.

Już tylko parę minut brakuje do dziewiątej; gromadki zaczynają się ściągać przed sam ganek kancelaryi, śmiejąc się i rozmawiając głośno. Niema w tem zebraniu nic uroczystego: jak kto przy robocie stał, tak przyszedł. Zwyczajnie, za interesem.

Codzienne »joppy« szarzeją się na grzbietach; rzeźnik Wallauer przyszedł w różowym, dymkowym kaftanie, Jan Blanc, rymarz z Höschli, w zielonym kitajkowym fartuchu, spiętym na mosiężną haftkę z łańcuszkiem; wielu, mimo rannego chłodu, stawiło się na zebranie w kamizelkach tylko; wdowa Knaus, jak szła z targu, tak wstąpiła z koszykiem ogrodowizny i z nową szczotką pod pachą. A cóż? Wszak tu wszyscy swoi.

Nareszcie na kwadratowej wieżycy Nowego Münsteru [1]) zaczynają bić kwadranse, a jednocześnie daje się słyszeć radosne szczekanie wyżła, biegnącego u nóg pana Radcy. Wyprzedza go, wraca,

---

[1]) Nazwa katedry miejskiej.

znowu go wyprzedza, znów w paru susach wraca, aż weszli razem w wybornych humorach w otwarte drzwi kancelaryi. Zaraz za nimi zaczynają wchodzić, czekające przed gmachem, gromadki.

Wchodzą i w sieniach już dzielą się na dwie partye: ciekawych i interesowanych. Interesowani przebijają się zbitym szeregiem do żółtych, drewnianych balasków, dzielących salę na część urzędową i nieurzędową; ciekawi idą wolniej i obsiadają ławki, biegnące dokoła pod ścianą.

Nie jest to rozdział stanowczy.

To z jednej, to z drugiej strony co raz miano sobie coś do powiedzenia; czasem też który z ciekawych uczuwał się nagle interesowanym i u balasków miejsca sobie szukał. Człowiek może się namyśleć i w ostatniej chwili.

Interesowanych jest mniej; ci mają ważniejsze stanowisko w sali. Jest tu powroźnik Sprüngli, który się niedawno z wdową ożenił i warsztat chciał rozwinąć; jest Kägi Tobjasz, właściciel piwiarni »Pod zieloną różą«; jest piekarz Lorche; jest oberżysta z Mainau; jest Dödöli, właściciel winnicy; jest Wetlinger Urban, słodownik; jest Tödi Mayer, ślusarz; jest kotlarz Kissling; jest ogrodnik Dörfli; jest stolarz Leu Peter i kilku innych jeszcze.

Każdy z nich potrzebuje posługi to w warszta-

cie, to w domu, to w roli. Każdy też woli, że mu to taniej przyjdzie, niż gdyby parobka zgodził. Porozpierali się u bąlasków i gwarzą zcicha. Wdowa Knaus także się między nimi rozparła. Od czasu, jak się syn ożenił, na imię boskie niema się kim w domu pchnąć. Jest przytem miłosiernego serca i chętnieby biedotę jaką wzięła, żeby tylko posługę z tego niezgorszą mieć można. No, i żeby dopłata niebardzo marną była. Nie może przecie niedołęgi darmo do domu brać. Gmina zresztą ma fundusze na to, żeby za biedaków, co już robić nie mogą, płaciła.

Żebrać przecie nie pójdą, nie wolno. Czy tylko będzie w czem wybrać?... Pod jesień słabnie to, jak muchy. Wolałaby babę... Phi! weźmie i dziada, jak baby nie będzie. Aby od biedy, aby od biedy! A czy to mało tej hołoty w gminie? Tygodnia niema, żeby do kancelaryi nie ściągła jaka mizerota, której się zdaje, że już nie poradzi robocie. Nieprawda! Takiego dobrze docisnąć, to i za młodego obstanie od nagłego razu. A i to błogie, co tam gmina doda. Nie raz, nie dwa, jeszcze taki swego nie przeje, a już go śmierć ściśnie. Hoppingerom się trzydzieści franków po starej Reguli zostało, co ją na wiosnę z kancelaryi wzięli. A Egli? Egli więcej niż w parobka u Aloisa orał, a jeszcze

połowy zapomogi nie wydał, kiedy stary zipnął. Pan Bóg miłosierny niczyjej krzywdy nie chce!

Tu wdowa wzdycha, a czarny kamlotowy kaftan podnosi się z szelestem na jej szerokich piersiach.

Ale jeden i drugi ogląda się ku drzwiom. Czemu nie przyszedł Probst? Spodziewano się, że pierwszy do licytacyi stanie, a jego dotąd niema.

Ucicha nareszcie w sali, a pan Radca podnosi głowę od biurka, przy którem stojąc, czytał papier jakiś.

Jestto młody jeszcze, przystojny i okazały szatyn, którego niewielka łysina niemal że nie szpeci wcale. Twarz ma mięsistą, okrągłą, wąs rudawy, spojrzenie otwarte, jasne. Ubrany z pewnym wykwintem, u szwajcarskich urzędników niezwykłym. Szczególniej uderza śnieżny gors u koszuli, na którym błyszczą drobne, złote spinki. Podniósłszy głowę, pan Radca oczy mruży i z nad złotych okularów po obecnych patrzy. W tej chwili właśnie woźny drzwi zamyka. Zdaje się, że już nikt więcej nie przyjdzie.

— No, moi panowie — odzywa się pan Radca, przeciągając palcem tłustej białej ręki pomiędzy przyciasnym kołnierzykiem a pełną, nieco nabrzmiałą szyją. — No, moi panowie, mamy dziś, jak wiecie,

posiedzenie sekcyi dobroczynności w gminie. Czy tak?

— Tak, tak! — odzywa się kilka głosów w sali.

— A więc, moi panowie — dodaje Radca, zapuszczając palec między kołnierzyk a kark, kładący się na nim fałdą tłustej skóry — a więc możemy zaczynać!

— Tak, tak! — odzywają się ponownie głosy. Ale pan Radca, świeży urzędnik z wyborów, nie lubi tracić sposobności do małych przemówień, któreby gruntowały popularność jego. Chrząka tedy, i oparłszy obie dłonie na pulpicie swego biurka, tak rzecze:

— Wiadomo panom, jak opiekuńcze są ustawy gminy. Wiadomo panom, że gmina nie dozwala cierpieć nędzy żadnemu z członków swoich. Ociera łzy, odziewa nagich, karmi głodnych, bezdomnym daje dach nad głową, słabych wspiera.

Tu czując, że mu się ten frazes udał, robi krótką, lecz znaczącą pauzę. Obejmuje potem oczyma obecnych i tak mówi dalej:

— Ustawy gminy są ustawami chrześcijańskiego miłosierdzia; są one nietylko naszą zdobyczą cywilizacyjną, ale naszą chlubą. Tak jest, panowie, one są naszą chlubą! Wiadomo panom, że młodość nie trwa, siły opuszczają, choroba i bieda łamie. Jestto

powszechne prawo, któremu ulega świat cały. Ale nasza gmina podejmuje walkę z tem prawem. W jaki sposób? W bardzo prosty: Przygarnia tych, których skrzywdziło życie, przygarnia nędzarzy i wydziedziczonych, przygarnia kaleki i niemocne starce!

Tu pan Radca dziwi się, że mu tak dobrze idzie i znów robi pauzę. Żal mu poprostu, że słucha go tak mała garstka ludzi. Taka mowa, wypowiedziana na jakiemkolwiek dużem zebraniu, zrobiłaby mu imię. Zaczem z wysoka rzuca okiem na salę i tak kończy:

— Tak jest, moi panowie! Gmina przygarnia ich i godząc rozumną rachubę z porywami serca, mówi: Starzec ten, nędzarz ten, ten kaleka nie może już wyżyć ze swej pracy. Owszem, nie może już pracować. Nie ma on rodziny, któraby go żywić mogła, lub też ma rodzinę biedną, której praca ledwo starczy, by głodu nie zaznać. Mamże go puścić, by się włóczył po drogach, jako wstrętny żebrak? Nigdy!

Potrząsa głową energicznie i podnosząc głos, mówi:

— Woźny, wprowadź kandydata!

Woźny przechodzi szerokim krokiem salę i znika we drzwiach bocznych, do małej komórki, służącej niekiedy za kozę, wiodących; między zebranymi sze-

rzą się półgłośne szmery, a pan Radca stoi z podniesioną ręką, żeby nie wychodzić z pozy. Upływa krótka chwila. Nagle w drzwiach bocznych ukazuje się naprzód głowa, dygocąca na cienkiej, wychudłej szyi, potem kolana ku przodowi zgięte, potem stopy resztką obuwia ozute, potem ręce zgrabiałe i drżące, które się uszaków drzwi z obu stron chwytają, żeby dopomódz nogom przez próg, a wreszcie grzbiet w pałąk zgięty. Jestto Kuntz Wunderli, stary tragarz, którego wszyscy znają.

W sali zapanowywa szmer głośniejszy nieco.

— To kandydat?... Na miłosierdzie boskie, cóż to za kandydat? Któż to weźmie do siebie takiego trupa? Co za pomoc z tego komu? Co za wyręka? No, no! Ciekawa rzecz, co też gmina dać myśli za wzięcie tego próchna! A toć to skóra i kości! Nic więcej!

Niezadowolenie się wzmaga. Są tacy, którzy odrazu sięgają po czapki i od balasków odchodzą.

Ale pan Radca na szmery te nie zważa i zaledwie Kuntz Wunderli ukazał się we drzwiach, tak mowę swą kończy:

— Tak jest moi panowie! Piękne nasze ustawy wygnały z ziemi naszej żebraninę, a wprowadziły do niej miłosierdzie. Niema już opuszczonych! Niema już nędzarzy! Gmina jest ich matką, gmina jest ich

żywicielką. Oto jest starzec niezdolny do pracy. Kto z panów chce go wziąć do siebie. Niejedną posługę mieć można z niego. Gmina nie wymaga, by jej członkowie czynili to darmo. Gmina gotową jest podług ustaw swoich, przyczynić się do utrzymania tego starca. Kandydacie, przybliż się! Panowie, przypatrzcie się kandydatowi!

Skłonił głowę i dobywszy fular, otarł nim czoło. Łatwo się pocił, a w sali stawało się gorąco.

Tymczasem Kuntz Wunderli, popchnięty nieco z tyłu przez woźnego, wydobywa się szczęśliwie ze drzwi i przy progu staje. Pełne światło, z otwartego na obszerną łąkę okna, pada teraz na jego zgarbioną i znędzniałą postać. Stoi tak przez chwilę mnąc w ręku stary pilśniowy kapelusz, a chude kolana drżą mu coraz silniej. Jest wzruszony. Nagle prostuje się, podnosi głowę i z uśmiechem na obecnych patrzy. Uśmiech ma zachęcający, wesoły prawie. Kuntz Wunderli nie wie, kto będzie panem jego. Uśmiecha się tedy do wszystkich i raźno mruga oczyma. Oczy te są zimne, osłupiałe i stroskane. Stary Kuntz usiłuje im wszakże nadać filuterny, niemal lekkomyślny wyraz. Gdy mu się jedno zmęczy i staje w ciemnym swoim dole nieruchome, martwe, mruga drugiem, jak gdyby chciał mówić: Jeszczem ja mocny! O, i jaki mocny! Chleba darmo nie zjem,

pracować będę, każdej robocie poradzę. I wody przyniosę, i drew ułupię, i kartofli naskrobię, i izbę zamiotę... Dużą siłę mam jeszcze... dużą siłę...

A gdy tak patrzy z wysiłkiem, stara jego głowa coraz silniej trząść się zaczyna, oczy nieruchomieją i zachodzą wielkiemi łzami, a ręce szukają podpory. Jedne tylko wązkie i zapadłe usta uśmiechają się, ciągle się uśmiechają, wtedy nawet, kiedy dwie łzy ciężkie i zimne toczą się zwolna po zmiętej i zbrużdżonej twarzy.

Ten, to ów zaczyna mu się przyglądać. Istotnie. Stary wygląda wcale jeszcze dobrze. Dziś rano ogolił się właśnie; woźny pożyczył mu brzytwy. Leży to w interesie gminy, żeby taki kandydat jaknajlepiej i jaknajraźniej się przedstawiał. Inaczej mógłby nie znaleźć wcale amatora. Nietylko więc woźny pożyczył mu brzytwy, ale starego kubraka i niebieskiej chustki na szyję, które po licytacyi znów sobie odbierze. Stary Kuntz umie to cenić. Wie on, jakie pobudki miała gmina w tak łaskawie udzielonej mu pomocy i radby przedewszystkiem uwydatnić te piękne szczegóły swojego ubrania. Ale rękawy kubraka są na niego przydługie; sam kubrak zbyt obszerny, wisi na nim raczej, niźli go odziewa a bujny, niebieski, bawełniany fontaź dziwnie się sprzecza z jego wyschłą, pomarszczoną w tysiące

szwów szyją, którą Kuntz to wyciąga, to chowa, nie wiedząc, jak lepiej przedstawi się chustka. Właściwie mówiąc, jest w trudnem położeniu.

Trzeba mu i litość wzbudzić i nie okazać się zbyt niedołężnym. Wie on, że stoi tu w charakterze starca, niemogącego pracować, ale wie także, iż każdy z tych, co tu przyszedł, na ręce jego patrzy, czy się roboty chwycą. Gmina ma nad nim miłosierdzie, prawda; ale zbyt wiele dopłacać za niego nie zechce. On to wie, wie dobrze; zbyt wiele wymagać nie może... Zmieszany, wzruszony, patrzy ludziom po oczach, miarkując, co który myśli: na woźnego też rzuca w bok krótkie spojrzenia, jakby dla upewnienia go, że ani brzytwa, ani kubrak, ani chustka nie pójdą na marne.

Ludzie patrzą na starego i gawędzą głośno. Nie leży to w interesie żadnego z nich, żeby okazywać zbyteczny pospiech. Staliby tak do południa może, porozpierani na balaskach i biorący tabakę, ale pan Radca nie lubi przewlekłych posiedzeń.

— No, moi panowie — odzywa się głośno. — Czy przypatrzyliście się kandydatowi?

— A cóż mu się tam przypatrywać, — odpowiada po małem milczeniu kotlarz Kissling. Toć my go co dzień widzimy. Stary ledwo dycha, nie uciągnie, nie dźwignie... Jak myślicie, szwagrze, zwró-

cił się do Faustyna Tröndi — będzie miał z ośmdziesiąt, albo i więcej?

Stary chrząknął. Ośmdziesiąt dwa skończył, ośmdziesiąt dwa... Ale uśmiecha się tylko i milczy.

— Ile macie lat, stary? — pyta go Tödi-Mayer.

Kuntz szybko mruga ku woźnemu okiem, a potem mówi:

— Siedmdziesiąt i cztery, kochanku! Siedmdziesiąt i cztery!

— A pokaż-no, stary, zęby? — odzywa się oberżysta z Mainau.

Kuntz znów rzuca szybkie spojrzenie na woźnego i rozszerzywszy zeschłe wargi, ukazuje wcale jeszcze zdrowe zęby.

Publika zaczyna się śmiać.

— Ho! ho! — mówi jeden — a toby i kość ugryzł.

— Chleba się nie zlęknie! — dodaje drugi.

Leu-Peter, stolarz, przechyla się ku niemu.

— A machnij-no, stary, pięścią! Dalej!

Wunderli postępuje krok naprzód, podnosi nieco głowę, prostuje grzbiet i macha kilka razy ręką, której ściśnięta pięść ginie w długim rękawie pożyczonego kubraka. Ręka opada mu za każdym razem jak złamana gałęź. W stawach słychać trzask przykry.

— A co? Nie źle macha! — odzywa się ktoś z ławy.

— Phi... — dodaje pesymistycznie drugi, wiedząc, że uwagi galeryi nigdy nie są dla interesowanych stracone.

— A jakże nogi? — pyta znów Tödi-Mayer, który widocznie na Kuntza ma ochotę. Maszerujno, stary!

Pan Radca surowo spogląda na śmiejącą się galeryę, poczem, zwrócony do starego, mówi z odcieniem niecierpliwości:

— Czegóż stoisz? Rusz-że się z kąta!

Kuntz Wunderli uśmiecha się nieśmiało, boleśnie. Zaraz, zaraz... Naturalnie! Czegóż on stoi? Zaraz się ruszy... Zaraz...

I nagle, zebrawszy siły, podnosi głowę, wytrzeszcza spłowiałe oczy, wyciąga jak żóraw szyję, prostuje się, przyciska rękami kolana i ku drzwiom maszerować zaczyna.

Jest to widok tak pocieszny, że całe zgromadzenie wybucha głośnym śmiechem. Stojący bliżej przy ławach padają na nie, chwytając się za boki, pan Radca zasłania usta trzymaną w ręku ustawą, a woźny odwraca się do kąta i parska w kułak.

— Dobry! Dobry! — wołają głosy z ławek.

— Dalej! Dalej! — odpowiadają inne.

Stary idzie. Sztywne jego nogi nie zginają się wcale; podnosi on je, jak kije, z niezmiernym wysiłkiem, i opuszcza na dół, rozpaczliwie przyciskając rękoma chore i obrzmiałe kolana. Tymczasem, jakby na złość, sala wydłuża się, rośnie, drzwi uciekają kędyś, ściany nabierają przeraźliwej głębi; staremu Kuntzowi zdaje się, że nigdy, nigdy nie zdoła dojść aż do nich... Czuje wszakże, iż wszyscy ci ludzie na niego patrzą, że gmina patrzy. Zaciska tedy zęby i znów podnosi sztywną i ciężką nogę.

Nagle staje i szeroko otwiera osłupiałe oczy. U drzwi, w gromadzie głów ludzkich, widzi głowę syna.

Tego się nie spodziewał. Nie, nie! Tego nie...

Ciemna czerwoność bucha mu na twarz resztką krwi z pod serca.

Nie słyszy śmiechu ludzkiego, nie słyszy nawet głosu pana Radcy, który go na miejsce woła. Widzi tylko syna.

Jak urzeczony patrzy na niego i zaczyna drżeć, jak na wielkiem, wielkiem zimnie; wszystkie jego stare kości dygocą. Struchlała twarz blednie, bieleje, staje się biała, bardzo, bardzo biała. Na czole rysuje się dziwnie twarda i surowa bruzda; oczy jego zapalają się i gasną. Niepocieszone, martwe, stroskane z dziwem i strachem patrzą się w twarz

syna. Nie, nie, on nie chce, żeby go syn licytował w gminie... On nie chce!

Kurczy się, odrywa ręce od kolan i zastawia się niemi. Nie, nie! On się boi! On nie chce!

Ale woźny przystępuje i bierze go za ramię.

— Co u djabła? Czego stoi jak głupi? Czy nie widzi, że urząd czeka? Dalej naprzód!

Stary Wunderli jest wszakże w tej chwili tak słaby, ale to tak słaby, jak dziecko. Poprostu ruszyć się nie może. Nogi mu się plączą, zęby szczękają, głowa się chwieje, jak ten liść jesienny. Woźny popycha go przed sobą, a także podtrzymuje nieznacznie. Gdyby go nie przytrzymywał, stary padłby może. W duchu nie ma on wielkiej nadziei, żeby starego gmina łatwo pozbyć mogła. Teraz widzi, że i brzytwa, i chustka, i kubrak — tak jak na nic... Zupełnie jak na nic.

— Prędzej! — woła niecierpliwie pan Radca.

Kuntz Wunderli opamiętywa się jakoś i znów staje na poprzedniem miejscu. Jest ono dobrze wybranem. Z szeroko otwartego na ogród okna, pada na nędzarza pełne, złote światło. W świetle tem zmartwiała twarz starego nabiera nieco życia. Na łysej jego czaszce igra odblask cichej i modrej pogody. Osłupiałe źrenice podnoszą się i zawieszają kędyś daleko, na szerokim słonecznym błękicie.

— Kto wie? Może i nieźle byłoby, żeby się syn utrzymał. Kto wie? Synowa zła i skąpa, to prawda. Ale umarłby wśród swoich przynajmniej. I wnuki... widziałby codzień wnuki...

Źrenice starego wilgotnieją, stają się miękkie i rzewne; na ustach drży jakieś niewymówione słowo, wielka surowa zmarszczka na czole wygładza się i znika.

Stanowczo nie wygląda w tej chwili na więcej, jak na siedmdziesiąt cztery. To ożywia nieco interesowanych.

— Nie tęgi w nogach! — mówi kręcąc głową piekarz Lorche.

— Co to nie tęgi! — prostuje ktoś z ławy.

— On nas jeszcze wszystkich przeskoczy! — dodaje inny.

— Zuch stary! — woła trzeci.

— Jakże myślicie, szwagrze? — pyta półgłosem Tödi-Mayer swojego sąsiada.

— A cóż? — jabym brał. Kiepski w nogach, ale w warsztacie posłuży.

— Ani bym na to chuchro nie spojrzał — mówi Dödöli — gdyby tu był inny.

— A co? W domu i to się przyda — perswaduje Kissling.

Pan Radca bystrem okiem po obecnych wodzi.

Chwila wydaje mu się odpowiednią do zagajenia licytacyi. I tak sprawa ta przeciągnęła się nad miarę dzisiaj. Za dużo było ciekawych.

Dobywa zegarek, podnosi go blizko do oczu, porównywa ze ściennym zegarem gminy i skinąwszy na woźnego, rzecze pełnym inicyatywy głosem:

— Moi panowie, kończmy! Kandydat, przedstawiony wam przez sekcyę dobroczynności gminy, ze wszechmiar zasługuje na waszą uwagę. Zdrów jest, niezbyt podeszły w latach, siły dobrze mu służą i do każdej lżejszej roboty przydać się w domu może. Kto z panów reflektuje? I z jaką dopłatą?

Cisza nastaje po tych słowach pana Radcy. Jaki taki liczy się z potrzebą posługi i z groszem.

Sprüngli porusza się i przestępuje z nogi na nogę. Zauważył to pan Radca i skłaniając się uprzejmie w stronę powroźnika, rzecze:

— Moi panowie, pan Sprüngli zaczyna.

— Panie Sprüngli, prosimy! Jakiej dopłaty żądałbyś pan od gminy za przyjęcie w dom swój kandydata?

— Dwieście franków! — rzecze powroźnik i urywa, niepewny, czy nie zażądał zbyt mało.

— Co? Dwie-ście fran-ków? — pyta, udając zdumienie, pan Radca. Poczem zatrzymuje się na

chwilę: Moi panowie! Nic nie byłoby dla mnie milszego nad taki stan finansów gminy, któryby sekcyi jej dobroczynności pozwalał na podobnie kolosalne wydatki. Gdy jednak tak nie jest, musimy to uwzględnić i stawiać przystępniejsze cyfry. Namyślcie się, panie Sprüngli? Jakże, moi panowie? Widzieliście panowie zęby kandydata? To człowiek silny jeszcze!

— I cóż tam, zęby! — odzywa się oberżysta z Mainau. To gorzej jeszcze, że zdrowe! Jak się stary rozje, to go nie natkam, a do roboty nie stanie.

— Oho! Niema biedy! Już my go napędzimy! — mówi Kägi, mrugając zezowatem okiem.

— Ja? — obrusza się oberżysta. — Ja na dziecko nie zakrzywię palca!

— No, no! — odpiera Kägi. — Potraficie w parobka orać!

— Wy co? Czy to ja Probst jestem?

Roześmieli się obaj.

— Kto tam wie, czy i Probst winien! — rzecze Kissling. — Dziad napijał się może...

— Jako żywo! Nikt go pijanym nie widział — zaprzecza Lorche.

— Ale to tam nie Probsta robota, tylko żony! Żona jędza... — odzywa się głos z ławy.

— Baba z pod ciemnej gwiazdy! — dorzuca ktoś z kąta.

— Jak było, tak było – mówi Sprüngli — dość że się stary Hänzli u niego powiesił...

— Musiało mu być słodko.

— Jakto? — woła rzeźnik Wettinger. — To ja takiego będę żywił, odziewał, dach mu nad głową dawał za ten marny grosz z gminy, a do roboty nie będzie mi go wolno napędzić?

— No tak... Ale zawsze...

— Moi panowie — przerywa pan Radca — przystępujemy do ukończenia tej sprawy. Czas urzędowych osób jest ograniczony. Pan Sprüngli podał dwieście franków. Kto z panów licytuje in minus?

Cisza.

— Kto z panów licytuje? — pyta ponownie pan Radca. — Panie Sprüngli, namyślcie się, proszę.

— Jużem się namyślił — rzecze Sprüngli. — Mniej nie mogę, niżli dwieście franków.

Pan Radca odwraca się od niego.

— Kto licytuje, panowie? Kto licytuje?

— Sto ośmdziesiąt pięć wezmę! — mówi zwolna, cedząc zgłoski, piekarz Lorche. Ale niech przynajmniej tę zimę w ubraniu swojem chodzi. U mnie ciepło.

Stary Wunderli spogląda po sobie najpierw, potem po sali i nagle drżeć zaczyna. Wydaje mu się, że mróz już mu kości sięga. W swojem ubraniu? Cóż on za ubranie ma? Alboż on na ubranie mógł zarobić grosz jaki? Na chleb zaledwie mógł zarobić, a i to z ciężkością. Bluzę płócienną ma, łatan bluzę tylko. Jak tu zimę w tem przebyć? Co to za ubranie?...

— Sto ośmdziesiąt z tym samym warunkiem! — odzywa się grubym głosem Dödöli, właściciel winnicy.

— Z tym samym warunkiem? — myśli stary Kuntz, a nędzne jego nogi dygocą coraz silniej. Miłosierny Boże! Pocóż tu jakie warunki? Wszak stoi tu, jak ten Łazarz przed ludźmi... Cóż tu za warunki?...

Po oświadczeniu Dödölego znów się cicho robi. Pan Radca stoi, jak na szpilkach.

Chwilę bawi się koralowym brelokiem, poczem zmuszając się do uprzejmego tonu, mówi:

Dalej, moi panowie! Dalej! Kto licytuje?

— Sto siedmdziesiąt i pięć! — mówi dobitnie Tödi-Mayer. Potrzeba mu na gwałt parobka. Robota aż kipi w domu.

— Sto sześćdziesiąt! — woła ktoś nagle z kąta.

Obejrzano się: nie dowierzano sobie. Zazwyczaj

opuszczano po pięć franków, po siedm zresztą. Ale żeby kto o piętnaście odrazu mniej chciał brać, tego przykładu nie było.

Sam pan Radca spogląda ciekawie w kąt sali: stary Kuntz także podnosi głowę i patrzy.

Z boku nieco, bliżej drzwi, po za ramionami licytantów, u balasków, rozparty stoi syn jego, z krótką fajką w zębach. Za rękę trzyma najmłodszego chłopca.

Stary otwiera usta i patrzy z mieszaniną strachu i nadziei.

Syn przeciska się do balasków, wyjmuje fajkę i w pierwszym rzędzie staje z podniesioną głową. Nikt mu tego za złe nie bierze.

Dzieciaków gromadę ma, sam ciężko pracować musi. Jedna gęba więcej u miski, to duża rzecz tam, gdzie i ci, co do niej siedli, nie zawsze się najedzą. Trzymać ojca darmo, nie może. Bóg widzi, jako nie może! Ale z tem, co gmina doda — spróbuje. Nie wymaga wiele. Odrazu trzy razy tyle opuszcza, co ktokolwiek z obcych. Zarabiać na gminie i na starym nie chce. Niech tylko mu się własny grosz, choćby i nie cały, powróci.

Wszyscy to rozumieją doskonale; każdy by z nich zrobił to samo. Człowiek się, tak jak każda rzecz, zużywa, a zużyty cięży. Kto na to ma, może i dziada

żywić, a nie dopiero ojca; ale kto nie ma na to, jużci kraść nie pójdzie. Jest to rzecz jasna, jak słońce.

A jednak od tej rzeczy jasnej, jak słońce, pada jakiś posępny cień na wszystkie czoła. Ludzie bokami patrzą, jakby nie chcieli, nie mogli spojrzeć sobie oko w oko. Cisza trwa dłużej, niż zwykle. W ciszy tej słychać ciężkie, do jęku podobne, westchnienie starego Kuntza.

Pan Radca bystro pogląda po ludziach. Widocznie syn się utrzyma.

— A więc, moi panowie — zagaja, przemilczawszy nieco — a więc, utrzymuje się ostatnia oferta. — Sto sześćdziesiąt franków! Cieszy mnie, bardzo mnie cieszy.

Tu urwał. Właściwie, nie wie, co go tu ma cieszyć. Tego, iż cieszy się, że sobie wszyscy raz do licha pójdą, nie może im przecież tak w oczy powiedzieć.

Ale przedmowa ta okazuje się przedwczesną.

— Sto pięćdziesiąt i pięć! — podbija syna Tödi-Mayer, i ociera czerwoną bawełnicą szerokie, spocone czoło.

Syn cofa się w milczeniu od balasków i rozdmuchuje przygaszoną fajkę. Ale dziecko, które za rękę trzymał, spostrzega w tej chwili starego;

— Dziaduś! Dziaduś! — woła cienkim, przenikliwym głosikiem.

Stary wnuka nie widzi, słyszy go tylko; rzewny uśmiech rozszerza jego zwiędłe wargi. Potrząsa radośnie głową i robi ruch taki, jakby brał tabakę. Idzie to jakoś, dzięki Bogu, idzie. Wszystko jeszcze może być dobrze. Wszystko może być dobrze!

— Sto pięćdziesiąt! — woła syn.

Ale Tödi-Mayer ustąpić nie myśli. Zaperzył się; był z tych, którzy się rozpalają do każdej stawki. Cóż syn? Syn go mógł darmo trzymać. Za pieniądze gminy każdy teraz dobry, każdy ma prawo.

— Sto czterdzieści i pięć! — woła podniesionym głosem.

Syn przechyla głowę i patrzy na Tödi-Mayera z wysoka, lekko zmrużonemi oczyma.

Namyśla się chwilę, potem macha obojętnie ręką. Nie może ryzykować więcej. Zrobił, co do niego należało, ale ryzykować nie może. Jego czarna, o prostych włosach głowa i twarz kwadratowa, drewniana, cofa się z szeregu, a wysoka, koścista, nieco pochylona postać posuwa się ku drzwiom wskroś ciżby.

Stary patrzy za nim. Jest niespokojny, otwiera usta i wyciąga szyję, lewa powieka zaczyna mu drgać nerwowo. Wygląda teraz staro, bardzo staro.

Tödi-Mayer miarkuje, że nieświetny zrobił interes i szepce z kumem Spenglerem.

Tymczasem pan Radca uderza dłonią w biurko, przy którem stoi.

— A zatem — odzywa się dźwięcznym, jasnym głosem — sto czterdzieści i pięć franków! Po pierwsze... po...

— Za pozwoleniem! — przerywa nagle Tödi-Mayer. Czy tylko jopa należy istotnie do starego?

Pan Radca marszczy piękne, gładkie czoło.

— To nie może wchodzić w zakres roztrząsań gminy! — rzecze z godnością, a woźny odwraca się do kąta i kaszle głośno.

— Jakto nie może? — ujmuje się za sąsiadem Spengler. Gmina musi wiedzieć, co daje, a ten kto bierze, musi wiedzieć, co bierze. To jasne!

— Jopa twoja? — pyta Tödi-Mayer zwracając się bezpośrednio do starego Kuntza.

Ale stary Kuntz nie słyszy.

Lewa jego powieka drży coraz silniej, spojrzenie słupieje. Widzi, jak syn oddala się i jak we drzwiach znika. W chwilę potem widzi go jeszcze przez otwarte okno i słyszy szczebiot dziecka: Idą... Przeszli.

Stary opuszcza głowę i trzęsie nią w milczeniu

Potem ściska powieki z całej, z całej siły. Coś mu źre oczy; słonego coś, gorzkiego... Źre i pali...

— Słyszysz, stary? — powtarza Tödi-Mayer głośniej. — Pożyczył ci kto jopy, czy własna?

Usłyszał wreszcie. Miesza się, spogląda po sobie, zaczyna szybko mrugać czerwonemi oczyma i rzuca ukradkiem spojrzenia w kąt, gdzie woźny stoi.

Tödi-Mayer uderza pięścią w balaski.

— Ależ to oszukaństwo! — wybucha gniewnie.

— Tak! tak! — odzywa się kilka naraz głosów.

Szmer rośnie w sali; oburzenie udziela się wszystkim.

— Człowiek ma miłosierdzie — woła Tödi-Mayer, szeroko rozkładając wielkie czerwone ręce — bierze sobie za marny grosz taki ciężar na kark, ale chce, żeby interes rzetelnie był zrobiony. To trudno!

— Tak! Tak! — potwierdza więcej jeszcze głosów. Po nad wszystkiemi słychać głos Spenglera. Na twarz pana Radcy bucha płomień gniewu.

— Ściągaj kurtę! — krzyczy na starego, a Kuntz Wunderli z pośpiechem rozpinać ją zaczyna.

Nie idzie to łatwo. Ręce mu się trzęsą, pokurczone palce nie trafiają do guzików odrazu; sta-

remu pomaga woźny, ściągając ze złością rękawy. Jako urzędnik gminy, czuje się on niemal tak samo dotkniętym jak Radca.

— Kapuściana głowa! Niedołęga! — szepcze przyciszonym, zirytowanym głosem, szarpiąc na przemiany to jeden, to drugi rękaw nieszczęsnej kurty, po której zdjęciu okazuje się cała wyjątkowa nędza zapadłych piersi i wychudzonych żeber kandydata, ledwie co okrytych srodze łataną koszulą i szczętami letniej kamizelki.

Stary Wunderli drży silnie, częścią z chłodu, a częścią ze strachu. Wydało się... Co teraz będzie? Wszystko się wydało...

W niezmiernem pomieszaniu podnosi do szyi obie trzęsące się ręce i usiłuje rozplątać misternie przez woźnego zadzierzgnięty fontaź.

— I chustka nie twoja? — krzyczy Tödi-Mayer, zdjęty ostatnią pasyą w swem rozczarowaniu.

— Nie moja... — odpowiada ledwie słyszalnym szeptem Kuntz Wunderli.

Woźny wyszarpuje mu ją z ręki.

— Kapuściana... ośla... barania głowa! — mówi przez zęby z naciskiem.

Historya z chustką więcej go jeszcze gniewa, niźli historya z kubrakiem. Inicyatorem pożyczki

kubraka nie był sam: podsunął ją mimochodem pan Radca, zważywszy, iż kandydat był zbyt źle odziany, aby się mógł pokazać w urzędowej części sali.

Ale chustka! Chustka była własnym pomysłem woźnego. Sam ją wiązał, włożył w wiązanie to coś z artystycznych instynktów swoich, coś z własnej duszy... Zdejmowanie jej nie było zresztą rzeczą konieczną, nikt chustki nie podejrzywał, nikt nie pytał o nią. Rozdrażnienie woźnego jest tak wielkie, iż zmiąwszy ten niebieski bawełniany szmatek w obu rękach, ciska go ze wstrętem pod wieszadło u drzwi stojące. Nie może w tej chwili dać dobitniejszego wyrazu oburzeniu swemu i swej wielkiej wzgardzie.

Ale Kuntz Wunderli stoi tymczasem przed publicznością zawstydzony, zgnębiony, odarty z uroku. Teraz dopiero można się przypatrzeć jego kolanom, tak ku przodowi wygiętym, że cała postać przysiadać się zdaje, teraz można widzieć jego wykręcone, ciężkie stopy i jasnokościste łokcie. Najzabawniejsze wszakże wrażenie robi szyja starego. Jest ona tak cienką, że zdaje się, biczem przetrzasnąćby ją można. Wogóle czyni ona starego podobnym do oskubanego ptaka; a to tem bardziej, że nie podparta sztywnym fontaziem głowa, wydaje

się, przy tej cienkiej, zwiędłej szyi, niepomiernie wielka i ciężka. Opada to na jedną, to na drugą, głęboko zaklęsłą jamę obojczyka.

Wesołość teraz wybucha na sali, jedni śmieją się dobrodusznie, drudzy złośliwie, poglądając przytem na Tödi-Mayera. Najlitościwsi kiwają głowami i uśmiechają się z lekka.

— *Ecce homo*! [1]) — odzywa się kotlarz Kissling, który ma brata dozorcą w kantonalnej bibliotece i darmo czytuje książki.

Szeroki wybuch śmiechu przyjmuje to porównanie. Większość mniema, iż jest to przymówka do szczytu, wznoszącego się po za Mythenami, Dużym i Małym [2]), który się „*Ecce Homo*“ zowie, w przeciwieństwie do sękatego Pilatusa [3]); w zgromadzeniu są tacy, którzy górę tę widzieli zblizka.

Stary nie ma wprawdzie żadnego podobieństwa do jakiegokolwiek szczytu, ale jestto tem śmieszniejsze... Dalibóg, tem śmieszniejsze!

Jeden Tödi-Mayer nie bierze udziału w ogólnej wesołości. Okrągłe jego, wypukłe i błyszczące oczy,

---

[1]) Oto człowiek. — Temi słowy Piłat, starosta Judei, wskazał Chrystusa, zebranemu tłumowi żydowskiemu.

[2]) i [3]) Szczyty górskie w okolicach miasta Lucerny w Szwajcaryi.

obiegają postać starego nędzarza, jak gdyby każdą z jego wyschłych i struchlałych kości czyniły odpowiedzialną za tak wielki zawód. Oczyma temi świdruje go, jak fałszywy szeląg, roztrząsa, jak stary łachman, przenika go do ostatniej żyłki, do resztki tchu w piersiach.

— Cofam słowo! — woła wreszcie. Nie mogę brać tak mało!

— Nie wolno słowa cofać! — rzecze z powagą pan Radca.

— Jakto nie wolno? Woźny nie przybił jeszcze

— Nie przybił! Nie przybił! — potwierdzają głosy z ławy, poczem ucisza się nagle.

Wszyscy czekają, jaki obrót sprawa weźmie. Pan Radca jest niekontent. Rzuca on na obecnych chmurne spojrzenia z pod oka, marszczy piękne czoło i ciągnie na dół to jednego, to drugiego wąsa.

— W takich łachmanach nie wezmę dziada i za sto ośmdziesiąt franków — woła rezolutnie Tödi-Mayer, czując za sobą zgodę całej sali.

— Jabym nie brał i za dwieście — popiera go kum Spengler.

— Co to dwieście! To i dwieście dziesięć nie byłoby nadto! — dodaje oberżysta z Mainau.

Stary Wunderli słucha tego i dusza w nim

truchleje. Co to będzie? Co to jeszcze z nim będzie? A może nikt i wziąć nie zechce? A potem, dlaczego tyle aż chcą brać? Dlaczego aż tyle?

Wielki niepokój i wielkie zdumienie odbija się w jego nędznej twarzy. Coraz wyżej podnosi brwi siwe, patrząc w ziemię, a głowa coraz szybszym ruchem opada mu to na jedno, to na drugie ramię.

— No, panie Tödi-Mayer! — odzywa się urzędnik pojednawczo. Nie rób pan żartów, i kończmy moi panowie!

— Dobrze! -- woła energicznie ślusarz — wezmę, ale za równe dwieście!

— Co znowu! Co znowu! — odzywa się, tracąc cierpliwość, pan Radca. Zkąd gmina może takie sumy płacić? Czy panowie myślicie, że gmina siedzi na złocie? Moi panowie, gmina nie siedzi na złocie! Gmina musi się liczyć z groszem. Gmina ma wydatki, duże wydatki! Miłosierdzie, moi panowie, jest dla niej rzeczą świętą, ale i w miłosierdziu miarę zachować należy!

Jeszcze pan Radca nie domówił ostatniej sylaby, kiedy drzwi otwierają się szeroko i wchodzi Probst. Jestto tęgi mężczyzna z grubym karkiem i szeroką, czerwoną twarzą. Jego brunatny, rozpięty spencer pokazuje pierś potężnie rozrosłą i kołyszący się na niej łańcuszek ze srebrnych ogniwek. Z pod niz-

kiego, tłustego czoła świecą małe, bystre oczy; rudawe, kędzierzawe włosy zarastają mu głęboko skronie. Probst idzie śmiało i macha wielkiemi rękami, które mu po bokach wiszą zaciśnięte w kułak; miejsca sobie wszakże robić bynajmniej nie potrzebuje, gdyż każdy usuwa się przed nim z pewnym rodzajem respektu. Człowiek jest silny, tęgi, ma spojrzenie ponure i zuchwałe. Z takim nie zaczynać lepiej. Probst dochodzi do balasków, kłania się urzędnikowi i kiwnięciem głowy pozdrawia kilku obecnych.

Pan Radca wybaczyć mu zechce... Spóźnił się, ale nie winien temu. Ten przeklęty parobek, którego po starym Hänzlim wziął, rozchorował mu się, jak na złość... Sam dziś mleko rozwozić musiał, a to piekielny kawał, z góry i pod górę.

Pan Radca słucha przytakując; pozdrowieni uśmiechają się życzliwie i kręcą głowami.

Sam rozwozić musiał?... No, no! Kawał drogi!

Przez otwarte okno słychać głośne naszczekiwanie psa, którego wszyscy znają; trzy razy dziennie przybywa on z mlekiem, zaprzężony do wózka pełnego wysokich blaszanek. Probst piękną oborę ma... Piękną oborę!

I nagle przejmuje ich uczucie poważania dla tych tęgich pięści i grubego karku. Spengler odwraca

się od Tödi-Mayera i na Probsta patrzy; ślusarz czuje się już przez samo przybycie mleczarza, jakby na pół pobitym. Patrzy to na jednego, to na drugiego z obecnych niby obojętnie; w rzeczy samej żal mu, że targu nie przybił. A no, da się to widzieć, co będzie!

Ale Probst czasu nie traci. Opiera się ściśniętą pięścią o balaski, wyciąga grubą szyję i skubiąc żółto zarastający podbródek, zmruża bure oczy i celuje niemi w starego, jak wylotem fuzyi.

Kissling i Dödöli trącają się łokciami.

— Jak ten patrzy! Jak ten bestya patrzy! Toć chwała Bogu, każdy oczy ma, a nikt tak niem człowieka nie umie nawskróś brać! Ten się zna! No, już ten się zna!

Tymczasem izba przybiera całkiem inny pozór Czują wszyscy, że przybył koneser. Twarze się ożywiają, ci, co siedzieli na ławie powstają i przystępują bliżej. Chwila zaczyna być naprawdę interesującą. Ale Kuntz Wunderli na widok Probsta porusza się niespokojnie, nerwowo. Wie on, że Hänzli, tak samo z gminy wzięty, po trzech miesiącach powiesił się u Probsta na strychu; pamięta jak Probstowa po nim sprzedawała buty. Pamięta też, jak stary Hänzli obdarte miał od szlej ramiona, i jak mu u Probsta oczy zapadły, a twarz zczerniała

i wyschła. Kurczy się stary, głowę w ramiona chowa, przyciska do boków kościste łokcie, staje się małym, bardzo małym, tak małym, że go i niewiele widać chyba. Co prawda, radby się pod ziemię całkiem, całkiem schować. Boi się tchnąć, boi się poruszyć, nawet kolana z wielkiego natężenia dygotać mu przestały.

Ale Probst zna się na tem wszystkiem dobrze. Licytuje przecież tych hultajów od sześciu, czy siedmiu lat w gminie. Wie on, że taka starota, to jak pęknięty garnek: odrutuj, a czasem i za nowy trwa. Bądź co bądź, najtańszy to robotnik, jakiego znaleźć można. Czy złością, czy dobrocią, zawsze się z niego tyle roboty wyciśnie, ile zje, a co gmina doda, to jakby znalazł.

Sarkają ludzie, że cenę inszym psuje. A co mu tam, byle sobie nie psuł. Niech każdy pilnuje swego i już.

Przekrzywia tedy Probst w jedną stronę ciężką swoją płaską głowę, przekrzywia w drugą, a potem spojrzawszy bystro w twarz urzędnika, rzecze silnym, dobitnym głosem:

— Sto dwadzieścia pięć!

Słowa te wywołują silne wrażenie. Najobojętniejsi nawet kręcą głowami z podziwu. Daj go katu!

A to i nie spyta, co kto święci, tylko swoją kozerą wali z góry, jak armatnią kulą!

W sali robi się wielka cisza, w którą wpada natarczywe, zajadłe szczekanie psa, pozostawionego przede drzwiami przy mleczarskim wózku. Stary Wunderli pogląda na lewo i na prawo, jakby szukał okiem, którędy ma uciec. Nie ucieka wszakże: stoi jakby skamieniał, jakby wrósł w podłogę. Tylko coraz niżej opada mu dolna szczęka, a oczy otwierają się coraz szerzej.

— Sto dwadzieścia i pięć! — woła Probst raz jeszcze.

Pan Radca promienieje. Chwilę wodzi po obecnych ożywionym wzrokiem, a gdy nikt nie podbija mleczarza, uderza białą ręką w leżące przed nim papiery i daje znak woźnemu.

— Po raz pierwszy! — mówi woźny, stukając laską w ziemię i ucicha.

— Po raz drugi! — mówi głośniej jeszcze, a stary Kuntz Wunderli zmruża nagle oczy i kurczy się boleśnie, jakby kij przybijający dzieło miłosierdzia gminy w niego miał uderzyć.

— I-po-raz-trzeci! — woła razem z woźnym, tryumfujący pan Radca.

W chwilę potem Kuntz Wunderli stoi u dyszla

mleczarskiego wózka, trzęsąc swą nędzną, starą siwą głową i usiłując drżącemi rękami przełożyć przez siebie parcianą szleję. Z drugiej strony dyszla rzuca się w podskokach silny kudłaty pies w takiejże uprzęży, ujadając głośno, donośnie.



W WINIARSKIM FORCIE.

Ranek był świeży, wiosenny, słoneczny.

W winiarskim forcie, w Poznaniu, piał grubym, chrypliwym głosem wielki, kałakucki kogut. Piew to był głuchy, jakby ze ściśniętej gardzieli idący, zakończony charczeniem dwóch kłócących się z sobą falsetowych [1]) tonów, urwanych na jakiejś niesfornej, czkawkę przypominającej nucie.

Sam kogut wszakże wiele o głosie swoim rozumieć musiał, gdyż po każdym zapianiu stawał jak wryty i, wysuwając coraz wyżej z barków grubą, włochato obrosłą szyję, szybko, jak gdyby w podziwie, obracał na wszystkie strony łeb ciężki, nakryty wielkim, aż na oczy spadającym pierzastym szyszakiem.

W zdumieniu swojem zapominał nawet na chwilę o rozgrzebywaniu śmietnika, stojąc tak na jednej

---

[1]) **Falset — przytłumiony głos z głowy.**

z silnych, aż do ostrogi kępami pierza obrosłych nóg czarnych, podczas gdy druga, wyciągnięta w tył ze skulonymi pazurami, zbierała się niezgrabnie do postawienia następnego kroku.

Nim go wszakże postawić zdążył, już ze wszystkich przedmieść pobliskich, z Waliszewa, z Nowej-Grobli, ze Środki — rozlegało się jasne, szerokie, donośne pianie zwykłych polskich kurów, to pojedyńczo, to razem po dwóch, po trzech, jak tam którego chwyciła myśl dobra. Pomiędzy tymi wyrobionymi i w doskonałą muzyczną frazę [1]) zaokrąglonymi głosami słychać było piskliwe, zupełnie jeszcze pozbawione szkoły wyrwasy młodych kogutów, które zaraz wszakże zagłuszał jeden lub drugi wyborny solista.

Wielki kałakut słuchał, przechylał na obie strony obciążoną ogromnym czubem i nabrzmiałymi koralami głowę, siniawą błonką zakrywał na jedno mgnienie oka okrągłe, rubinowe źrenice, ale się zwyciężonym nie uznawał, i skoro tylko nieco po przedmieściach ucichło, bił po sobie ciężkimi lotami i zanosił się grubem, chrapliwem pieniem.

Natychmiast czyste, metaliczne głosy jego ad-

[1]) Myśl wyrażona w muzyce.

wersarzy [1]) uderzały w powietrze ze zdwojoną siłą. Czuć w nich było rozdrażnienie niezwykłe.

Sąsiad z winiarskiego fortu świeżym był przybyszem; przedmiejskie koguty nie nawykły jeszcze do jego tubalnego [2]) głosu. Wiadomo było, iż uważają go wprost za szykanę [3]).

Kałakut niemniej czuł się podrażnionym. Nie umiał nawet zgoła wytłumaczyć sobie, dlaczego właściwie ksiądz Johann Wurst, pan jego, przeniósł się tu z Westfalii, z miasteczka, gdzie wszystkie koguty tak samo basem piały i gdzie żaden kur nie robił skandalu jakiemiś wykrzykami z za płota.

Było to wprost nie do pojęcia.

I znów się ciężkiemi skrzydłami po żebrach tłukł i zanosił przeraźliwie pianiem.

— Szwabska-krew! — zaklął wachmistrz Dzieszuk, czyszcząc odświętny mundur przy otwartem oknie. — Drze się, jakby kto barana rżnął. Że też to choć i pianie, to insze katolickie, a insze znów szwabskie...

Wachmistrz Dzieszuk, chłop ogromny, a suchy

---

[1]) Przeciwników.

[2]) Potężny. Głos potężnieje, odbijając się o ścianki instrumentu zw. tubą.

[3]) Szyderstwo.

jak chmielowa tyka, dawno już w wojsku służył, a z żołnierzy Polaków był w forcie najstarszym. Tutaj ostry jego wąs poszroniał, tu mu twarz zwiędła i wyschła, tu się w ptasi dziób zaostrzył nos jego kościsty, tu mu się nieco pochyliły bary, tutaj ociężały nogi.

Ale chociaż tak dawno karabin pruski dźwigał, ze »szwabami« nigdy jakoś pogodzić się nie mógł.

Dwa też były u niego gatunki ludzi i rzeczy: »Szwabska-krew« i »Polska-krew«. Wszystkie nawet wypadki życia swojego do tych dwu kategoryi odnosił. Dwa razy był naprzykład, »szwabska-krew«, raniony: w szlezwiskiej [1]) i francuskiej [2]) wojnie; a raz mu ksiądz Cydzik, proboszcz dywizyjny, podarował, »polska-krew«, książkę od pacierza ze złoconymi brzegami i pięknym futerałem.

Jeden tylko odolanowski i kuźmiński atak kwietniowy wspominając, mieszał te obie kategorye tak, że sam już nie wiedział, gdzie tam w tej zawierusze była krew polska, a gdzie znowu szwabska, i dopiero kiedy w opowiadaniu do bicia słupów granicznych przez generała Willisena [3]) przycho-

---

[1]) Wojnę szlezwiską prowadziły Prusy z Danią w 1864 r.
[2]) Wojna francusko-pruska z 1870 i 1871 r.
[3]) Głównodowodzącego ze strony Prus w Szlezwiku.

dziło — ostygał, prostował się, a rozłożywszy suche i długie ramiona, jak męka pańska na rozdrożu, milcząc, stał i gestem pokazywał, że z jednej strony była wówczas »polska«, a z drugiej »szwabska« krew.

Wąs mu wtedy szroniasty drżał nad niemą wargą, a zresztą żaden z willisenowskich słupów nie był bardziej nieruchomy i więcej milczący.

Co niedziela paradował Dzieszuk ze swoją książką od pacierza na mszy żołnierskiej, którą proboszcz dywizyjny wczesnym rankiem u Fary miewał.

Piękna to rzecz była widzieć, kiedy w długiej, po-jezuickiej nawie parami się ustawiła wiara z winiarskiego fortu, mając nad sobą, jak sztandar krótko strzyżony łeb Dzieszuka, który wzrostem nad wszystkimi górował. Czasami łeb ten, szronem pokryty, zdawał się być tak wysoko, jakby nim Dzieszuk chciał dostać tych gwoździ, którymi przybite były nogi ukrzyżowanego w ołtarzu Chrystusa, i bić o nie czołem.

Patrzyli też w niego młodsi, jakby w tęczę, a niejeden, co księdza nie dojrzał i dzwonka nie pojął, ruchami owego łba Dzieszukowego w słuchaniu mszy się rządził.

Stał Dzieszuk, stali wszyscy, jakby w ziemię

wrośli; klękał — klękali, niby las podcięty; bił się w piersi — głuchy łomot setek rąk, w kułak złożonych, rozlegał się, jak stłumione uderzenia młotem.

W jednem tylko nie mogli podkomendni naśladować wachmistrza swojego, a mianowicie w tym wspaniałym geście [1]), jakim Dzieszuk książkę swoją z futerała wyciągał, złocone jej karty otwierał, a podniósłszy do wysokości uzbrojonego w okulary potężnego nosa, na całą długość ramion wyciągniętą przed nim trzymał. Tego stanowczo nie mógł naśladować nikt, i na tym punkcie pozostał Dzieszuk niedościgłym wzorem.

Niemniej wszakże czuła się wiara dumną z posiadania wachmistrza, który ma tak piękną książkę, a co niedziela ścisk był koło Dzieszuka, bo każdy rad był choć futerał od niej podczas nabożeństwa trzymać.

Nie byle komu powierzał go Dzieszuk i nie wpierw w ręce dał, aż ostrym swoim wzrokiem na wylot kandydata do trzymania przebrawszy, uprzytomnił sobie jego całotygodniowe sprawki. Boże broń »makuły« jakiej i »zatrząśnienia oczu«, jak mawiał. Uważano też niemal owo trzymanie futerała za niż-

---

[1]) Ruchu.

szy jakby stopień służenia do mszy, a Dzieszukowe czytanie z książki, jakby za celebrę [1]).

Umiał wszelako Dzieszuk być wspaniałomyślnym, a kiedy wiara dobrze się sprawiała, to półgłosem modlitwy zwolna czytał, aby je najbliżsi słyszeć mogli. Pomdlały mu nieraz srodze od trzymania książki onej ręce; ale nie wpierw ją składał aż ksiądz Cydzik, zrzuciwszy ornat po mszy, w albie tylko u ołtarza stawał i obróciwszy na kościół twarz szczupłą, bladą i przeźroczystą niemal, znakiem krzyża, szeroko zakreślonym w powietrzu nad pochylonemi głowami żołnierzy, zaczynał naukę nie, dzielną: »W imię Ojca, i Syna, i Ducha świętego«.

Żegnał się wtedy Dzieszuk, żagnała za Dzieszukiem wiara, a po całej nawie szedł szmer jednostajny, aż ucichł gdzieś u drzwi, u kruchty.

Proste były nauki ks. Cydzika, ale i Dzieszukowi i podkomendnym jego niezwykle trafiały do serca. Cichy, delikatny głos mowcy przejmował serca te nawskróś już dźwiękiem samym: tak, że ledwo ksiądz usta otworzył, już się dawało słyszeć w szeregach powstrzymywane sapanie.

Dzieszuk i w tem przecież karność utrzymać potrafił. Jakże to? To jeden będzie sobie w wąsy

---

[1]) Odprawianie mszy.

dmuchał, a drugi nie będzie słyszał nauki przez niego? Jeszcze co!... Oglądał się tedy marsem, chrząkał, a sapanie wnet cichło po kątach.

Dopiero kiedy wachmistrz dobył czerwonej, bawełnianej chustki i nos potężny nią utarł, a westchnął sobie z głębi, wolno było pofolgować wezbranemu sercu.

Wtedy to, jak na komendę, ucierała wiara nosy, a strzeliste westchnienia unosiły się, jak wiatr, aż pod wielki, kryształami obwieszony, świecznik, którego płomyki też zaczynały migotać i mrugać, jak oczy do płaczu gotowe.

Płakano wszakże przy większych tylko okazyach. Ot, kiedy na ten przykład, Dzieszuk z książki swojej zagrzmiał na mszy pasterskiej: »Bóg się rodzi, moc truchleje«; albo kiedy na wielkopiątkowej pasyi ryknął wielkim głosem: »Jezu Chryste Panie miły, Baranku bardzo cierpliwy!« — lub kiedy wreszcie, podczas rezurekcyi, jak z moździerza huknął: »Wesoły nam dziś dzień nastał!« Tę pieśń lubił szczególniej, a w miarę, jak ją śpiewał, głos jego młodniał i nabierał słodyczy, tak, że przy słowach: »Witajże Jezu najsłodszy, Synaczku mój najmilejszy«, podobny był gruchaniu gołębia, który, lubo przytwardy już nieco na pieczeń, tokować przecież nie zapomniał jeszcze.

Słodycz ta pozostawała mu w głosie i w spojrzeniu na cały ten tydzień, który raz na zawsze spędzał u kuma swego, strażnika trzeciej bramy w winiarskim forcie, Wojciecha Kociały, igrając z dziatkami jego i pożywając dar boży, iż to sam sierota stary, domu swego i ogniska nie miał, odkąd syn jego jedyny, pod Odolanowem... szwabska krew!...

Nie kończył tego wachmistrz Dzieszuk nigdy; ale się przy tych słowach znów stawał podobny do willisenowskich słupów.

A ot i dziś, wielkiego dnia po Wielkiejnocy i święconego jajka Bóg doczekać dał. Od wczoraj jufort cały pełen był zapachów gorącego ciasta i mięsiwa, które zagłuszała nieco czeremcha kwitnąca bujnie i rozgrzana słońcem kwietniowem.

Dzwony u Fary biją, a biją, jakby pęknąć miały, a Dzieszuk nie śpieszy się jakoś. A czego się śpieszyć?

To nie ksiądz Cydzik będzie dzisiaj mszę żołnierską odprawiał. Złe jakieś szepty chodziły już oddawna po winiarskim forcie, ba, po mieście całem. Gadali ludzie, że nowy proboszcz przybywał zdaleka; gadali, że nawet po polsku nie umie...

Nie umie? Jakżeby to? Po jakiemużby się tu z ludźmi dogadał?

Tak sobie rozumował Dzieszuk, ale jakby mu mrówki po sercu lazły.

Ksiądz Cydzik od kilku dni nie wychodzi z domu. Powiadają, że chory. Może chory, a może i nie chory. Może to tylko polityka taka. Jak politykować nie ma, kiedy od piątku na cudzych jakby śmieciach siedzi, bo się już nowy proboszcz sprowadził z betami, z gratami, z kurami, ot i z tym kałakutem przeklętym, a dziś pierwszą mszę żołnierską ma mieć...

— A no, da się to widzieć! Przestał mundur czyścić; wdział go na siebie i ruszył naprzód.

Wchodzi wiara, jak zawsze, dwójkami do Fary, a łeb Dzieszuka wyżej jeszcze niż zwykle nad wszystkimi sterczy.

Na prawo, przed ołtarzem, klęczący w ławeczce ksiądz Cydzik, w starej swojej, znoszonej sutannie. Obie ręce złożone na wytartym brewiarzu, na rękach oparte czoło; z boku tylko widać nieco twarz jego zmizerowaną i żółtą, jak wosk.

Zaruszał się wąs szroniasty nad wargą Dzieszuka, ale nic. A tuż zaraz i dzwonek brzęczy u drzwi zakrystyi.

Wszedł nowy proboszcz — wspaniała osoba — i tubalnym głosem zaintonował »Asperges«. Rozstąpiły się dwójki na obie strony nawy, a celebrant

ruszył środkiem, poprzedzony przez wylękłego i plączącego nogami chłopaka z kubełkiem wody, w komeżce.

— Niema co, wspaniała osoba! Gdzie tam do niego księdzu Cydzikowi! Czarna, kędzierzawa głowa, twarz mięsista, rumiana, świecące oczy; ręce białe i tłuste, ruchy zamaszyste. A buty skrzypią, jak u pana komendanta; a z pod kapy widać nową, błyszczącą sutannę. Kropidłem macha, jakby kij w ręku trzymał, po ludziach bystro pogląda, jakby ich odrazu przeczuć chciał. Jaki taki oczy spuścić musiał.

Zaczęła się msza.

Ksiądz Cydzik nie podnosił głowy.

Zdawało się Dzieszukowi, że przez blade, cienkie palce klęczącego przesączyło się na brewiarz jakby kropel parę... i nagle go coś przy sercu ścisnęło. Żeby sobie wybić próżne myśli z głowy, dobył książkę i modlić się z niej zaczął. Ale modlitwa mu nie szła. Szczególniej go to stropiło, że nowy organista, który razem z nowym proboszczem nastał, trele jakieś wywodzi, a zwykłych pieśni wcale nie zaczyna.

I msza odprawiała się jakoś dziwnie krótko, węzłowato. Nie było w niej tych długich modłów, tych cichych zachwyceń dawnego proboszcza. Od

»Introit« do »Ewangelii« — jakby z bicza trzasł. Połowy, gdzie! ćwierć zwykłych modlitw swoich nie zdążył Dzieszuk odczytać, kiedy już ksiądz »Credo« śpiewał. Przed podniesieniem znów oczy od książki oderwać musiał wachmistrz, bo mu się zdało, że świece ciemniej się jakoś u ołtarza palą i że chyba połowa pogasła. Ale nie. Paliły się wszystkie. Tylko czemu ten organista nie zaczyna pieśni?

Ta pieśń doroczna, ta pieśń naśpiewana tak mu wierciła w głowie, że, padłszy na kolana przy podniesieniu, bił się w piersi jak na »Agnus« [1]) a za nim wiara grzmociła się tak samo, aż do ostatniego.

Ksiądz Cydzik klęczał nieporuszony. Zdawało się, iż to jest figura kamienna, której nadano twarz ludzką, bardzo bladą.

Po »Podniesieniu« szronowaty łeb Dzieszuka obrócił się ku chórowi. Natychmiast wiara uczyniła toż samo. Na chórze wszakże nie odezwała się pieśń oczekiwana.

Dzieszuk zupełnie modlić się nie mógł. Trzymał wprawdzie książkę swoją na wysokości nosa, ale litery i wiersze migały mu przed oczyma, jak czarne

---

[1]) Baranek Boży.

punkta i wężyki. Wydłużał i przyciągał ręce, ale to nie pomagało.

Westchnął nareszcie z uczuciem ulgi, kiedy ksiądz wysokim tonem zaśpiewał: „*Ite missa est*[1]) — Alleluja!“

Ano, kiedy »Alleluja«, to już dobrze. Przynajmniej się wie, że to po polsku. Już chrząknął, już wydął piersi, już nogi dla pewniejszego dobycia głosu rozstawił, kiedy nowy proboszcz, zrzuciwszy ornat, przed ołtarzem, w albie, z sutą u szyi wstęgą żółtą do nauki stanął i, zakreślając szeroko w powietrzu nad zebranymi znak krzyża, donośnym odezwał się głosem:

„*Im Namen des Vaters, des Sohnes, und des heiligen Geistes*...[2]) — Amen!«

Dzieszuk, który już do czoła rękę był podniósł, spuścił ją, jak paraliżem tknięty.

— Co to? Co to jest? Co to ma znaczyć?

— *Meine theueren Brüder!*[3]) — zaczął ksiądz swoją przemowę.

— Chryste! To naprawdę?... Chryste! Chryste! Chryste!

---

[1]) Idźcie, msza skończona.

[2]) W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego.

[3]) Moi drodzy bracia.

Wypadła z głuchym łoskotem książka z rąk Dzieszuka, a ręce te, drżące i kościste ręce podnosiły się zwolna coraz wyżej ku krzyżowi.

Wiara patrzyła w niego, jak w obraz cudowny. A łeb Dzieszuka razem z rękoma podnosić się zdawał tuż, tuż do nóg Ukrzyżowanego. Jeszcze chwila, a dostanie on nóg tych rękoma, oplecie je, uściśnie; i włóczyć się będzie u tych stóp przebitych i nie puści, póki go tu zaraz nie przeżegna po polsku ksiądz Cydzik, póki Mateusz, stary organista, nie zagrzmi: »Wesoły nam dziś dzień nastał«.

Wesoły... Chryste! Cnryste! Toż dzień sądu, a nie dzień wesela. Chryste! to takie zmartwychwstanie Twoje? To nie zmartwychwstanie, ale męka! Męka, i krew, i żółć, i przebicie boku włócznią!... Słońce i gwiazdy się zaćmiły, ziemia się wstrzęsła, powstali z grobu umarli!... Boże, Boże! czemuś mnie opuścił? Boże, Boże! czemuś mnie opuścił?...

I ryknął stary Dzieszuk nagłym płaczem, i padł na kolana i, wpatrzony w Chrystusa ukrzyżowanego, wielkim głosem zaczął śpiewać:

»Któryś za nas cierpiał rany,
Jezu Chryste, zmiłuj się nad nami«.

A za nim wiara tuż na kolana i w szloch, i w ono błaganie żałosne...

Stropił się nowy proboszcz u ołtarza, pomylił, z drugiego końca zaczął, i znów się pomylił, ale nauki nie przerwał. Chłopaka tylko w komeżce w bok szturchnął, wskazując mu palcem Dzieszuka.

Chłopak podszedł do wachmistrza i trącił go w ramię. Nic. Trącił go tedy powtórnie. Ale Dzieszuk nie czuł tego nawet. Zdawało mu się, że słyszy wbijanie nowych słupów willisenowskich. Wszakże on je pamięta dobrze. Od Noteci [1]) stały, od Krotoszyna, od Międzychodza, od Kępna [2]), ale nie tu, nie tu, nie tu! Tu nie było ani jednego! On wie, że nie było, on przysiądz gotów!

I rozpostarł ręce i, twarzą na ziemię ległszy, rozkrzyżował się szeroko na kamiennych taflach, jakby broniąc przystępu tym słupom, które się same poruszały i coraz dalej szły, szły...

Ksiądz Cydzik klęczał nieruchomy z pochyloną na ręce twarzą, a jego wątłą postacią wstrząsało wewnętrzne łkanie.

Dawno już się nauka skończyła, a ksiądz Jo-

---

[1]) Noteć — rzeka, dopływ Warty, z którą razem wpadają do Wisły.

[2]) Krotoszyn, Międzychodź, Kępno — miasteczka w W. Księstwie Poznańskiem.

hann Wurst przez zakrystyę na plebanię wracał, kiedy Dzieszuk oderwał swój łeb siwy od kamiennych tafli podłogi, podniósł się, zatoczył i jak pijany ku drzwiom iść zaczął, zapomniawszy, po raz pierwszy, zabrać książkę swoją.

Przy drzwiach trącił go Kociała.

— Ej, co tam kumie! Dajcie spokój! Czekamy ze święconem jajkiem...

— Kto święcił? — zapytał głuchym głosem Dzieszuk.

— A któżby?... Nowotny...

— Pożywajcie z Panem Jezusem — odparł Dzieszuk i powlókł się na kwaterę.

Tu zrzucił mundur, padł na tapczan, ukrył głowę w ręce, i długo widać było, jak się wstrząsa jego grzbiet kościsty.

Nad wieczorem rozbudził się, zjadł kawał czarnego, żołnierskiego chleba i, zapaliwszy fajkę, zaczął chodzić po szczupłej stancyjce.

Chodził długo. Już w forcie winiarskim wszystkie światła zgasły, a jeszcze jego ciężkie kroki rozlegały się wśród cichej nocy.

Niebo tymczasem zaciągnęło się lekkiemi chmurkami, a ciepły, rzęsny deszcz wiosenny uderzył z pluskiem grubych kropli w ziemię.

Zatrzepotał się wtedy na grzędzie olbrzymi ka-

łakut i zapiał na tę zmianę swym grobowym głosem.

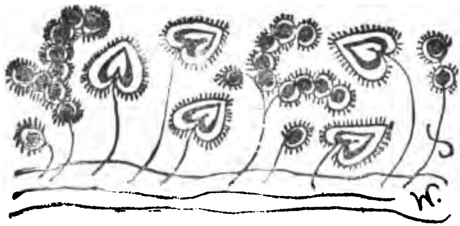
Dzieszuk drgnął i nagle stanął. Stał przez chwilę, potem zarzucił stary lejbik, czapkę nacisnął na uszy i wyszedł, przyciszając kroku.

Nazajutrz kucharka księdza Wursta podniosła okrutny lament. Ulubiony kałakut nowego proboszcza leżał wyciągnięty tuż pod żerdzią, która mu za grzędę służyła. Grube jego, pierzem obrosłe nogi sterczały skulonymi pazurami wysoko do góry, szyja była skręcona, przy silnym dziobie nieco krwi zaschłej.

Była to zapewne »szwabska krew«.



NIEMCZAKI.



Ich matce.

Poszła za niemca. No, trudno! Tego już nikt nie zmieni. Nie była zresztą Wandą, była Felcią; nie mieszkała nawet nad Wisłą [1]).

Dwór wiejski, z którego była rodem, zapadał się wiek po wieku i belka po belce w ten klin żyznej ziemi, która, między Nerem [2]) a Wartą leżąc, łęczycaków od kaliszanów grodzi. Inaczej, gęściej jeszcze i hałaśliwiej szłyby między nimi owe stare spory, które, z jakichkolwiek przyczyn powstałe, regularnie się kończą jednym argumentem: ze strony kaliszanów, że łęczycaki, jak piskorze piją, a ze strony łęczycaków, że kaliszany kiedyś tam zblamowali się szpetną rejteradą. Ano, Bóg z nimi.

---

[1]) Autorka ma tu na myśli podanie o królowej polskiej, Wandzie, która utopiła się w Wiśle, nie chcąc zostać żoną niemieckiego księcia.

[2]) Ner — rzeka, dopływ Warty.

Zapadał się tedy ów dwór stary, belka po belce i wiek po wieku; syny po ojcach, wnuki po dziadach szły, a nad każdem pokoleniem pułap coraz to był niższy, coraz to bardziej tłoczący. Aż ścisnął ich wreszcie tak, że ze starego, prastarego gniazda wyszli i po świecie roztułali się jakoś.

Synów miał ostatni dziedzic kilku; poszło to, jakby ten wiatr pomiótł, tam, sam, nie wybierając wielce, a całą fortunę w węzełkach niosąc. Ale córka jedna była, Felcia. Tę, gdy się krewnej na opiekę do Prus dostała, niemiec jeden upodobał wielce, a że był młody, przystojny, pracowity, i proceder kupiecki dość mu zysków czynił, wyszła za niego dziewczynina, nad czem stary pan starego dworu, teraz na rezydencyi u krewniaków aż gdzieś w ziemi krakowskiej siedzący, długo bolał skrycie.

Co do Felci, ta była szczęśliwą.

— Takie to tam i szczęście! — mawiał stary pan, paląc długą fajkę i kiwając głową. Postaw z bławatu, a wątek pacześny!

Zachmurzył się i mówić o tem wogóle nie lubił i listy nawet do córki dawał adresować komu innemu, żeby własną ręką nie stwierdzać zniemczenia się rodu. Co do zięcia, tego stale »szwabem« lub »kupczykiem« nazywał; a gdy mu z biegiem czasu dwóch wnuków przybyło —

— Tem gorzej! — mawiał — tem gorzej! Lepiej, żeby to zgasło, niż ma degenerować!

I rzeczywiście, zaczęło się jakoś na zgaśnięcie mieć, bo chłopaczki były delikatne i wątłe, czem się matka niemało trapiła.

— Chłopaczki moje biedne — pisała do krewniaków w Krakowskie — nie mają tego powietrza, jakiem oddycha droga wasza dziatwa! Nie mają pól, nie mają łąk, żeby biegać po nich, nie mają zapachu lasów, rosy, kwiatów, nie mają słońca naszego, coby ich krzepiło...

— Jak myślisz? — rzekł gospodarz po liście tym do żony. Możeby tych tam malców Felci na wakacye wziąć?

— A może!

Ale stary pan oburknął się na to.

— Jak tak — mówi — jak mi tu sprowadzać chcecie tych szwabów, to ja się zawczasu wynoszę!

Nie wyniósł się jednak. Miał tu wygodę, czuł serce, a nadewszystko tę atmosferę obywatelskiego życia, od której późno mu było odwykać. Tu jeszcze mógł, w ganku stanąwszy, huknąć na całe gardło: »Zaprzęgaj!« tak, że echo, po trzykroć od węgłów stodoły odbite, aż u lamusa gdzieś cichło. Tu chłop, przechodzący mimo dworu, czapkę jeszcze

zdejmował, czy był kto, czy nie był w ganku. Tu, co niedziela, siadywał w kolatorskiej ławce, gdzie mu gospodarz, jako starszemu wiekiem, przy kobietach miejsca ustępował, tu wreszcie miał swoją sławną wyżlicę »Czajkę«; i niemniej sławną strzelbę »porócznikówkę«, z której sobie lubił czasem do wron puknąć. Słowem, tu jeszcze pod nogami grunt czuł, był obywatelem.

Nie wyniósł się tedy. A choć się zżymał, kiedy listy, układające podróż chłopców, zaczęły gęściej latać, choć zamknął się, gdy konie po dzieci na stacyę szły, przecież posłyszawszy, jak wracająca nejtyczanka zaturkotała na podbrukowaniu, a Wojciech z bata palnął — wyszedł z fajką na ganek, a że ogromnego wzrostu był, chłopcom się przez głowy gospodarzy i domowników przyglądał.

Raźne to było, jak skierki, ruchawe, eleganckie, opięte, ale zmizerowane bardzo. Twarzyczki bledziutkie, jasnowłose główki, ciałka szczupłe, rączyny i nożęta cienkie — ot, chucherka takie.

W ganku gospodarz uściskał ich serdecznie, gospodyni także, czem dzieci, jakby przestraszone nieco, kłaniały się na wszystkie strony, od rodziców widać pięknie wyuczone, jak z nut szczebiocząc jeden przez drugiego:

— *Guten Tag, lieber Onkel!* [1])

— *Guten Tag, liebe Tante!* [2])

— Tfu! — dało się słyszeć w tem miejscu energiczne splunięcie starego pana, w chwili właśnie, kiedy starszy z chłopiąt, siedmiolatek, recytował w powietrze, nie wiedząc właściwie, do kogo się zwrócić:

— *Guten Tag, liebster Gross-Papa!* [3])

Służba parskała w garście śmiechem za plecami państwa. Te małe, pięknie ubrane i tak rezolutne paniczyki zupełnie jej się wydały podobnymi do tych, nie przymierzając, małpek uczonych, które niedźwiednik na ramieniu nosi. Słyszane rzeczy, żeby zaś takie bębny po niemiecku mówiły, jak te stare kolonisty z Ręczaja?

Ale gospodarz i gospodyni zachwyceni byli dzieciakami. Ich bystre, inteligentne twarzyczki, ich śmiałość, ich dobre ułożenie, ich obycie się z ludźmi, wszystko to podobało im się niezmiernie. Nawet ta ich subtelność chwytała za serce, takie to było przejrzyste, takie się proszące słońca i opieki. Domowe dzieci obstąpiły chłopców dokoła, dotykając

---

[1]) Dzień dobry, kochany wuju!

[2]) Dzień dobry, kochana ciotko!

[3]) Dzień dobry, najdroższy dziadku!

ich pięknie skrojonych kurteczek, zręcznych kapelusików, torebek podróżnych, a nadewszystko rękawiczek, których nie nosiły jeszcze same. O witaniu rzecz prosta, nie było na teraz mowy: rekognoskowały dopiero. Jedna tylko trzechletnia dziewczynka, nastawiwszy do pocałunku rozchylone usta, dreptała od jednego do drugiego, zadzierając jasną główkę i obnosząc »buzi«.

— Jak wody! jak wody, tak to dziecko tej buzi daje! Nic nie żałuje! — wołała zachwycona niania, pragnąc choć część powszechnej uwagi zwrócić na swoją pieszczotkę.

Ale stary pan, we drzwiach za wszystkimi stojący, nie zrobił kroku naprzód, tylko pykając fajkę i dmuchając w wąsy, patrzył na malców z pod brwi siwych, zsuniętych, krzaczastych.

— No, jakże, wuju! — zwrócił się do niego żywo gospodarz. — Jakże się wujowi chłopaki wydają? Zuchy, co? Taką drogę, i sami przebyli!

— At! — machnął ręką zapytany — wsadzili ich, jak lalki w pudło, to i przyjechali.

— No, ale ładne chłopaki? sprytne? dobrze ułożone?

— Niemczaki! — odrzekł na to stary pan, i odąwszy wargi, rękę tylko wyciągnął do pocałowania chłopcom, których w tej chwili właśnie gospodyni

podprowadziła do dziadka. Poczem cofnął się i drzwi pokoju swego zamknął.

— Jakże ci na imię, kochanie? — spytała gospodyni serdecznym głosem, chcąc zatrzeć wrażenie tego powitania.

Okazało się, że chłopiec nie bardzo wie, o co go pytają. Powszechne zdziwienie. Więc nie umie po polsku? Coś nie coś umie, ale nie tyle, żeby się rozmówić. Umie pacierz, umie nazwać ziemię i wieś, w której się urodziła matka, umie nawet wymówić nazwisko jej panieńskie, nazwisko dziadka. Ale i to wszystko kaleczy... Jakże? Mama cały dzień w sklepie, ojciec w kantorze, a służąca — niemka.

Tak i tak dowiedziano się nareszcie, że starszemu na imię Gustaw, a młodszemu Henryk. Imiona te przyjęto wprawdzie do wiadomości, ale się niemi jakoś nie posługiwano.

Natomiast przylgnęła do nich szczelnie i odrazu nazwa, nadana przez dziadka: »Niemczaki«.

Dzieci chwyciły to pierwsze, za dziećmi służba, gospodarze też jakoś to przyjęli, dość, że w całym dworze, ba, we wsi, nikt chłopców nie nazywał inaczej:

— Niemczaki, na obiad!

— Niemczaki, chcecie mleka?

— Niemczaki, spać!

Prawie też, że i nie było o co więcej wołać. Chłopaki były karne, łagodne, uprzejme, wesołe, a tak się pilnowały wzajem we wszelkiem porządku, jakby tego i bona lepiej nie zrobiła. To też nazwa: »Niemczaki« nie miała w sobie nic wzgardliwego, nic nieprzyjaznego. Raz wraz owszem powtarzano domowym dzieciom:

— Patrzcie, jakie to Niemczaki mają czyste ręce! Widzicie, jak to starszy Niemczak młodszemu nosek obciera? Patrzcie, jakie Niemczaki zgodne, jak się nie biją, nie kłócą! Czemu to wy nie jesteście tak, jak Niemczaki, posłuszne i grzeczne?

Chłopcy też do tej nazwy jakoś przywykli, i tak do nich, jak skóra, przyrosła.

Minął miesiąc, minął drugi — Niemczaki, lubo z silnym akcentem, wcale nieźle po polsku szczebiotać zaczęli, przez co się jeszcze milsi, jeszcze bliżsi wszystkim uczynili. Niemczaki przecież zostali. Co do dziadka, ten zawsze na nich patrzył mrocznie. On sam czuł ciągle i pamiętał tę obcość ich rodu; on sam utrzymywał rozdział między sobą a wnukami; on sam też jeden w całym domu nadawał tej nazwie »Niemczaki« coś wzgardliwego, coś obraźliwego. Domowych chłopców, którzy mu byli jako żerdź po płocie, na kolana brał, piosenki im stare gwizdał, myśliwskim swoim rogiem bawić

się dawał. Czajki, wygrzewającej się na słońcu, dosiadać i targać za uszy nie bronił, ale Niemczakom — wara! Zdaleka tylko patrzeć na to musiały. Im nic nie było wolno. Co gorsza, wyłączone były z »Instrukcyi«. Instrukcyą nazywał stary pan ćwiczenia swego pomysłu, rodzaj mustry, w której chłopcy to nosiły kije, jak strzelby, maszerując dokoła klombów, to uderzały niemi na płoty, jak bagnetami, to machały, broniąc się i atakując, jak szpadą, to ciskały, jak oszczepem, wszystko podług swego czasu, bo każdy dzień miał inne prawidła.

Nieprzypuszczone do »Instrukcyi« Niemczaki, stały tymczasem zdaleka, miłosiernie patrząc i zazdroszcząc w duchu.

Starszy szczególniej, aż rumieńców dostawał na delikatnej twarzyczce, z taką pożądliwością na ćwiczenia patrzył.

Widziała to gospodyni i żal jej było dzieci.

— A czemuż to wuj Niemczaków nie weźmie do mustry? — rzecze raz i drugi.

— A im to na co? — odburknął stary pan gniewnie. A pomiarkowawszy się, dodał:

— Za słabi są na taką »Instrukcyę«. Ręce jak patyki, nogi jak trzcinki, jeszczeby się to połamało do dyaska.

O tych rękach jak patykach i nogach jak trzcin-

kach, mówiło się — ot, aby mówić. Chłopaczki bowiem, harcując przez parę miesięcy po łąkach i polach, ogorzały, wzmocniały, zjędrniały nad podziw. Niechętne tylko oczy dziada nie chciały widzieć tego.

Nie o to mu też w gruncie rzeczy szło.

— Co w takich Niemczakach może być męzkiego, rycerskiego, dziarskiego, szlacheckiego, obywatelskiego, coby rozwijać warto? Z łokcia to wyrosło i do łokcia pójdzie — ot co!

Tak sobie rozumował pan stary. Właściwie to i nie rozumował nawet. On tylko to czuł; a czucie upartsze bywa, niż rozumowanie.

Zdarzało się, że podczas »Instrukcyi« trzeba było szerzej front rozwinąć, albo wzmocnić flanki. Stary pan oglądał się wtedy i choć widział chłopaczków pokornie stojących, wołał Antka ogrodniczka, lub Józka szafarki, a Niemczaków na uboczu zostawiał.

Ale mieli i oni swoje uciechy.

Szczególniej starszy, kręcąc się u stajen, albo na wygonie, w łaskach u koniarków był, bo im nieraz podwieczorek oddawał, za którą to cenę, zrazu podsadzany, potem sam, pierwszego lepszego źrebca za grzywę chwytał, dosiadał i oklep po pastwisku uganiał. Co go uczyniło do konia tak śmiałym i taką

w nim rozwinęło siłę, że nawet do »Rokity« śmiało szedł i na grzbiet mu skakał, choć ten koń był z narowów znany i dla dobrego nawet jeźdźca niebardzo bezpieczny.

Oczywiście, że te imprezy trzymane były w zupełnej tajemnicy; młodszy tylko Niemczak, który starszego na krok nie odstępował, przypuszczony był do nich na widza! Ale ten umiał sekret utrzymać, i kawalerskim honorem, równie jak starszy się rządził. Ogromnie się te chłopczyki kochały!

Zdarzało się też, że sami we dwóch urządzali sobie na własną rękę »Instrukcyę«, przyczem starszy dziwnie czupurnie naśladował komendę starego pana, a młodszy ruchy domowych chłopców w lot chwytał. Zwłaszcza w atakach na bagnety pędrak ten celował. Kiedy się na nożynach tych rozstawił, bokiem nieco zwrócił, kij ujął, i obganiając się to na lewo, to na prawo, w cel godził, czy w psią budę, czy w krzak jałowcu, czy w grochowe tyczki, reprezentujące nieprzyjacielską potencyę — tak mu to wszystko składnie szło, jakby się w szermierstwie owem od pieluch był ćwiczył.

Patrzył dziad na to nieufnie, niechętnie, umyślnie w stronę odwracając głowę.

— Ależ to istny żuaw, ten chłopak! — wykrzykiwał gospodarz z podziwem.

— Ot, szwabskie małpiarstwo i tyle! Czy to składność żołnierza robi? To dusza go robi, mości dobrodzieju, dusza!

Raz tylko, kiedy po walnej wygranej Niemczaki na kiju uwiązali chustkę, i z tryumfem mimo ganku idąc, wznieśli okrzyk zwycięstwa, jakiego dziad świeżo domowych chłopców wyuczył, stary pan otworzył usta, brwi podniósł, przechylił głowę, słuchał, a potem zcicha:

— A kto ich wie? A może!...

Po dawnemu ich wszakże zdaleka od »Instrukcyi« trzymał.

Jakoś gospodarzowi markotno to było. Więc kiedy wypadł objazd dalszego folwarku, a konia mu przed ganek, po takiej właśnie »Instrukcyi« podano, spojrzał na starszego z chłopców, i kładąc nogę w strzemię, krzyknął:

— Niemczak? Chcesz się konno przejechać?

Skoczył chłopak jak iskra, gospodarz go przed siebie wziął, cmoknął, a młody, rwisty koń w szczupakach z miejsca pomknął.

— Uważaj! — krzyknął stary pan z ganku — bo cię ten waryat z kulbaki wysadzi.

— Oho! Nie dam się! — odkrzyknął jeździec, ale głos jego już do ganku echem tylko doleciał, tak koń rwał drogę przed sobą. Folgował mu pan,

bo lubił to ogniste zwierzę. Po żyłach mu taka jazda szła, jak mówił, więc choć żona truchlała, ile razy na Rokitę siadał, nie byłby go oddał za nic, ani się wyrzekł swoich na nim harców.

Jeszcze wszakże do folwarku było drogi kęs, kiedy osadził konia i, przyłożywszy rękę do oczu, pod słońce patrzył. Ale im dłużej patrzył, tem głębsza zmarszczka znaczyła mu czoło. Za ugorem, który tuż przy drodze chłop orał, widać było kupę ludzi i wozy ze zbożem. Jak się to jednak często przy złem rozporządzeniu robotnikiem zdarza, w polu ludzie stali, czekając na wozy, a u stodół znów wozy stały, za mało rąk mając do składania z nich użątku. Nic bardziej drażniącego dla gospodarza, nad widok takiej niesprawy!

Na przełaj zrazu jeździec chciał, ale mu konia na świeży podór żal było; ku drodze spojrzał, ale mu się jej więcej zdało, niżeli cierpliwości czuł w sobie. Krzyknął tedy na chłopa, uzdę mu i dziecko potrzymać kazał, a sam, szerokim i zirytowanym krokiem, ku żniwiarzom się puścił.

Był już przy nich, już słychać było jego grzmiącą komendę, kiedy woły splątały się w pługu i przewróciwszy go do góry krojem, ciągnęły po skibach. Krzyknął chłop raz, krzyknął drugi, a widząc, że

nie pomaga, zaklął siarczyście, chłopcu uzdeczkę rzucił i do wołów skoczył.

Malcowi zaiskrzyły się oczy, rozdęły drobne nozdrza, ścisnął uzdeczkę w garści, konia piętą w bok i tyleś go widział! Właśnie jakby go wiatr zdmuchnął.

— Paniczu! paniczu! — wrzeszczy chłop, mocując się na nawrocie z wołami. Gdzie! Ani mowy, żeby go usłyszał.

Obejrzał się na to wołanie gospodarz — struchlał.

— Niemczak! — zakrzyknie — Chryste Panie! Cudze dziecko!

Rzucił się do woza.

— Wyprzęgać! gonić!

Ręce mu się trzęsą, scyzorykiem rzemienie rozrzyna, ale nim na konia oklep skoczył, już tylko kłąb pyłu polatywał drogą.

* * *

Stał pan stary w ganku i wypaliwszy fajkę, wytrząsał ją właśnie, kiedy posłyszał jakiś szalony tentent. Jeszcze nie zdążył pomiarkować, gdzie i z jakiej strony, już Rokita, jak wicher, na dziedziniec wleciał, a na Rokicie, trochę blady, ale tęgo trzymający się w siodle — Niemczak. Jasna perkalowa bluzka w powietrzu powiewa, oczęta rozpromie-

nione, uśmiech szczęścia w twarzy; koło u kwietnika zatoczył i prosto przed ganek.

Wypuścił dziad cybuch, otwarł ramiona, zaniemiał. A już też gospodarz nadlatywał w ogniach cały i za uzdeczkę chwytał, słowa na razie przemówić niezdolny.

Porwał z siodła Niemczaka pan stary i długo na piersi go tulił, śmiejąc się i płacząc razem.

— Nasza krew! Nasza... Nasz ród stary! poczciwy! szlachecki! — wołał, całując chłopca po włosach, po twarzy, a kiedy go wreszcie puścił i oczy otarł:

— A co, Stefanie! — rzekł. Choćbyśmy go Stachem nazwali? . . . .

. . . .

Kiedy twardą jesienią przybył ojciec, żeby chłopców zabrać i za opiekę nad nimi dziękować, nie poznał ich prawie, tak zakwitli zdrowiem i świeżością.

Zagadał do starszego, a ów z miejsca, choć z akcentem jeszcze:

— Ty do mnie, ojciec, po polsku mów, bo ja ciebie nie rozumiem!

GŁUPI FRANEK.

Nizki brzeg Narwi [1]) kipiał ptasią wrzawą. Cała ta część jego, która od błot Pełczyńskich [2]) do Zajek [3]) ciągnie się kręto i oblężnie, brzmiała teraz jak struna ruszona.

Chwila była poranna, niebo czyste; młode kwietniowe słońce jeszcze się nie wzniosło nad ziemię, i zapłomieniwszy tylko rąbek widnokręgu, siało przed sobą tę różaność złotą, którą tak chciwie piją wody i powietrze ciche.

Wszystko tu było jasne, przejrzyste, wskróś światłem nabrane.

W głębi krajobraz ciemniał. Dymiły tam, jak kuźnia, oparzeliska i mokradła błotne, rozciągające się aż do samej Biebrzy [4]), dyszały tchem ciepłym

---

[1]) Narew — rzeka, dopływ Wisły.

[2]) Położone w Wielkiem Księstwie Poznańskiem, koło jeziora Pełczyńskiego.

[3]) Zajki — wieś na Litwie.

[4]) Biebrza — rzeka, dopływ Narwi.

jeziorka i kołbiele, z których opary to w górę słupem sinym szły, to opadały poszarpaną płachtą, nie puszczając oczy w głąb zarastających je oczeretów, sitlisk i wikliny.

Z tychto właśnie oczeretów i sitlisk biła owa roznośna, głusząca wrzawa ptasia. Tutaj to grały bekasy, chruściele, łyski krzykliwe i biegusy błotne. Stąd rwały się wrzeszczące czajki, bąki, kurki wodne; tam odzywał się nur, tam darły się krakwy wrzaskliwe, tam podgorzałki, jednostajnym kwakiem widrujące uszy, tam cyranki lotne. Tam zapadały, rybołówki i mewy, tam krążyła wysoko pływająca w powietrzu kania; stamtąd i czapla, śmigając skrzydłami, jak miechem, brała lot ciężki, oporny.

Wrzask tu był taki zmieszany, głosy tak rozmaite, że zupełnie pokrywały szum szorującej po przez trzciny rzeki, która sobie z sykiem drogę torowała, tworząc w pośrodku owych kęp i sitnisk małe, ciche, odbijające błękit nieba oka, niby sadzawki, umyślnie dla tej skrzydlatej hałastry robione.

W tej chwili właśnie, z jednej z kęp takich porwało się z przeraźliwym wrzaskiem stado dzikich kaczek, które tam były nocą w sitowia zapadły. Stado porwało się, nie odlatywało wszakże, bijąc nad kępą skrzydłami, jakby na jastrzębia.

Zrazu nic widać nie było. Wkrótce przecież

z samego środka oczeretów wynurzyła się głowa ludzka, spłowiałym, roztrzęsionym włosem okryta, mało co różniąca się barwą od pożółkłych zeszłorocznych badyli sitowia.

Głowa ta osadzona była na długiej, niezmiernie chudej szyi, a oprócz obfitej, głęboko spadającej na czoło konopiastej grzywy. posiadała dwoje siwych, niezwykle świetlistej głębi oczu, twarz chudą, śniadawą, i szerokie cienkie wargi, które dziwaczny pełen żałości i zakłopotania uśmiech, szerszemi czynił jeszcze.

Dokoła głowy, między pożółkłymi badylami sitowia, sterczały gęsto trzciny o brunatnych pałkach, połamane kłąbie tataraków i wielkie, pierzaste kiście mietlic, tworząc oryginalne tło dla tych szeroko otwartych oczu, które miały jakieś błyski przebiegłości i przekory, a na dnie których leżał stary i niepocieszony smutek. Oczy te w powiekach, uśmiech na ustach, a głowa między trzciną, tkwiła tak nieruchomie, że kaczki, lot nagle zniżywszy, biły w nią niemal, nakrywając całą kępę wrzaskliwą i trzepoczącą się chmurą.

Wyżej nad chmurą ową, niby błyskawice, śmigały w powietrzu śniade brzegówki, których gniazda czerniły się w gliniastym ile wyższego brzegowiska rzeki, jak kule, tkwiące w gęsto ostrzelanym murze.

Przenikliwe ich głosy wpadały w tępy, uporczywy kwak kaczego stada, jasne, fletowe, wysokie. I one zlękły się niewiadomo czego. Jedna tylko mała pokrzywka, bujająca się na okiści rudego suwaru tuż prawie przy spłowiałej gęstwie włosów owej głowy, świegotała cichutko, kręcąc łebkiem i patrząc to jednem, to drugiem oczkiem na nieobyczajne i krzykliwe ptactwo. Gdyby ciszej nieco było, możnaby nawet rozumieć, co ten świergot znaczył.

...Czego się bać? Czego się bać? — zdawała się mówić ptaszyna.

...To jest głowa głupiego Franka... Tak, to jest głowa głupiego Franka... Nic więcej... Czego się bać? Czego się bać?

...Poznaję ją... Wybornie ją poznaję... W czółnie tu leży każdego wieczora, z czółna podnosi się każdego rana... Czego się bać?... Czego się bać?

...Nic złego nie zrobi... jajek nie wybierze... piskląt nie nastraszy... Czego się bać?

...Tak, to głupi Franek!... Głupi... głupi Franek!... Czego się bać?... Czego się bać?...

Nagle urwała pokrzywka swój świergot przeraźliwym piskiem i jak kłębek spadła na dno oczeretu. Drobne jej oczko dojrzało wysoko w powietrzu wzbitego jastrzębia, który, wisząc nieruchomo na rozciągłych lotach, upatrywał sobie porannej pastwy.

Gdyby nie to, świergotliwa ptaszyna byłaby może opowiedziała calutką historyę o tym głupim Franku. Byłaby powiedziała, jak to on niewiadomo skąd nad rzeką wyrósł, niby ten szuwar, albo ta trzcina brzeżna; jak te baby mówią, że go w czaplinem gnieździe topielica powiła; jak, ledwo z chłopięcia wyrósłszy, zaraz »głupim« był i tak się już został; jak do roboty nigdy dobrego rozumu nie miał; jak z rzeki i z podrywki latem żył, z zimą z miłosierdzia ludzkiego. Byłaby może i to powiedziała, jakie to miłosierdzie gorzkie... gorzkie... gorzkie... Jak się dziewczyny z głupiego Franka śmieją, jak dzieci ze wsi czeredą za nim biegają, jaka zima długa i ciężka w szopie, a nie w izbie! Byłaby powiedziała, jakie słońce dobre i miłosierne, że wraca z wiosną, jakby zapomniało czego, wraca i wygrzewa sitowia i kępy brzeżne, i budzi rybki pod wodą, i czerwieni po przylaskach jagody, i głupiego Franka ratuje. I jaka rzeka dobra i miłosierna, że głupiego Franka przygarnia, i jak niegdyś w czaplinem gnieździe, tak go teraz po kępach i szuwarach tuli... I jaka ziemia dobra, dobra i miłosierna, że na tych pólkach chłopskich, między gospodarskimi pełnymi kłosami i takie chude rodzi, które na podpłomyk dla nędzarza idą, na ten chlebek czarny, łzami obmywany, który choć gorzki... gorzki... o! jak gorzki...

duszę przecie trzyma w ciele, i dech żywota w piersiach trzyma, aby do pory, aby do pory...

Ona i to powiedziałaby może, jak bardzo ten nędzarz miłuje tę rzekę, tę ziemię i to słońce. Jak ręką chudą, czarną, głaszcze aksamitne pałki trzciny i zielone wstążki tataraków; jak w słońce albo w wodę całemi godzinami patrzy, sam do siebie gadając i łzy prósząc z oczu, jak potem nagle na ziemię się rzuca i tak się do niej tuli, właśnie jak owo dziecko do matczynej piersi. Ot, zwyczajnie, taki głupi, głupi Franek...

Tymczasem w wodzie i powietrzu bywało coraz więcej blasków. Migotało to, drżało, mieniło się, jakby rozsnutą w tysiące tęcz drobnych brylantową przędzą.

Obok sterczącej nieruchomie w oczeretach głowy ukazała się teraz chuda, czarniawa ręka, podając oczom zachrony. Ręka ta drżała do samego ramienia; nie było w niej widać dobrej siły. A może chłód nocy i wilgotnego szuwaru w czółnie siedział w niej jeszcze.

Buchnęło wreszcie słońce wielkiem płomieniskiem i rzuciło w rzekę snop ognia, z którego porywając miliardy iskier, zaczęły biedz fale szafirem i złotem.

Brzeg rzeki ucichł nagle, jakby rażony oślepiającem uderzeniem światła; tylko usta sterczącej

w oczeretach głowy zaśmiały się cicho, radośnie, a głowa, zakołysawszy się na obie strony w jakimś niezmiernym i zawsze świeżym podziwie, zniknęła nagle w pośród mieniących się na wskróś srebrem zroszonych kiści mietlic i trzciny, której brunatne pałki zapłomieniły się rudo-czerwonawem złotem.

W chwilę później wypełznął głupi Franek z sitniska, otrząsnął się, wyprostował i wziąwszy na ramię podrywkę na długiej żerdzi, sporym krokiem wzdłuż rzeki się puścił.

Był to chłop chuderlawy i nędznie odziany.

Szmat starego spencera na grzbiecie niewielce go grzać musiał, bo twarz miał posiniałą i usta mu drżały. Zgrzebna koszula i takież hajdawery, ściągnięte rzemieniem z wytartą kalitką w pasie, a u kostek sznurkiem związane, postoły z wierzbowego łyka, parciana torba przez plecy, oto i cała chudoba. Głowę miał odkrytą.

»Głupi« na wsi niemal we wszystkich okolicach kraju tem się szczególniej na pierwszy rzut oka odznacza, że bez czapki zimą i latem po drogach sobie chodzi, jak po własnej chacie.

Słońce go pali, deszcz moczy, wiatr suszy, mróz szczypie, a on jakoby Panu Bogu wymówić chciał tę nędzę swojej głupiej głowy, w burzę i w pogodę, we dnie i w nocy nosi ją pod niebem odkrytą,

bezbronną, na ludzki śmiech podaną, zorzom i gwiazdom widną i z nich też może biorącą nieraz takie nagłe błyski, takie daleko wstecz i naprzód sięgające światła, o których mądrym w dostatnich baranich czapach schowanym głowom ani się nie śniło.

Głowa »głupiego« ze wsi, to studyum niezmiernie ciekawe. Jest to czasem głowa filozofa, czasem głowa poety, a zawsze głowa Łazarza.

W niej, jak w dziwacznym pryzmacie [1]), odbija się cała nędza twardego chłopskiego życia i wszystkie sny jego złote, naiwne, dziecięce niemal. Z tych rysów zagasłych, z tych zwiędłych uśmiechów, z tych zmąconych źrenic, tryska nagle, niespodzianie żywe źródło jakiej prapiastowej [2]), gdzieś złotemi żyłami chodzącej wskróś ziemi myśli jakiegoś uczucia, wybłyskującego jutrzennem światłem dnia, a którem niewiadomo nawet, czy przyjdzie kiedy.

Głowa »głupiego« zarasta najczęściej gęstwą lnianych, wypłowiałych włosów; rzekłbyś, kądziel to rusałczana [3]), z której niewidzialna i samemu »głupiemu« nieznana prządka snuje szarą, niezmiernie długą i splątaną, zagmatwaną nić zadumy nad

---

[1]) Pryzmat — słup z graniami, w którym rozszczepia się światło.

[2]) Starodawnej, sięgającej po za czasy Piasta.

[3]) Rusałka — boginka wodna.

rzeczami, które niewiedzieć jak do mózgu tego wpadły i pracują tam bezświadomie a niestrudzenie, to wybuchając jak płomień nagle i silnie, to leżąc ciche i nieporuszone, jako w roli ziarno leży siewne, na podzimiu pod skibę rzucone.

Głowa »głupiego«, z tą pracującą w niej na własny ład fantazyą, z tem nieuznaniem porządków świata i istnienia poza ich karbami, — to retorta [1]), przez którą myśl przechodzi z pospolitych głów rozsądnych do głowy genialnej.

Lud wiejski, mimo że się z »głupiego« śmieje, instynktownie[2]) przecież otacza go poszanowaniem, zabobonnem niemal. »Głupi«, to u ludu tyleż prawie, co »mądry«, mądrzejszy może nawet od innych, tylko w inny sposób, tą mądrością, która nie jest z tego świata.

Czasem »głupi« nie jest głupi, jest tylko nieszczęśliwy. Wiadomo, »głupich« najwięcej »od rodu«, ale i to się znajduje po świecie, że chata komu ze wszystkiem do tła zgorzeje, albo mór gniazdo wybierze do ostatniej głowy, albo powódź rolę tak spłucze, tak wymuli, jakby jej nie było; to taki nieraz między »głupich« idzie, o nic dbania

---

[1]) Narzędzie do prób naukowych.
[2]) Bezwiednie.

nijakiego niema, niczem głowy nie mitręży, tylko po świecie chodzi sobie luzem, poglądając po ziemi i po niebie, póki go tam śmierć nie ugasi kędy.

To, co indziej jest nerwami, melancholią [1]), zniechęceniem, bluźnierstwem, rozpaczą — to wszystko jest tu »głupością«.

Czasem »głupi« jest tak głupi, że nawet nie wie o »głupości« swojej. To idyota, to durny. Takiego lud we wzgardzie ma, z bydlęciem go równa. Ale inszy chodzi po gościńcach wiejskich, jak apostoł, jak prorok, jak »opętany anioł«. Taki »głupi« ma w sobie coś żywiołowego. Z ziemią gada, z wodą gada, z wiatrem i z ogniem gada.

Niedołężny, głodny, obdarty, imponuje majestatem bezbronności swojej, swojej nieodpowiedzialności, bezpośredniem zetknięciem z palcem Bożym, który go już ot na taki żywot naznaczył.

Z pod gęstwiny lnianych swoich włosów, »głupi« patrzy na świat to szerokiem, obłędnem, daleko poza granice wioski wybiegającem spojrzeniem, to w bok, to na stronę rzuca owe skośne błyski oczu, pełnych gryzącego szyderstwa, lub smętnej ironii; to wreszcie z głęboką melancholią i bezdennem pożądaniem nicości, wbija w ziemię szklistą, osłupiałą

---

[1]) Żałością.

źrenicę, jakby patrzył we własny grub otwarty. Miewa on jeszcze niekiedy żywe, roztargnione, ruchliwe spojrzenia dziecka, któremu od śmiechu do łez tak blizko, jak blizką jest żałość wszelkiego wesela.

Takiem spojrzeniem poglądał w tej chwili głupi Franek na świat boży, idąc brzegiem Narwi. Na wschód, na słońce prawie szedł, głęboko w zroszonych trawach brocząc i uśmiechając się tej błękitnej pogodzie, co w okół dyszała świeżością zaranną.

Patrząc na jego pierś szczupłą, na wązkie chłopięce biodra, na żywe i składne ruchy, wziąćby go można za młode pacholę; kiedy się wszakże wiatr od rzeki ruszył i czoło mu z owej gęstwy lnianych włosów odkrył, ukazywała się na niem żółtość i martwota, głęboko zmarszczkami zbrużdżona, która się przez długie lata wżerać tam musiała.

Już to ogólnym typem głupich jest, że niewiadomo, jakie im dać lata. Czasem wyrostek wygląda, jak starzec; czasem stary, stary człowiek ma w sobie młodość niespożytą, zgoła niepodlegającą zwiędnieniu.

O takim mówią, że na niego »Święty Jan pojrzał«; jakoż wiadomo jest, że ewangelista ten, orłu przyrównany, orłową też młodość miał, na skałach

prorokując, a dziewiczem ciałem chowając się wieczności.

Żyje to sobie i żyje, a lata mimo lecą, ledwo co nieco tykając takiej znaczonej głowy.

Bieda to z głodem trzyma i jakaś skrzydlatość duszna, która temu w żadną przygodę głęboką zabrnąć nie daje, tylko nad owym wartkim żywota pędem górą niesie, tak mało dopuszczając potrzeb, że żaden im brak nie dociska prawie.

Nędzą swoją i »głupością« trzymał się i Franek na świecie. Jak dawno już żył, nie wiedzieć; sam sobie lat wyrachować nie umiał. Raz powiadał, że pamięta Francuza, kiedy pod Serock szedł[1]); drugi raz, że sam też dziecięciątkiem był, kiedy Herod niewiniątka mordować kazał; trzeci raz powiadał, jako się nie rodził wcale, tylko był i był »tak już sam ze siebie«.

Dzieci otwierały gęby, słuchając, baby kiwały głowami, chłopi się śmiali. Ale kto pamięcią sięgnął choćby jak daleko, tyle tylko z onej ciemnej studni dobyć umiał, że za jego młodych lat też »głupi Franek« po świecie chodził. Może ten, może inszy, na to przysiądz nie przysięgał żaden, ale że był. Wiadomo, każdy czas ma swoich głupich, a takiej

---

[1]) Podczas wojen cesarza Napoleona I w 1812 r.

nędzoty nikt tu rejestrowo nie trzyma, nawet sam Pan Jezus w niebie.

Żartowały z Franka dziewczęta, że taki »topielczuk« to się nie starzeje, bo go matka codzień troistą rosą myje. I prawda. Tylko, że nie topielica go myła, ale ziemia-matka rosą swoją codzień myła jego nędzną głowę, a i te obłoki niebieskie i te łzy własne. A było ich więcej jeszcze, niż tej rosy bożej.

Lubili Franka ludzie, choć nieraz i mrukliwy był i do żartów nieskory; ale jak na niego przypadło, to prawił, jakby z karty czytał, jedno do drugiego przykładając, jedno z drugiem ciągnąc. Na ludzi wtedy nie patrzył, jakoby ich przy nim nie było, ognie mu w twarzy latały, jak te grające o zachodzie zorze, a oczy pilnie na powietrzu kędyś trzymał, jakoby tam oglądał to wszystko, co prawił, tylko mu te rzęsy i powieki drżały.

Wiosną i latem mało go kto na wsi spotkać mógł. Jak tylko pociągnął od rzeki wiatr ciepły, zaraz go zaczuł, choćby łyżkę do gęby niósł, albo w słomie gdzie na wyrkach zagrzebany leżał. Zaraz się zbierał, torbę przez plecy zawieszał, podrywkę na ramię brał i mówił, że »do matki« idzie. Kija nie nosił nigdy; powiadał, że pies go żaden nie

uszkodzi, bo on Świętego Łazarza patronem ma, o którym wiadomo, że mu psy nogi liżą.

»Od matki« wracał już po dobrym szronie. Chudy był wtedy, zmizerowany, wiatrem i słońcem spalony, kości przez skórę bodły, a koszula i hajdawery strzępami z niego leciały.

Mówią mu ludzie:

— Nie tęgo matka cię wyprawiła we świat...

Na to on:

— Sama w biedzie. Sama w uciążeniu i pracy. Tera tyle rybek pożywić; tera tyle tratwy nieść... tera tyli ziemi szmat obejść... Oj, nie letki jej żywot, nie letki! A jeszcze i na oną siną świtkę zarobić także musi, strugi modre po nici zbierając, a na srebrnym wrzecionie przędząc...

— Oj, głupi, głupi Franek! mówiły baby.

A on im:

— Oj głupie wy, baby, nie ja, kiej nie wiecie, że każda rzecz na świecie służbę ma...

— Oo!... — obruszyła się któraś. — Dzieciakowi ta gadać, żeby rzeka przędła!...

Na to Franek wpadał w złość, w pierś kułakiem tłukł i zaklinał się na godzinę śmierci:

— Żebym tak dobrego skonania nie miał, jeśli łżę! Cóżem to, ślepy, czy co? Nie widziałem to mało sto razy, albo i więcej, jak na srebrnem wrze-

cionie modre nici przędzie? »Głupi Franek«. Widzita, jakie mądre! Mądremi się powiadają, a nie wiedzą, co każda rzeka wrzeciono srebrne ma i przędzie tak, że się ino w słonku, albo i po miesiącu migoce... A coby się migotało we wodzie jak nie wrzeciono srebrne?

Baby się śmiały.

— Juści prawda.

— Albo i prawda!

— Niech go, jak ci to zmyślnie przepowiedział.

— Hycel chłop!...

Rozchodziły się, śmiejąc. Ale w myśli zostawał im obraz tej cichej, niestrudzonej prządki, która strugi sine na przęślicę wije i przędzie nici modre, przędzie w dzień i w nocy, ino jej się wrzeciono jasnem srebrem miga.

Inszym znów czasem zapadał w bory, jak jaźwiec, brodząc tam po nich aż do twardej grudy. Niech jeno drzewo co nieco ożyło, niech brzezina pękać zaczęła, niech po błotach czajki wrzasły, on zaraz manatki zbiera, choćby o północku w bór idzie, a powiada, że go »ojciec« woła. Szła wiosna, szło lato, szła jesień, a głupiego Franka ani zajrzeć.

Troszczyć się tam o niego nie troszczył nikt. Każdy dość własnej biedy ma. Aż dopiero chłopy, po chrust saneczkami jadący, spotykali głupiego,

jak się do wsi wracał, zbiedzony, zdziczały, czarny, jak ta święta ziemia, żywicami oblepły, szyszek sosnowych pełno we włosach mający, bardziej jeszcze obszarpany, niż kiedy »od matki« wracał.

— A i tak cię to ojciec wypuścił od siebie, jak dziada? — pytają go chłopy.

A Franek:

— Oj bieda i jemu, serdecznemu, bieda! Bieda i służba ciężka! Małoż to on mróweczek wyżywić musi? Mało ptactwa, mało wszelakiego nawietrznego roju? A tera żywice top, a tera grzybom kapelusze funduj, a tera jagodzie każdej wygódź, a tera kadzidło i mirę szykuj. Trzej królowie nie pytają, tylko dawaj i już! Dobrze to jegomości albo i organiście, że do kościoła raz tylko po godach zajrzą; ale po boru calutki rok chodzą, a brodami trząsają, co z nich aż perły na ten mech lecą...

Chłopy w śmiech.

— Ooo!... Głupi! Głupi!... Królowie ci ta zara po boru będą chodzić! Ale!...

A Franek na to:

— Bodajem ręce, nogi połamał, jeślim ich na własne oczy nie widział! Bodajem się tu z miejsca pod ziemię przepadł! Cóż to? Wódkę piję, tuman na oczach mam, żeby mi się w nich troiło?

To chłop jeden albo drugi do niego:

— I widziałeś króla?

A insi:

— Ao będziesz z głupim gadał?

Ale Franek nie dał sobie odebrać słowa:

— Com nie miał widzieć? Bo to raz widziałem? Króla Balcera [1]) tom tak widział przed sobą, jak was gospodarzu, widzę. Patrzę raz, słonko zachodzi, a tu cości ogromnego we złocie stoi. Myślę, dąb nie dąb. Podejdę, pojrzę — król! Płaszcz na nim złotem kapie, korona ino się w oczach mieni od drogości, bogactwo takie, że to ha! Broda po pas, srebrzy się, jako ten mech siwy; jedną ręką w bok się podparł, w drugiej berlica godna; parada taka, co strach, — zwyczajnie, królewska osoba! A tu dokoła wojsko we złocie, w czerwieni, ino wystawia te piki, te lance, te różne bronie, dwór okrótnie wielki, siła i moc taka, że nieprzeliczona. Aż mi się świat zaćmił, jakiem to zobaczył.

Nie długo słucham, szepcą... Ten temu, ten owemu słówko po słówku oddaje, jeden do drugiego głowy nachyla, a zamawia się, a radzi... Oho! myślę ja sobie, będzie tu co nowego. Nic. Słonko zaszło, ono wojsko się między drzewa pochowało król też; układłem się, śpię. Śpię ja sobie, świata

[1]) Baltazara.

bożego nie wiedzący, aż tu jak nie zahuczy, jak nie zatrzeszczy, jak nie zatrzeszczy, jak nie zacznie się tłuc po onym boru, jak nie zacznie szumieć!...

— Niby co? – pyta chłop Franka.

— A cóżby, jak nie to wojsko! Dopierom zmiarkował, że się to tak z wieczora zmawiali na oną batalilję... To tak, powiadam wam, się bili, jakby najtęższy wicher przeciw wichru szedł; a tak strzelali, jakby pioruny biły; a te bronie to taki puszczały blask po boru, jak te najtęższe błyskawice. A co strzelą, to w ogniu onym widzę, król Balcer stoi w płaszczu ze szczerego złota, w złotej koronie na głowie i brodą trzęsie...

— Baj baju! wichura była w boru i tyla! — rzecze chłop.

— A ino! — przywtarza drugi.

— Wojskoby to w boru siedziało!... — dodaje inny.

— Świecie! Świecie! — woła na to Franek, uderzając w dłonie. — To wy grunt macie, chałupy macie, gospodarzami się opisujecie po wójtach, po urzędach, a tego nie wiecie, że Trzejkrólowie wojsko w boru je?

Oj naród, naród!... A kiejże wy z tej ciemnoty na świat przejrzyta, kiej?... Już i Pan Jezus po

światu chodził i apostoły chodziły, a wy nic. Jak te owce głupie!

I wodził po nich okiem pełnem zdumienia, żałości i gniewu, jak po barbarzyńcach, którymby światła przychylić chciał, jak po zaślepieńcach, którychby nawrócić pragnął.

Chłopy się śmieli.

— Dzita!...

— Dzisz go!...

— Na głupich my u głupiego wyszli!

Ale pacholęta, co tam w podpasanych rzemieniami sukmanach za ojcami biegły u chrustu pomagać, szeroko otwierały oczy, a szerzej jeszcze usta i patrzyły w »głupiego«, jak w tęczę. A kiedy przyszła wiosna i pierwszy grzmot zahuczał na bór czarny jeszcze, śniły się chłopiętom okrutne wojska Trzykrólowe, ich wielkie błyskawicowe miecze i król Balcer w złotym płaszczu i w złotej koronie i niejeden tam wyrostek ukradkiem z za węgła ku lasowi spoglądał, bo juści prawda, że się łomotali ogniście, jakoby wicher przeciw wichru szedł...

Czasem wszelako, ot tak z »dobra woli«, nagła tęskność do ludzi ogarniała Franka. Rzucał wtedy »ojca« i »matkę« i jak ot teraz, szedł, gdzie go oczy niosły, niewiedzieć naco i poco. A tak się w tych drogach śpieszył, jakby kto najpilniej go

czekał, albo mu jakowe wielkie dobro obiecał. Wiosną szczególniej, kiedy po szerokich pogodnych zachodach słońca zapachniała w powietrzu świeżo pługiem poruszona ziemia, kiedy niebo, w zorzach stojące, pełne było skowronków, a odwalone krojem skiby pogarbiły pola, kiedy od wygona do wygona rozległo się wołanie oraczy, a ciężkie jarzma wołów skrzypieć zaczęły po koleśnych drogach, Franek rady sobie dać także nie mógł, tylko się ku wsiom puszczał — za tym zapachem wilgotnej, świeżo ruszonej ziemi. Gdzie wiatr wiał, gdzie słońce było, gdzie głos ludzki leciał, gdzie mgła się kładła, gdzie oczy niosły, tam się puszczał.

To lada miętusem, w rowie uchwytanym i na patyku upieczonym żyjąc, po miedzach wskróś onych rozorów chodził, głęboko dysząc, jakoby się oną wilgocią i świeżością skrzepić chciał; a przyszła noc, to na byle grudce nędzną głowę sparłszy, między zagonami legał, a po gwieździstem niebie cichemi oczyma wodził, do samego północka drugi raz nie zasypiając, jakoby mu kto co powiedział właśnie, albo widowisko i cudo jakie przed nim czynił. Budził się po nocy takiej, zroszony, jak ten kamień polny, na miedzy siadał, kolana rękami obejmował i zadarłszy głowę patrzył, jak wrona w słońce, póki go nie obsuszyło, ustami niemo ruszał, jakoby się

z kim wysoko rozmawiał, albo temu błękitowi porannemu modlił. Napierał się nieraz chłopom do pługa, żeby mu dali choć z pół dnia orać, choć z jedną skibę odwalić. Ale nie chcieli. »Głupi« się tego nie powinien tknąć, co na wzrost idzie. Ani się jemu orać, ani siać nie godzi. Baba tylko czasem która dała mu tam w ogrodzie motyką podziubać. to jej tak dziękował, tak jej kolana obejmował, jakby mu kto miskę z najlepszem jadłem wystawił. Tak mu się do ziemi cniło, takie w niej kochanie miał. Szły deszcze ciepłe, bujne, to im się tylko jako ta wierzba uginał, nic się nie chroniąc, by też mógł; a tak się zapamiętywał onego perłowego, rzęsnego szmeru po młodej runi słuchając, że drugiby i gęśli mniej słuchał, kiedyby mu grały. Szła polem cisza szeroka, okólna; gaje nie wioną sobą, liść młody ledwie gdzie szepnie, nad ziemią skrzydlatość taka, taka lekkość, przejrzystość, że tylko te miedze za miedzami, łąki za łąkami powietrzem w oczach płyną, a Franek na wpośrodku łanu jak urzeczony staje i słucha, jakoby głosy do niego z ciszy onej mówiły, albo jakby gdzie Anioł Pański dzwon bił.

— A i czego ty tak głupi słuchasz? — pytają go pastuchy, co się tam workami od chłodu naodziawszy, pod gruszą w »sitka« grali.

To im zrazu nie odrzeknie, jakby nie do niego. Aż kiedy mu się uprzykszą, raz i drugi pytając:

— A nie słyszycie to, smyki — mówi — jak ziemia gada?

— Jakże to? — pytają pastuchy, a w kułak się śmieją, że to im niby z głupiego uciecha. — To ziemia gada?

A Franek ręką po powietrzu wodzi, jakoby co pokazywał w wielkiem oddaleniu, na gęsiarków onych nie patrzy, tylko oczy na onej błękitności trzyma.

— Wszyściutko, co je i co było i co jeszcze za czasami będzie, wszyściuśko to wie ogień, wiater i ta ziemia. Ale że ziemia najmądrzejsza z tych trojga...

— Sitka! — woła cienkim głosikiem mały gęsiarek, rzuciwszy w górę miedziaka.

— Orzeł! — woła drugi.

Franek mówi dalej:

— Bo wiatr i ogień z żywych moc biorą, a ziemia moc bierze z tych umarłych kości. Co ziemia od kości umarłych usłyszy, to żywym powiada.

Po dzieciach idzie dreszcz. Pastuch zatrzymuje w powietrzu rękę, w której miedziaka trząsał, żeby mu na orła nie padł, i z przelotnym strachem na Franka patrzy. Inni także podnoszą głowy.

— A co powiada? — pyta Józek.

Franek oczyma po dzieciach wodzi, a potem nagle utkwiwszy wzrok bystry w zapatrzonym na niego gęsiarku, mówi silnym głosem:

— Powiada, co chleba da głodnemu, wody pragnącemu, lnu i konopi nagiemu, ziołów niemocnemu. Powiada, co pocieszenie da smutnemu, sprawiedliwość krzywdzonemu, uzwolenie zawartemu, a zmęczonemu wieczny spoczynek — amen!

Najstarszy Michałek wybucha na to śmiechem, strach mija, pastuchy śmieją się głośno, hucznie. Jeden tylko Józek siedzi pod workiem swoim z szeroko otwartemi oczami i patrzy za Frankiem, idącym ku Bugajowej łące.

— Głupi! głupi! głupi! — wrzeszczą za nim chłopcy, jak wronięta.

— A wróć się, głupi, wróć! — krzyczy Michałek — zrobimy cię wójtem, kiejżeś taki mądry!...

Franek idzie dalej, ni prędzej, ni wolniej, jakby nie do niego.

Wie on, że młodzi i starzy, ba, pastuchy nawet, wołają na niego »ty«. Głupiemu nikt nie »dwoi«.

»My« — to cząstka gromady, albo rodu, albo zbiorowego rozumu i mienia, to cząstka zbiorowego życia i zbiorowej siły. Ale »głupi« stoi poza granicą rodu, mienia, pracy i siły. Od tego też jest

głupi, żeby rozumu nie miał. On do siwego włosa, do grobowej deski w małoletności swojej trwa, rośnie najpierw, rośnie niby ta witka łoziny, potem się pochyla, pochyla, niby ten badyl płonny, ale nie dojrzewa nigdy.

Nie ma on też sobie za krzywdę żadnego przezwiska. Przywykł. Nie psuje mu to serca do ludzi, że tak albo tak na niego kto zawoła. Idzie między nich, oto i teraz, z wesołem okiem, z tęsknością jakąś, z przyjacielstwem w duszy. Owszem śpieszy się tak, jakby go tam rodzeni jego czekali, jakby mu się bracia ucieszyć mieli. Śpieszy się tak, jakby im sam co najkosztowniejsze dary przynosił i skarby jakie wielkie.

Nic innego przecież w ręku nie miał, tylko chaszczów trochę zielonych i marnego zielska, wskróś którego świeci kaczeniec żółty, lśniący, i srebrzą się gałązki wierzbowe z nawpół roztulonemi baśkami, które »głupi« po drodze łamie, iż to ku palmowej niedzieli się ma za dzionek czy za dwa. W powietrzu już nawet tu owdzie zalatują jałowcowe dymy, przy których gospodynie obwędzają kawał kiełbasy, albo boczek z wieprzka.

Z lubością wciąga Franek owe aromaty, a śniadą twarz jego rozjaśnia coraz szerszy uśmiech.

Naraz zpochmurniał. Z pośród lekkich wiesza-

jących się brzegiem rzeki oparów zaczęły się wysuwać obielone, długim sznurem wyciągnięte domki, których niezwykła schludność, jakoteż i sposób budowania, zdradzały osadę niemiecką.

Istotnie, były to na wschód od Wizny leżące Olendry-Gaje, tak samo się przeciwiające swoją nazwą położonym po drugiej stronie Narwi Gajom-Lachom, jak się przeciwiały plemieniem i obyczajem swoich mieszkańców.

Franek nienawidził Niemców. Flisów nawet na rzece unikał dlatego, że w skarbówce na tratwie najczęściej Niemiec siedzi.

Nieraz też, stanąwszy na gościńcu, woła:

— Uciekajcie, dzieci, niemiec idzie!

— A czegoż-to uciekać przed niemcem? — pyta go chłop który.

— A bo przed niemcem, jak przed złym wiatrem, niema lepszej rady, ino uciekanie.

— Niemiec a śniedź — powiadał, — zarówno naszemu chlebowi przywarę czynią; ale że go śniedź nie tyle uszkodzi.

Spotyka go raz proboszcz.

— Cóż ty głupi? — pyta. — Drwisz, słyszę, bajki prawisz, że to nie żydy umęczyły Pana Jezusa, tylko Niemcy. Skądże to ty do takich rzeczy przychodzisz?

A Franek pilnie na księdza patrzy, a oczyma mruga, co zwykle czynił, kiedy go co niecierpliwiło

Proboszcz odsapnął, bo tuszę miał piękną i męczył się mówieniem łatwo, a potem rzekł:

— To ci zapowiadam, żebyś mi takich bajek po wsiach nie puszczał! Rozumiesz? A na naukę do kościoła przychodź, żebyś nie żył, jak to bydlę... Rozumiesz? Kto jak bydlę żyje, ten jak bydlę skończy... Rozumiesz?...

Franek uśmiechnął się, rzucił w bok skośne spojrzenie i pocałowawszy księdza w rękę, rzekł:

— Niech się ta jegomościulek nie frasują o głupiego! O głupim to ta sam Pan Bóg przenajświętszy radzi... Tyla, coby tych mądrych nauczać, ot!... A głupi to ta sobie sam z Panem Jezusem o tem, o owem gada, to już ta o niego najmniejszy kłopot... Będzie on wiedział, która dróżka do raju...

Rzucił ramionami ksiądz i obejrzał się, czy tej głupiej mowy kto nie słyszy; bo o parafian swoich dbał i zgorszenia żadnego nie dopuszczał. Ale co prawda, to i gniewać się bardzo nie mógł, bo cóż tam głupi mądrego wymyśli? Takiemu odpuścić trzeba, boć to samo nie wie, co czyni.

Zaczuwszy tedy Franek owe szwabskie dymy, skręcił w bok nagle i tarniakiem się puścił, żeby drogą nie iść. Nie była to przeprawa dogodna. Kar-

czowany rok rocznie przez Niemców, tarn
cie się gniazd swoich starodawnych trzyı
żdej wiosny ostre kły wypuszczał, groż
co się tam ważyła bosa, a wzmugając :
grudy, kiedy go znów trzebić zaczęto.
też i kocierpą silnie zarastał, tak że się
krok targać z niemi było potrzeba.

Darł się Franek środkiem onych chasz
dzik, spluwając tylko na strony z tego obı
jakie miał do Niemców, o których pow
kiedy ich dyabeł na widłach przenosił z
kraju nad Narew, to po każdym Niem
płukać musiał, aż wielka moc ryb wy
z tego.

Zanim tedy wydobył się z tarniaka, p
nogi, poszarpał koszulę, podrapał twarz i rę
jedna przygarść jego lnianych włosów z
gęstych głogach i targańcach.

Tak kiedy wóz z sianem w gąszcz
weprze, tu i owdzie za nim na krzach cl
źdźbła suche, które jako myto po drod
musi zaczepnikom onym. Ale »głupi« ani
wielkimi krokami prąc się naprzód, póki
dowanej długim sznurem nie wyminął i r
wił jej daleko za sobą.

Teraz dopiero pełną piersią tchnął, poj

twarzy i wesołem spojrzeniem po świecie powiódł; zaraz też ku rzece skręciwszy, w miałki bród jej wstąpił i nogi »po miemcach« obmył, jak ów dyabeł widły.

Zaledwie minął bagnistą łączkę, w którą tu Narew głęboko się wrzyna, a która u ludu nazwę Osniołki nosi, kiedy spostrzegł kościstą białą szkapę Hamera, jak zdążała ku Olendrom, ciągnąc wózek drożny, domowizny wszelkiej pełny, obok którego sam stary Hamer, w sukiennej czapce z podwiązanemi u uszu klapami, szedł i fajkę palił. Aż zamdliło Franka na takie spotkanie. Chciał w bok, kiedy zobaczył na wozie wielką, malowaną skrzynię, którą u Łuki w Zagajnem nie raz, nie dwa widział, na skrzyni kociołek żelazny, co go też z tej tam chałupy znał, bo go sam do kowala nosił, dalej lnu siwego płachtę tak wypchaną, żeby go dwie dobre prządki przez zimę nie sprzędły, wreszcie okrutną kłodę kapusty, która się tylko na strony chwiała w wązkich drążkach, a za nią, z przewieszonym łbem za rozworę i spętanemi powrózkiem nogami kmieciate cielę, które się ulęgło sześć niedziel temu, właśnie kiedy ostatni raz nockę u Łuków nocował.

»Głupi« stanął i wytrzeszczył oczy, i osłupiał

Nie pytał, nie rozumował, tylko uczuł około serca jakąś ckliwość.

Wóz przeciągał mimo niego zwolna. Stary Hamer, trzymając fajkę w ręku, przy drabkach szedł i pieniądze wysypane z brudnego mieszka na dłoń liczył. Franka nie widział nawet może. Ten wszakże po dobytku owym, na wozie zebranym, pałającym wzrokiem wodził, szepcząc cicho:

— Patrzajta, co ta moc niemiecka dobra ludziom odjęła i ku sobie ciągnie...

I z najwyższem przerażeniem w osłupiałych oczach, nędzną głową trząsł, jakoby na widok spustoszenia od pożaru albo powodzi.

Dopiero kiedy cielę, z łbem zwieszonym na wozie leżące, raz i drugi przeciągle bekło, odpadł od Franka strach, a ogarnęła go taka żałość, taki ogień mściwy go przeniknął, że, porwawszy się z onego osłupienia, ku Zagajnemu biegł, jakby tam ratować miał chudobę własną, własną chatę, własne dobro swoje.

Ptakiem prawie przeleciawszy spory kawał drogi, do wsi wpadł, prosto przed chałupę Łuki, która z kraju stała. Rojno tu było, jakby na jarmarku. Gasio, niewielki, żółty pokurcz, z ostrym jak u lisa pyskiem i spiczastemi uszami, nie wiedział na kogo wpierw szczekać.

Czy na rudego Gotlibowego parobka z Olendrów, który przy pomocy dwóch jeszcze, równie jak on sam rudych wyrostków, na wznak na ręczny wózek przewracał czerwoną oszklonę szafę Łuczyny; czy na oglądającego ladę u sieczkarki Niemca, który sam do siebie mamrotał a fajkę w zębach trzymał; czy na baby, które się z dziećmi u spódnic i u piersi zeszły, a stanąwszy u płotu radziły; czy na dziewkę, pomagającą gospodyni łapać kokosze; czy na targującego je Fryca, zięcia Hamera; czy na siemieniatkę, która mu się z rąk wyrwawszy, z wrzaskiem uciekała; czy na kręcące się pod nogami dzieci, czy wreszcie na psy cudze, które się tu za Niemcami z Olendrów zbiegły, wielkie, silne, kudłate i milczkiem węszące...

Ale głupi Franek tego wszystkiego nie widział nawet. On szukał Łuki, gospodarza. Zobaczył go. Stał w pośrodku podwórka, w czapie na bakier, w rozpiętej kamizeli. Był to chłop lat czterdziestu może, czarniawy, suchożyły i silnej budowy, trzymał za rogi byśka, który się wydzierał i schyliwszy między racice łeb twardy, szeroki, porykiwał groźnie. Przed Łuką stał rozkraczony, z rękami w kieszeniach od rajtuzów, najbogatszy z kolonistów, Gotlib, trzęsąc grubym karkiem i błyskając pod

słońce tombakową dewizką i malowaną fajką, która mu się kołysała na opasłym brzuchu.

Dobijali targu. Chłop coraz głośniej krzyczał, a szamocząc się z byśkiem, jeden róg bydlęcia puścił i przez połę kamizelki rękę Niemcowi podawał; Niemiec gębę odął, powieki w pół zasunął, brwi podniósł, i nie wyjmując rąk z hajdawerów, przecząco grubym karkiem kręcił; kiedy nagle wpadł między nich Franek, za Frankiem dzieci, a za dziećmi Gasio.

Dzieci dawno już nie widziały »głupiego«. Ze świężą tedy ciekawością rzuciły się ku niemu; a przytem wyglądał dziś tak uciesznie, tyle różnego zielska miał we włosach, taki był obszarpany, zziajany, brudny.

— Głupi! głupi! Widzita głupiego! — wrzeszczały piskliwym głosem, któremu odpowiadało jasne, wesołe szczekanie pokurcza. On także zdawał się wołać: Głupi! głupi! głupi!

Ale Franek nie słyszał go nawet. Przyskoczył chłopa za rękaw szarpnął, i zduszonym ze zmęczenia głosem zakrzyknął:

— Gospodarzu!... gospodarzu! Łuko! Łukaszu!... A to wam miemiec, psia wiara, skrzynię porwał, i cielę... złodziejska dusza... i kapustę z kłodą...

Mowa mu się rwała, powietrze ustami chwytał.

— Głupi! głupi! Widzita głupiego! — wrzeszczały dzieci z rosnącą uciechą.

Chłop odwrócił się nagle.

— A ciszej, kołtuny! — tupnął na dzieci — a pójdziesz!... — krzyknął na Gasia, który oblatywał byśka, szczekając i za nogi go łapiąc, jakby się zapamiętał właśnie.

Franek chłopa za rękaw precz targał.

— Gospodarzu! Łuko!... — zaczął znów swoje.— A to złodziej...

Gotlib namarszczył się i cofnął krokiem. Stali niemal tuż przy studni, a głupiemu nie wiadomo, co do łba strzelić może.

— Idź głupi! -- odburknął się chłop i odmachnął się gniewnie.

Ale Franek nie ustąpił z miejsca, tylko ścisnął kułak, w pierś zaklęsłą się grzmotnął i wielkim głosem zaklął:

— Bogdajżem się z tego miejsca nie ruszył, i bogdajem nocy nie doczekał, żeli łżę, żelim go u Osmółki z wozem nie widział, złodzieja, a na wozie waszej skrzyni, kłody i cielaka! Bogdajem...

— Wściorności! — wybuchnął nagle Łuka niewiadomo na byśka, czyli też na Franka. Baby zaczęły się przysuwać od płota, ten i ów obrócił ku

mówiącemu głowę. Franek szeroko otwarte, pełne przerażenia oczy w Łukę wbił, nie pojmując zgoła, dlaczego chłop wszystkiego nie ciska i złodzieja gonić nie leci. Zdawało mu się, że go nie rozumie chyba, nie wierzy mu. Z większą tedy jeszcze siłą grzmotnął się kułakiem w piersi.

— Porwał, gospodarzu!... Porwał!... Żebym tak szczęśliwego skonania doczekał, jak złodziej miemiec porwał!...

Gotlib odwrócił głowę, splunął, i znów się o krok cofnął.

Na chłopa uderzyły ognie.

— Co miał porywać, zatracona duszo, co?... Sam przedałem!

Otrząsnął się. Frankowi ręka opadła.

— Głupi! głupi! głupi!... — wołały dzieci, skacząc koło studni.

Franek patrzył na chłopa obłędnie, tępo, pomiarkować się zgoła nie mogąc. Z ustami otwartemi i wyciągniętą szyją stał przez chwilę niemo, aż zazął głosem ochrypłym, zmienionym:

— Wy, gospodarzu?..., Wy jemu przedali?... Wy sami przedali?...

— Psssia... cie! — zaklął chłop, mocując się z byśkiem.

Franek go znów za rękaw pochwycił. Dyszał ciężko, oczy wysiadły mu na wierzch.

— Gadajta!... Gadajta!... Samiśta przedali? Gadajta!...

Następował na chłopa, targając go za rękaw coraz gwałtowniej.

— Umykaj, pókim dobry! — huknął Łuka. — A żebyś ty zmarniał! Chorobna duszo... — Zaklął w tejże chwili na wyrywającego się byśka.

— A dummer Kerl!... — szepnął wzgardliwie Gotlib i ramionami rzucił.

— Co to z głupim gadać! — roześmiała się któraś baba. Insze za nią. Każda się teraz wobec Niemca mądrą i polityczną okazać chciała. Nie były zresztą pewne, czy im samym przedawać co nie przyjdzie; ruszały tedy ramionami, poglądając z politowaniem i odwracając głowy.

W tej chwili wszakże, w narzuconym na ramiona kożuchu i z biczyskiem w ręku, przystąpił Filip Bodniak, szwagier Łuki, który gruntu nie miał, furmanił tylko, i Niemcom, żałującym i czasu i koni, z Olendrów się najął. Chłop czerwony był, jak burak, zsiadły, ospowaty, baranią czapkę ze stroikiem z czoła zsunął, bo ze trzy litkupy miał we łbie i kurzyło mu się z czupryny, a język co nieco plątał. Bodniak, jako że sam gospodarzem na wła-

snym szmacie ziemi nie siedział, do sz
krość jakąś w sercu czuł i rad go p
słowem, bo zazdrosnych oczu był na
Ten tedy, rozkraczywszy się przed Fra
w biodra wparł i niebardzo pewnie na
jąc, rzekł:

— A i nie wiesz to, głupi, co teraz
gospodarze, ze wszystkiego się wyprz
mowizny, i też ze ziemi...

Chwyciła go czkawka, więc urwał.

Franek słuchał, jakby ogłuszony.

— Ze ziemi... — powtórzył jak

— Ze ziemi i z gruntu het precz
Bodniak — a idą głupi za morze...

— Za morze... — powtórzył Fra

— Choć ta i suchoputna droga pon
dni by nią człowiek ze Zagajnego zaj
co o niej nie wiedzą...

— Nie wiedzą — powtórzył mart
Franek.

— To ci tera het precz, licytacya
Bodniak, przełykając dręczącą go czka
gowica... nie przymierzając, jak w kr

Podniósł rękę, czarniawym włosem
bemi żyłami zbrużdżoną, i wodził nią
ukazując palcem zebranych w podw

tępe oczy Franka poszły za tym palcem. Teraz dopiero zobaczył rudego Gotlibowego parobka, szafę na wózku, i Niemca przy sieczkarni, i Fryca z koszką w ręku, i baby, i obce psy kudłate, i byśka, i grubego Gotliba.

Wszystko. Patrzył, patrzył, nagle ręce opuścił i głowę na pierś skłonił. Gęstwina lnianych, zwichrzonych włosów spadła mu na oczy. Wyglądał tak śmiesznie, że dzieci na nowo wybuchnęły wrzaskiem.

— Głupi Franek! Głupi Franek! Widzita głupiego Franka!

Jemu się usta zaczęły trząść, kolana zadygotały pod nim, obszarpana koszula podnosiła się coraz szybciej na wysoko bijącej piersi. Nagle zaszlochał głośno i błagalnie do Łuki się ozwał:

— Nie przedajta, gospodarzu, pola!... Dlaboga, nie przedajta!... Dlaboga rety, Maryo!...

Zaniósł się wielkim płaczem, i chwycił połę siermięgi gospodarza.

Chłop trząsł sobą, chcąc się uwolnić od niego i klął siarczyście.

— Nastąp pokrako!... Chorobna dusza! A żeby cię...

Zerwał się Franek i do Łuczyny podbiegł. Głębokie łkanie wstrząsało jego nędzną piersią.

— Gospodyni! — wołał przerywanym głosem — Gospodyni!... Nie przedawajta miemcom chałupy! Dlaboga, rety! nie przedawajta chałupy!...

— Do cna ogłupiało chłopisko! — szeptały między sobą baby.

— Bo to nic?

— Na wiosnę takiemu najgorzej...

— A odczepże się, odmieńcze! — krzyczała kobieta. — Owaryował, czy co! Adyć go weźta! — Ale nie trzeba go było brać. Sam porwał się i wyciągnąwszy przed siebie trzęsące się, łachmanami rękawów ledwo że okryte ręce, ryknął wielkim głosem:

— Rety!... Maryo!... Rety!... Ludzie!... Gospodarze!... Nie przedawajta się miemcom!... Dlaboga ludzie!... Nie przedawajta!...

Uderzył w dłonie i złożonemi rękoma trząsł przed głupią swoją głową, a po śniadej twarzy leciały mu łzy, ciężkie, jasne, gorące.

— A dummer Kerl! — powtórzył Gotlib; poczem ziewnął, splunął, sukienną czapkę na głowie poprawił i do odwrotu się zbierał.

Tknęło to Łukę, który targu o byśka dobić chciał; z całą tedy pasyą zwrócił się do Franka:

— Ustąpisz mi ty na bok, zła duszo, czy nie ustąpisz? Chłopaki! Ruszta się ino!...

Ale chłopaki bawiły się zbyt dobrze całą tą »komedyą«, żeby się ruszać miały. Trącił jeden drugiego łokciem, spojrzeli po sobie, i stali.

Łuka się za Gotlibem puścił.

— Dalej, sąsiedzie! Półzłotka przyczyńcie i będzie zgoda z nami! Ja dziś do zgody, jak do wódki! U mnie tak! Dzień płaci... dzień traci. Dalej, panie Gotlib!... Zgoda!...

Mówił szybko, obficie, głośno, jakby chciał zagadać głupią mowę Franka.

Niemiec odchodził niby. Nie mógł on właściwie odejść, póki Bodniak stał, a z nim i furka jego, z której zwrócona łbem do dyszla szkapa wyciągała grubą, w bagnach sieczoną, trawę. Bodniakowi zaś nie spieszyło się wcale ze szwagrowego podwórka.

— No?... półzłotka! Jakże będzie? — powtarzał Łuka. — Kupujta, póki przedaję!... No?... Jakże?... Co ta będzieta na głupiego patrzeć! Róbma zgodę... Dalej go!...

Ale jeżeli kiedy, to właśnie teraz warto było na głupiego patrzeć. Jako ta rola nagle z wiosennego deszczu schnie, kiedy na nią słońce z wysoka uderzy, tak on po tych łzach bujnych odmienił się w twarzy, tak na niego uderzyła nagła wesołość. Jakoby nie ten, tak się przeinaczył, oczy kułakiem

wytarł, jak miał szeroką gębę, tak się szeroko roześmiał, a chwyciwszy chłopakowi, co tam wpodle stał, czapczątko ze łba, sam je sobie na głowę nasadził, w biodra się rękami podparł i krzyknął wesoło:

— Hej ha!... Kiej przedawać, to przedawać! A duchem!... Nic się nie frasujta, gospodarzu! głupi wam pomoże! Nim słonko zajdzie, poprzedamy het precz wszyściutko do czysta!

Szeroki wybuch śmiechu przyjął tę przemowę głupiego. Niemcy nawet śmiać się zaczęli, zwłaszcza też one rude wyrostki Gotlibowe, u wózka stojące! Łuka poczerwieniał i łypnął gniewnie oczyma; ale kiedy spojrzał na owo ucieszne widowisko, jakie Franek z siebie uczynił, nie mógł wytrzymać i roześmiał się głośno. Głupi tymczasem przed chałupę skoczył. Stały tam i leżały różne sprzęty, z drogi onej szafie ruszone, jedne na drugich w kupie, jak na targowicy.

Franek się schylił, podniósł z ziemi stary lemiesz, a błyskając nim pod słońce, mówił:

— Panie miemiec! Patrzajta ino, jaki godny lemiesz! Oj niemało on ziemi skroił... niemało skib odwalił... niemało chleba dobył, ale nam tera nic po nim, bo het precz grunt i gospodarkę przedajem i ani my, ani dzieci po nas ziemi tej, tego pola

orać już nie będziem! Kupujta lemiesz!... Patrzta, jaki godny!

Śmiech buchnął na nowo w podwórku. Bodniak aż się za boki trzymał, aż mu oczy zachodziły łzami.

Głupi tymczasem chwycił płachtę lnianą, a trząsając nią, wołał:

— Hej!... Płachtę przedaję!... Patrzajta, co za płachta je!... Caluśka, bieluśka, na ołtarzu by ją można kłaść pod ten chleb janielski! Oj bywał ci w niej chleb janielski, bywał, ano to ziarno Boże pszeniczne a żytnie, co je gospodarz na tem polu siewał... Oj niemało z niej ziarna w tę świętą ziemię poszło i niemało dobra z ziarna tego wyrosło... Dalej, kupujta, płachtę siewną, w kruchcie, w dzień Najświętszej Panienki siewnej poświęcaną.

I tera śmiech buchnął, ale cichszy jakiś. Łuczyna westchnęła nawet i pogładziła głowę najmłodszego swego, który się jej fartucha trzymał, szeroko na Franka wytrzeszczywszy oczy.

— Gospodyni! — zawołał nagle Franek.

— A gdzie przęślica? Przedaliśta len, przedajta i przęślicę. Już wy na niej kądzieli prządać nie będziecie, ani onej nici szarej na wrzecionie przy łuczywie puszczać... Nie będziecie przędzy motać, parników zwijać, pasem rachować... Nie będziecie

płótna tkać, ani go na tej rosie poran
z niego koszul dzieciom zrządzać... Co
Dalej gospodyni! Dalej... Dawajta przę
kupują!

W małem podwórku Łuki robiło s
wniej jakoś, coraz uroczyściej. Chłopa
się jedne przez drugie, żeby na »głupi
oczy starych przygasiła zaduma, czy 1
odezwał się głos przejmujący, dziecięc

— Bocian! Bocian! O... bocian!...

Kilka głów podnioslo się za tyn
głosem.

Istotnie, nad kalenicą Łukowej st
leżącą na niej, zeszłorocznym szuwarem
trzęsioną, broną, wzbijał się lotem sze
szy tej wiosny bocian.

— Bociek!...

— Wojtek!...

— Bocian!... — zaczęły wołać na
chłopaki, podrzucając czapki i klaszcz

Bocian, jakby na odpowiedź powita
klekotał wesoło, roznośnie, coraz węża
zdem zataczając koła.

— Siądzie...

— Nie siądzie!...

— Siądzie!...—odzywały się dziew

Nawet uwaga bab i chłopów oderwała się na chwilę od »głupiego«. Ale Franek, zadarłszy na porówni z innymi głowę, kiwał się szyderczo, wzgardliwie.

— Oj głupi, głupi! Oj głupi ty, ptaku! — rzekł wreszcie. — A i czegóżeś tu lecial bez morze, bez wielkie, na gwiazdach noclegujący, na zorzach się budzący, głodu zażywający, nawałności i wojen powietrznych i przestrachów różnych bynajmniej się nie bojący?... Czegożeś tu do Zagajnego leciał, jakoby ci też kto ślepia wybrał, drogi nie myląc, skrzydłom nie folgując, a onego wiatru wschodowego, od Narwi wiejącego, o Zagajnem pytając.

Do gniazdaś ty leciał, do miłego gniazda, do onego domu swego, gdzieś bocianięta swe hodował i słońcu się radował i ludzi cieszył i odpocznienie swoje miał.

Oj przylecisz ty tu i na bezrok jeszcze, ale już gniazda twego nie będzie, jak tu i nas i gniazd naszych nie będzie... Miemce tu obsiądą, miemce tu gniazda swoje założą, a ty głupi precz... za morze... za morze!...

Podniósł głos, oczy chłopów znów się na niego zwróciły.

— Panie Gotlib! — zawołał — panie miemiec, bliżej tu sam, bliżej!... Jeszcze się tu niejedno do przedania najdzie, ino pieniądze liczcie!

Widzıta te jaskółki nad wodą? W
drość niebieską?... Widzita ten krzyż ı
Widzita het one górki, one mogiłki nε

Dalej! Wszyściutko przedajem! Ku
drość niebieską, ten krzyż przy drodz

Cisnął czapkę, spuścił głowę i zan

A potem, nad oną kupą domowizny
klęknąwszy, ręce przy ustach złożył
cnym głosem:

— Święty Boże! Święty mocny! Ś
śmiertelny! zmiłuj się nad nami!

Zaszemrały za nim głosy, jako wi
Chłopi głowy odkryli, baby poklękał
mówił dalej:

...Od powietrza, głodu, ognia i wojr
nas, Panie!

...Od nagłej a niespodziewanej śm
waj nas, Panie!

...Od morskiej i wszelakiej nawałı
waj nas, Panie!

...O spokój gniazdom naszym, |
Panie!

A jako zawsze głupi był, tak i tę
raz na swój sposób zmyliwszy, wstε
oczy na powietrze podniósł i między l
szedłszy ku rzece się puścił.

TREŚĆ.

I. POEZYE.

Dział III. Nasza chata.

Dział IV. Z bliska i z daleka.

II. OPOWIEŚCI.

DATE DUE
